

BOGDAN MADEJ

PIĘKNE KALALIE
ALBO
DOJRZEWANIE MIŁOŚCI

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1974

π 546.124

π 806.318 (A)



**PIĘKNE KALALIE
ALBO
DOJRZEWANIE MIŁOŚCI**

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 242

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

BOGDAN MADEJ

PIĘKNE KALALIE
ALBO
DOJRZEWANIE MIŁOŚCI

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1974

OD WYDAWCY

Maszynopis „Pięknych kalalii” został złożony w Państwowym Instytucie Wydawniczym 31 października 1970 (!). Wydawnictwo jednostronnie rozwiązało umowę z autorem 7 stycznia 1971. Przywróciło ważność umowie 27. II. 1971. Książka została złożona powtórnie w tym samym wydawnictwie 30 czerwca 1971 i skierowana do druku w marcu 1972; korekty były robione w kwietniu-czerwcu. W kwietniu została przesłana do Gł. Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, który w lipcu wydał decyzję negatywną, od której Wydawnictwo odwołało się do Wydziału Kultury KC PZPR w lipcu 1972. Wobec braku decyzji w grudniu 1972 gotowy skład linotypowy został przetopiony. Autor odwoływał się do Wydziału Kultury KC PZPR (rozmowa w lutym 1973) i do Komisji Interwencyjnej ZG ZLP w styczniu. Edward Makuch, Z-ca kierownika Wydziału Kultury KC, oznajmił w marcu 1973, że książka się nie ukáže. Odbitki szczerotkowe czytane były w Wojewódzkich Urzędach Kontroli, prawdopodobnie w Komitetach Wojewódzkich PZPR i Komendach Wojewódzkich MO. Z Autorem rozmawiano w Wojew. Komisji Kontroli Partyjnej w Lublinie 30 marca 1973, a 9 kwietnia ukarano go naganą z ostrzeżeniem: „za napisanie książki niezgodnej z partyjnym punktem widzenia, o wielkiej szkodliwości społecznej”.

Bogdan Madej jest autorem następujących książek:

Młodzi dorosli ludzie, PIW, Warszawa 1964

Uczta, PIW, 1965

Konstelacja, PIW, 1968.

Książkę wydajemy bez wiedzy i zgody autora.

I

Jabłko porwał, ale nim dopadł drzwi, Ewa złapała go wpół, z łatwością przewróciła na ziemię, przygniotła kolaniem i odebrała owoc.

Leżał bezradnie ze dwie minuty. Ewa kolaniem przebijała mu brzuch i wierciła w nim dziurę, a zwisający warkocz łaskotał go po twarzy. Patrzyła na niego trzymając w dwóch palcach tuż nad jego nosem wielkie żółte jabłko. Marek prześliznął się wzrokiem po jej nodze aż do seledynowych majtek obciągających trójkątną wypukłość między złączonymi nogami; odwrócił głowę, Ewa dyszała.

— Nie przypuszczałam, żeś taka świnia — mruknęła. — Myślałeś, że mi zwiejesz? Mogłabym cię teraz tak połaskotać, że posikałbyś się z radości!

Trzymając jabłko za ogonek wstała, przysiadła w kącie na skrzyni po szkle i przypatrywała mu się stamtąd, a on leżał i rozcierał sobie tył głowy. Słońce wpadało do piwnicy podświetlając kurz; łaskotał go w nosie, dławił i zasychał w gardle. Ewa spytała, czy chce. Nie wiedział.

Siedziała metr od niego ze szczupłymi kolanami źle nakrytymi sukienką. Skąd miał wiedzieć, czy chce? Od przegranej walki bolały go plecy, a owoc błyszczał jak złote jajko cudownej kury. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy jadł jabłko ostatni raz; pomyślał, że zaraz się wścieknie z powodu śliny: brała się w ustach nie wiadomo skąd i spływała bezwstydnie do żołądka, jakby miała nie jeden, ale sto sposobów, żeby się tam przedostać. Nie było siły, chciał zacisnąć gardło od środka, ale strumyk śliny i tak znajdował ujście; gdyby go zatamował, miałby zaraz pełne usta. Ewa wlepiła w niego pogardliwe oczy.

— Jak nie chcesz, to znajdę kogo innego. Myślałam, żeś mądrzejszy! Kraść tylko umiesz!

— Wiesz przecież, że nic z tego nie będzie — zauważył między dwoma łykami. — Jeszcze jestem za młody!

— Mnie to nie przeszkadza.

Odsunęła z czoła włosy i rozchyliła kolana. Chciał panować przynajmniej nad oczami, ale znów powędrowały do seledynowych majtek.

— Dostaniesz jabłko całkiem za darmo!

Był oburzony pełnym widokiem nóg i małej wypukłości na styku chudych linii. Oderwał z wysiłkiem oczy i wpatrywał się w jabłko, które rozplynęło się i zamazało w żółtą plamę nic nie mającą wspólnego z wielkim głodem. Kiedy zerknął w górę, Ewa zaczerwieniła się; teraz ona przełknęła ślinę tak prędko, że po sekundzie nie był pewny, czy to zrobiła naprawdę.

— Tatusz by mi spuścił lanie, gdyby mnie tu z tobą zobaczył! — powiedział udając obojętność dla jabłka.

Ewa wydeła usta.

— Niemowlę, kurcze pieczone! Chciałoby, a trzęsie portkami! Czego się boisz? Twój stary jeszcze śpi. Jak taki wapniak złapie dryg do spania, to mu zawsze mało. A jeszcze twój stary! Po co by miał wstawać? Przecież nie musi się zrywać do roboty na siódmą. Jak się spóźni, nikt mu głowy nie urwie. No co, chcesz?

Bał się powiedzieć. Nad piwnicą było cicho, nie miał pojęcia, co się dzieje u niego w domu. Kolana Ewy rozsunęły się, śliska sukienka wlała się w rozpadlinę między nogami i po chwili kolana przylgnęły do siebie. Ewa zrobiła z sukienki podolek i położyła tam jabłko. Leżało dokładnie w miejscu, o którym wstydził się myśleć. Właściwie nic prócz tych seledynowych majtek nie zobaczył.

— Chodź, kłapnij przy mnie! — mruknęła przyjaźniej.

Takiego wielkiego jabłka jeszcze nigdy nie jadł. Podszedł do niej i przysiadł obok na brzegu skrzyni. Jabłko błyszczało w zasięgu ręki.

— Boisz się? Zamknij oczy!

Chciał powiedzieć, że się nie boi, tylko wstydzi, ale nawet nie potrafił ruszyć językiem, zesztyniał mu także kark. Na ulicy odezwały się kroki. Przysłuchiwał się im z ulgą, Ewa też zwróciła na nie uwagę. W prostokacie małego piwnicznego okna przesunęły się nogi miejskiego nadzorca ogrodów. Nie trudno go było poznać: nad człapiącymi butami płynęły ukośnie szcudła ogrodowej drabiny. Ale stukot kroków oddalił się prędko. Marek zerknął na jabłko pulsujące lekko w trójkątnej zapadlinie między brzuchem Ewy i jej długimi nogami; poczuł skurcz w krtani.

— Nie wiem, czy tak można? — zwątpił.

— Wczoraj mówiłeś, że chcesz!

Strzyknął śliną przez zęby i wtarł ją sandałem w posadzkę.

— Wczoraj. Wczoraj, co innego. Skąd miałem wiedzieć, że to tak wygląda? Tatuś strasznie by na mnie krzyczał!

Ktoś teraz dla odmiany szedł po schodach, pluł, kaszłał i wycharkiwał coś obrzydliwie i głośno. Robiło się od tego niedobrze. Marek odwrócił głowę i nasłuchiwał, póki nie trzasnęły wyjściowe drzwi.

— Mówiłam ci? Włosy mi rosną, zaczynają się kręcić! Zobacz!

Podciągnęła krótki rękaw, ale nie wyglądało to wcale na włosy, tylko na rozmazaną plamkę.

— Za parę tygodni będzie widać lepiej. Chyba ściemnieją, co?

Nie miał pojęcia, czy będą ciemniejsze. Najlepiej gdyby się zaraz stąd wyniósł, ale bał się Ewy. Prześladowałaby go potem na każdym kroku. Tchórz, pomyślał, nic, tylko tchórz!

Ważył szanse. Jabłko leżało w podołku. Gdyby je porwał, znów by nie zdążył uciec. Ewa była od niego starsza, wyższa, zwinna i mocna. Ojciec z pewnością spał, nie było mowy, żeby się tu zjawił. Matka nie zaglądała o tej porze do piwnicy. Z ich strony nic nie groziło.

— Skąd masz to jabłko? — spytał, żeby zyskać na czasie.

— Mam i już. Mogę mieć jeszcze więcej. Jak będziesz mądry, to po południu dostaniesz drugie. Za darmo. Kurcze — zdziwiła się nagle — kiego diabła tu z tobą siedzę? Chcesz, mów, nie, to nie zavracaj głowy! Nie wiem, co mi się stało, że tak cię namawiam!

— Mój ojciec jest prezesem miejskiego zarządu.

Ewa wydeła wargi i podrzuciła ramionami. Warkocze machnęły mu koło twarzy jak dwa bicze.

— Skąd masz? — powtórzył pochylając się nad jabłkiem.

— Dawno nie widziałem takiego jabłka. W ogóle dawno jabłka nie jadłem. Gdyby tatuś zobaczył, nie wiem, co by z nami zrobił!

Ewa polizała wargi.

— Głupi pryk, ten twój ojciec! Wystarczy wyjechać z miasta, żeby się ich najeść. Może to robi! Skąd wiesz, że nie?

— Na pewno nie — powiedział ze smutkiem, który go nagle ogarnął. — Dawno nie jadłem jabłka.

Ewa zamyśliła się.

— Może nie, ale z pewnością macie w domu kalalie. Nie chcesz się przyznać, bo wtedy ojciec skórę by z ciebie ściągnął! — Przyjrzała mu się, jej oczy zwięzły się, a źrenice, do których przez szparki powiek dostawało się trochę światła, błysnęły kłująco jak ostrza szpilek. — Macie w domu te kalalie? Przyznaj się!

— Coś ty, głupia? Zresztą skąd mogę wiedzieć — dodał chytrze, żeby jej nie zniechęcać.

— Cholera! Po co twój stary i ci jego ludzie robią tyle szumu? Nie ma kalalii, to mogliby się przynajmniej z jabłkami nie wygłupiać!

— Nie wiem — powiedział i znów zerknął na jabłko.

Leżało przyciśnięte do jej brzucha, grzało się i mieniło w jego regularnym pulsowaniu. Ewa dotknęła ręki Marka i wtedy jego skóra zaczęła także pulsować; czuł pęcznienie w palcach zaciśniętych w pięści. W końcu od tego pulsowania ruszało się nie tylko jabłko i brzuch Ewy, wszystko, na co patrzył, rosło i małało, piwnica, okno i słońce.

— Tak nie można. Za jabłko? — powiedział. — Tatuś tyle razy mówił, żeby na jabłka nie patrzeć.

Ewa prychnęła.

— Myślisz, że twój stary to święty?

— Nie lubisz go?

— Przecież to on to wszystko wymyślił i przez niego mój ojciec małuje kalalie. Wiesz — wykręciła nagle — rozmawiał kiedyś z moją matką o czymś takim, wiesz, o czym? Szkoda, że nie słyszałeś!

Zaczerwienił się.

— Mężczyźni ze wszystkimi tak rozmawiają — zbagatelizował jej rewelacje.

— Może ze wszystkimi, ale z mamą rozmawia bardzo często. Raz mnie przegonili, podsłuchiwałam.

— To bardzo brzydko podsłuchiwać.

Ewa splotła dłonie, podniosła je do ust i zachichotała, potem opuściła na podołek i lewą nakryła jabłko.

— Nie słyszałam do końca, bo mnie przegonili, ale chyba zanosilo się na całowanie. Mama może nie, ale twój ojciec miał chrapkę. Grdyka mu latała w dół i do góry, jakby się miał udławić. Nie wyobrażasz sobie, jaki był śmieszny! Czerwony, spocony, mama się śmiała, był taki sztywny, jakby za chwilę miał popuścić. Wszyscy mężczyźni robią się wtedy czerwoni, ręce im się trzęsą. Jeden chciał mnie kiedyś pomacać i też tak samo wyglądał. Myślałam, że się posikam, taki był spocony i usmarkany po pachy! Twój stary wyglądał lepiej, ale nie dałabym mu się dotknąć za żadne skarby! No? — powiedziała. — Coś tak pocerwieniła?

Wiedział, że jest czerwony. Ewa przychwyciła jego spojrzenie na jabłku czy na brzuchu, sam już nie miał pojęcia.

— Jak już tak bardzo chcesz — powiedziała łaskawie — to ci dam ugryźć, na kredyt.

Znów nie miał pojęcia, jak to się stało, że po chwili siedział jeszcze bliżej, a Ewa przyciskała się do niego. Trzymając w jednej ręce jabłko, drugą ręką przytrzymywała mu głowę. Zanim poraziła go bliskość owocu, przez moment zamajaczyła groźna twarz ojca wymachującego rękami w najwyższym oburzeniu, ale nie potrafił się opanować. Otworzył szeroko usta i dotknął zębami jabłka, które od nóg i brzucha Ewy było bardzo ciepłe. Z otwartych ust strzyknęła kropelkami ślina i było mu tego wstyd. Ewa przycisnęła się do niego jeszcze mocniej. Jedną ręką trzymała go za głowę, a drugą wciskała mu jabłko w usta, kneblując je tak dokładnie, że nie potrafił ugryźć. Dyszeli oboje. W ustach miał smak jabłka. Podniósł rękę, żeby je odebrać Ewie, ale odtrąciła mu ją łokciem.

— Gryź! — powiedziała ochryple.

— Tak jakoś trzymasz, że nie mogę. Może lepiej ja będę trzymał?

— A potem się nie zgodzisz! Myślisz, że jestem głupia!

— Zgodzę się.

— Zgodzisz się! Myślisz, że ci uwierzę?

— Na pewno się zgodzę — powiedział, bo nie mógł czekać dłużej.

— Masz, tylko żebyś pamiętał!

Wgryzł się żarłocznie; wyrwał z jabłka spory kawał i łupał go zębami na okruchy drobne i twarde jak chrząstka. Ewa przypatrywała mu się przez moment, a potem dotknęła kolanami jego kolan. Czuł gryząc jabłko, jak pod pasek od spodni wsuwają się chłodne palce, zatrzymują się, przez moment oddzielają bieliznę od ciała i wędrują po gołej skórze.

Z pełnymi ustami spojrzał na Ewę. Wargi miała zaciśnięte, zamknięte oczy, zupełnie jak nieznaną kobietą, która zemdląła kiedyś w sklepie. Oddychała rozdętymi chrapami, jej palce szukały rozgorączkowane i natarczywie; wyglądało na to, że jest chora.

Kiedy uchwyt jej palców osłabł, odebrał jabłko nie napotykając na sprzeciw. Choć był przepełniony litością dla dziewczyny, pożądanie owocu było silniejsze od zainteresowania tym, co się z nią dzieje i co ona wyprawia z nim samym. Kęsy miążdżonego jabłka wypełniały mu usta, a ślina ciekła przełykiem razem z miąższem i sokiem. Palce Ewy uporały się z ostatnią przeszkodą. Na chwilę przestał gryźć. Ewa odetchnęła triumfalnie i spojrzała na niego przez mgłę na oczach.

— Widzisz. Nic się straszego nie dzieje!

Nie był pewny.

— A jak będzie dziecko?

— Głupisł czy co? Trzeba to wtedy robić inaczej, ale jesteś za młody.

Mimo to bał się.

— Gdyby tak teraz kto tu zajrzał!

Palce Ewy poruszały się lekko i zręcznie. Wcale go nie bolało. Myślał o tym, że jabłko zaraz się skończy, a on odtąd będzie się godził, ile razy Ewa zechce. Twarz ojca wypłynęła nieoczekiwanie i zmaciła mu spokój. Ewa siedziała przy nim pełna skupienia, z pochyloną głową i dwoma jasnymi warkoczami wyrastającymi z włosów ściągniętych do tyłu bolesnym uczesaniem, które wydało mu się karą za wielkie przewinienia. Usta ściągnęła surowo, jakby się jej nie podobało to, co w tej chwili robią jej ręce. Patrząc na nią z rosnącą ciekawością, poczuł, że z nim samym zaczyna coś się dziać.

— Jak chcesz mnie dotknąć, to ci też pozwolę — dobiegł z daleka schrypnięty półgłos Ewy.

Chciał, ale nie miał pojęcia, co trzeba robić. W lewej ręce trzymał obrany do czysta ogryzek jabłka z widocznymi w ostrobie łusek ciemnymi ziarnami, prawa zwisała bezwładnie. Myślał o ojcu i o tym, że jeszcze nie ma kalalii i że już zjadł jabłko. W końcu nie wiedział sam, kiedy dotknął kolana Ewy, która nie przerywając manipulacji odpowiedziała zadowolonym pomrukiem. Dopiero po długiej przerwie odważył się ruszyć ręką, ale i teraz stało się to mimo woli. Zaplątał się palcami w bieliźnie, śliski materiał przesuwał się pod ręką; Ewa przyjmowała posłusznie dotknięcia, jakby to on dał jej to jabłko. Był dumny: niejeden chłopak mówił, że chciałby z nią to wszystko robić. Teraz ich palce poruszały się jednocześnie, z wszechwiedzą pozwalającą znaleźć właściwą drogę do celu. Mógłby to robić na ślepo, pomyślał, albo w zupełnej ciemności. Prawą dłoń miał lepką od soku jabłka, żołądek pracował cicho, Ewa kołysała się na skrzyni.

Poruszył językiem i zastanowił się, jak to może wyglądać, kiedy robią to starsi. Z pewnością bardzo się tego wstydzą. Twarz mu poczerwieniała, kiedy uzmysłowił sobie, że myśląc o tym wszystkim ani na chwilę nie przerwał dopiero co rozpoczętych poszukiwań w wilgotniejących zakamarkach bronionych półotwartymi nogami i omotanych bielizną jak bandażem. Na uszach i policzkach zbierało się gorąco z całego ciała, zupełnie jakby kogoś okłamał. Przez moment wydało mu się, że gdyby się tylko ruszył, bez trudu by to gorąco strząsał, ale bał się, że sponoszy Ewę zajęta swoimi odkryciami. Jak dorosłość, weźmie ją za żonę, już jest prawie dorosła. Kiedy zaproponowała mu wczoraj, żeby przyszedł do piwnicy, zobaczył, że wygląda inaczej niż młodsze dziewczyny. Jej sukienka napęczniała z przodu dwo-

ma małymi balonikami. Odkrycie tego bardzo go wczoraj zawstydziło. I prawie zawsze chodziła z jednym albo z dwoma jabłkami ukrytymi sprytnie w dołkach pod pachą, a jabłka nie wypadły, bo nie podnosiła wtedy rąk do góry.

Poczuł teraz swędzenie dziąseł i lekkie pieczenie tam, gdzie poruszały się jej palce. Prawdę mówiąc, wszystko trwało za długo, o wiele dłużej niż zjedzenie jednego jabłka. Nie opłacał mu się ten interes.

— Jeszcze tu zaraz kto przyjdzie! — rzekł ostrożnie.

Ewa przyjrzała mu się żrenicami znów zwężonymi do ostrzy kłujących szpilek.

— Naprawdę nie możesz zrobić, żeby to było inne?

— Co? — spytał, choć dobrze wiedział.

— No, nie wiesz?

— Nie wiem — skłamał i znów mu było bardzo gorąco.

Odsunął się. Ewa nie zaprotestowała. Widać i jej już się ta zabawa znudziła. Odetchnął z ulgą. Siedzieli na skrzyni po szkle jeszcze parę minut; myślał, że jej też musi być strasznie głupio po tym, co robili, i chciałyby już w tej piwnicy nie siedzieć. Człowiek wkopie się w taką historię i nie wiadomo, jak się potem wygrzebać.

— Skąd masz te jabłka? — spytał, żeby coś powiedzieć. — Co dzień masz, ile zechcesz!

— Nie możesz myśleć o czym innym? — odburknęła niechętnie.

— Pewnie mama ci daje?

— Może i mama.

Od dawna wiedział, że nie kto inny, ale trzeba było porozmawiać.

— Wiesz, co by było, gdyby ją złapali? Malowałyby kalalie rok albo i dłużej!

Ewa parsknęła śmiechem.

— No, powiedz tylko, czyś ty naprawdę mądry? Myślisz, że malowałyby te durne kalalie? A guzik! Poszłyby do twojego starego do miejskiego zarządu i nikt by jej nic nie zrobił!

Pomyślał, że łże jak świnia, bo szkoda jej jabłka.

— Kłamiesz! Mój ojciec wcale by jej nie bronił! Niechby ją tylko złapali z tymi jabłkami!

— Jesteś głupi baran! Powiedziałyby, że znalazła. Myślisz, że nie umie załatwiać takich rzeczy? Już nie jeden raz ją złapali, ale powiedziała, że dostała przepustkę od twojego starego, i zaraz ją puścili. Bali się nawet sprawdzać, bo wiedzą, że twój stary i moja mama bardzo dobrze się znają!

— Kłamiesz! Wczoraj za jabłka zamknęli dwóch brukarzy!

— Dwóch brukarzy mogli zamknąć, ale twój stary nie chodzi do brukarzy, żeby się z nimi całować!

— Jesteś podła!

— Skrzeczy jak żaba! Głupi baran!

— A ty jesteś świnia!

Ewa chwyciła go nad kolanem i uszczypnęła; mało brakowało, a byłby się rozbeczał.

— Świnia jesteś! Świnia!

Ewa podniosła się ze skrzyni. Nie mógł teraz patrzeć ani na jej sukienkę, ani na nogi, ani na nic.

— Za to ty jesteś gówniarz — mruknęła zaplatając spokojnie cienki warkocz. — Nawet ci kuśka nie staje! Nie wiem, po co tu przyszedłam, chyba żeby słuchać twojego głupiego skrzeku!

— Jakbym chciał, to bym ją postawił — powiedział, ale nie zrobił na Ewie żadnego wrażenia.

— Głupi baran! — mruknęła.

— To ty jesteś głupia! Myślisz, że bym ją dla ciebie postawił? Ani mi się śni! Nawet za tysiąc jabłek!

— Jesteś krokodyl, a twoja kuśka ma długie osłe uszy i dlatego nie może stanąć!

Pokazała mu język, obróciła się na pięcie i wyszła z piwnicy.

Teraz omal nie rozplakał się naprawdę. Wstyd mu było tego, co robili. Do żywego dopiekleła mu swoim gadaniem. Wszystko dlatego, że nie wolno jest jabłek. Głupota. Kalalii przecież nie ma. Koledzy też mu dokuczali. Podejrzewali, że jego ojciec już ma te kalalie, na razie dla siebie i rodziny, co byłoby najokropniejszym świństwem. Robili na złość i podobnie jak Ewa kusili jabłkami, byle tylko powiedział, że kalalie już są i urzędnicy dlatego trzymają to w tajemnicy, żeby się z nikim nie dzielić. Bardzo by chciał, żeby dla świętego spokoju wreszcie były.

Promienie słońca wdzierały się do piwnicy przez małe okno i jak zwariowane wirowały w kurzu wzbitym gwałtownymi krokami Ewy. Piekło go teraz, paliło i szczypało. Rozpiął spodenki i obejrzał. Nie znalazł nic szczególnego poza lekkim obrzmieniem. Nie miał pojęcia, co Ewa w tym widzi. Jeżeli to samo co on, kiedy jej dotykał, to w głupi sposób pozbyła się jabłka. Nic dziwnego, że była potem taka zła. Wyglądało to zupełnie zwyczajnie, małe i pomarszczone; jeżeli zawsze będzie takie, nie ma się co spodziewać więcej jabłek, trzeba głupiej Ewy, żeby się dała nabrać.

Zmartwiony poszedł w kąt za skrzynię i poczekał, aż na małej kałuży, która spod niej wypłynęła, opadnie żółtawa piana. Zapiął spodenki i stopień po stopniu wyszedł z piwnicy. Znalazł się na parterze, otarł o próg wilgotne sandały i wyjrzał przed dom.

Na ulicy nie było żywej duszy, po Ewie też ani śladu. Jeszcze był na nią wściekły! Gdyby kalalie się udały i mógł jej pokazać choć jedną, przestałaby mu zawracać głowę jabłkami. Trzeba by głupiego, żeby chciał wtedy to robić. Patrząc na pustą ulicę pomyślał, że gdyby jabłka nie były zabronione, nie doszłoby do tego wszystkiego. Wściekły był przede wszystkim na ojca. Kiedy wymykał się z domu na spotkanie z Ewą, ojciec omal mieszkania nie rozsądzał chrapaniem, jakby na całym świecie nic się prócz snu nie liczyło!

Ruszył przed siebie dotykając delikatnie przez kieszeń pięknego miejsca. Nie mógł opędzić się myśli, że coś w tym wszystkim nie gra. Z dorosłymi nie jest najlepiej.

Kopiąc w złości kamienie i odpadki oraz różnego rodzaju inne świństwo ruszył ulicą w stronę parku. Dobrnął do rogu i zobaczył z daleka Romka, który też dla odmiany szedł dziś chodnikiem i do tego zygzakami jak głupi. Wszyscy powariowali! Jabłek nie wolno, kalalii nie ma. Ni z tego, ni z owego zaczęło mu burczeć w brzuchu, a wymiętoszony nieborak piekł coraz bardziej. Ładna zabawa!

— Cześć! — chrypnął bardzo kwaśno.

— Cześć! — odchrypnął Romek udając, że głos mu przez noc pogrubiał. — Jak leci?

— Jak ma lecieć! Gnój, chłopie, sam gnój — poinformował dokładnie.

Szli parę minut w milczeniu. Romek rozrabiał głośno językiem w dziurze po zębnie trzonowym. Cmokał, strzykał śliną w lewo na jezdnię albo pluł przed siebie, raz nawet opluł Markowi sandał, choć zwykle robił to bardzo celnie.

— Idziemy do parku? — spytał.

Mogli iść do samego diabła. Coś trzeba zrobić z czasem. Burczało mu w brzuchu, spodenki uwierały, piekło jak licho.

Chodnikiem po drugiej stronie, szurając butami, w porozpi-nanej koszuli, w nie dopiętych portkach, z zadartą do góry capią bródką i otwartą gębą, w której z daleka sterczał jeden spróchniały górny ząb, przeczłapał Franek, główny miejski idiota. Na głowie miał starą czapkę miejskiego ogrodnictwa z połamanym daszkiem, nad którym świecił emblemat kalalii. Przystawał co dwa kroki, zdejmował czapkę i polerował odznakę rękawem ściągniętym w brudną garść. Marek lubił go, często żał mu było idioty, z którego jedni się naśmiewali, a drudzy robili mu na złość, choć nieraz wcale nie był głupszy od innych. Ewa na przykład albo Romek, albo nawet on sam, niejedną raz nadawali się na jego miejsce.

— Nadzorca czyści w parku kalalie — przypomniał Romek.

— Wiem przecież — odpowiedział bez zainteresowania, bo go te kalalie złościły dziś bardziej niż kiedykolwiek.

— Mam procę — dodał Romek.

Marek spojrzął przed siebie. Wydało mu się, że zrobił się nagle bardzo dorosły. Pomyślał o Ewie, o ojcu, którego zostawił w domu śpiącego tak mocno, jakby prócz snu i urzędowania nic nie istniało, i znów przypomniał sobie, że to, co robił z Ewą, stało się dlatego, że zachciało mu się jabłka. Był coraz bardziej zły, chciał coś zrobić, ale jeszcze nie wiedział co; powinno to być coś takiego, żeby wszyscy wiedzieli, jacy są głupi z tymi swoimi kalaliami, na które nikt nie wie, jak długo trzeba czekać.

Szli przed siebie spoglądając na domy i pokopując leżące na chodniku śmieci, aż doszli do wielkiego sadu zamienionego w park. Stanęli przy ogrodzeniu i popatrywali przez sztachety na pracującego nadzorcę miejskich ogrodów, półkretyna nie mądrzejszego od Franka; stał okrakiem na ogrodowej drabinie i trzęsącymi się kolanami ścisnął najwyższy szczebel. W jednej ręce trzymał hak do przyciągania gałęzi, w drugiej wielkie nożyce, a na szczeblu drabiny powiesił sobie flanelową szmatę do przecierania szklanych kalalii. Na ziemi pod drabiną stał kosz.

Marka piekło coraz bardziej, musiał się co chwila drapać. Drzew w parku było dużo, gałęzie były gęste i słońce z wielkim trudem przemykało się przez zdziczały gąszcz i błyskało tylko gdzieś tam. Nadzorca polerował szmatą szklaną kalalię.

— Dziad cholerny — powiedział Romek. — Mieć taki luz w głowie, co?

Nadzorca wetknął nożyce w kieszeń i wyciągnął nóż. Marek z Romkiem oblizali wargi. Widzieli, jak tamten przyciąga hakiem wielką gałąź i zeszkrobuje bliznę, którą zostawił na wiosnę wycinając po kwitnieniu wszystkie zawiązki jabłek. Robił to bardzo ostrożnie i trząsał się, żeby nie porozbijać kalalii wiszących między liśćmi na każdej gałęzi.

— Cholerny dziad! — powtórzył Romek, a Marek znowu przypomniał sobie zdarzenie z Ewą i wyrwał Romkowi procę.

II

Agnieszka zbliżając się do granicy miasta dodawała sobie odwagi kołtysaniem bioder i patrzyła niespokojnie na ogrodnika.

Nie znała go, ale oni wszyscy byli podobni do siebie. I ten, jak inni, miał na sobie drelichowe spodnie, fartuch z jedną wielką kieszenią pośrodku oraz wpuszczaną koszulę przeciętą na krzyż parcianymi szelkami; był młody, szczupły i niezgrabny jak żrebak za wcześnie puszczonego samopasa. Wkrótce podeszła do niego tak blisko, że mogła odróżnić każdy z pięciu palców zaciśniętych na sektorze. Po następnych kilkunastu krokach widziała najdrobniejsze załamania sztywnych owijaczy i przy szelkach patyne nie doczyszczonych guzików, na których świeciło wytłoczone w mosiądzu godło miasta. Nie miała pojęcia, jak się jej powiedzie.

Zbliżała się do niego coraz wolniej, wprawiając w bezwiedne kołysanie biodra i ręce; brzuch, piersi i nogi sekundowały im posłuszenie, a rytmem tym w gruncie rzeczy rządził niepokój. Ogrodnik z nasuniętym mocno na oczy okapem kasku stał w rozkroku zastępując jej drogę niczym słup z groźnym ostrzeżeniem. Kiedy była zupełnie blisko, podsunął kask wyżej i chrząknął groźnie:

— Dokąd?

Był rzeczywiście bardzo młody, a młodość mężczyzn robiła na Agnieszce coraz większe wrażenie, odkąd starszy od niej mąż za niepochlebną opinię o nie istniejących kalaliach został skazany na dwa lata malowania ich szklanych podobizn.

— Przepustka jest?

— Jest, wielmożny panie ogrodniku.

— Jeszcze nic nie wiadomo — burknął. — Zobaczmy, co ta twoja przepustka warta.

Zerknął pogardliwie na kawałek papieru opatrzonego wielką miejską pieczęcią i podrzucił głową odpędzając myśli, które zjawyły się razem z Agnieszką i rozbiły w karygodny sposób miłą pustkę bezczynnego trwania na posterunku.

— Dali ci — stwierdził z naganą.

— Dali, wielmożny panie ogrodniku.

Przestąpiła z nogi na nogę trzymając przy biodrze pusty worek i wolną ręką zaczęła poprawiać włosy. Ogrodnik przesunął spojrzenie po jej gołym ramieniu, wśliznął się wzrokiem pod pachę wyścieloną jak ptasie gniazdo gorącym kędzierzawym puchem i znieruchomiał. Kiedy wycofywał stamtąd wzrok, oczy tańczyły mu w niepohamowanej płasawicy. Mrugając powiekami spojrzał na pusty worek.

— Pewnie niejeden raz nakryli z jabłkami?

— Nie, wielmożny panie ogrodniku, nie nakryli.

— Ludzie jeszcze śpią, a tego tatałajstwa na wszystkich drogach od samego rana. Kiego grzyba się pętasz?

— Przepustkę mam, wielmożny panie ogrodniku.
— Jeszcze nie powiedziane, że ta przepustka jest coś warta! Może nie będę musiał się jej słuchać!
— Mam prawo przejść.
— Prawo, jak każdy, masz, ale nikt nie wie twojego zamiaru. Kto zaświadczy, że nie idziesz po jabłka?
— Mam krewnych na wsi, do nich idę.
— Krewnych masz? I, powiadasz, idziesz, żeby się z krewnymi zobaczyć? Co to za ludzie? — rzekł groźnie. — Gdzie robią? Z jakiego powodu tam są? Dlaczego nie w mieście? Pierwsze słyszę, żeby się kto tak z krewnymi lubił! Ja też mam, ale mi przez te jabłka zbrzydli!
Agnieszka milczała, ogrodnik usiłował wcisnąć się spojrzeniem pod jej pachę.

— Takie to twoje krewnie, jak ja twój teść stryjeczny! Co wy w tym wszystkim widzicie? Nie lepiej dać spokój? Nie wolno, to nie wolno! A wy jeszcze po przepustki, niby do krewnych! Mocno mi podejrzane, że wam przepustki dają. Nic, tylko idziesz po jabłka. Co innego ci nie w smak, co? — rozkraczył się na drodze.

— Kalalii jeszcze nie ma — powiedziała. — Wszyscy wiedzą. A bez jabłek co za życie? Dzieciom puchną dziąsła, chorują na serce, nawet mnie odbiera czasem siły i wtedy tylko o nich myślę. Chyba już na to nie ma rady.

— Tak mówią — mruknął i natychmiast, zły, że przyznał jej rację, trzasnął dłonią w krzywą rękojeść sekatora, podrzucił go w górę i chwycił, nim ostrze uderzyło o ziemię.

— Nieczysta sprawa — oznajmił. — Trzeba posłuchu. Zarząd mówi nie, to nie. Bacność, odmaszerować, bez dyskusji! — wrzasnął nagle.

Agnieszka drgnęła; spojrzął na nią uważniej.

— Nieczyste sumienie masz — orzekł. — Ręce do góry!

Podniosła wolną rękę, potem drugą z workiem. Patrzył otwarcie na jej piersi i pachy.

— Niech mnie pan puści — powiedziała. — Po co tak długo ludzi trzymać?

— Mam rozkaz najpierw wy badać co i jak. Może trzeba zrewidować. Takie instrukcje, rozkaz nie gazeta. Opuść ręce!

— Rozkazy — powiedziała z ostrożnym buntem. — Jabłek jeść nie wolno, kalalii nie widać. Nie ma nic. Może mnie pan zrewidować, nic zakazanego nie chowam. Kalalii nie wyniosę, bo ich nie ma.

— Ty mi tu nie politykuj! — ostrzegł.

Obrócił sekator ostrzem w dół, wyjął sprężynę, wsadził w

kieszon i z wielkim zainteresowaniem zajrzał w otwór łożyska.

— U nas wszystko się wie. Kalalii nie ma, fakt, ale jak są rozkazy, trzeba, żeby był posłuch.

Agnieszka zaczęła się niecierpliwie:

— Niech pan nie trzyma mnie długo, bo do krewnych nie zdążę, jeszcze gdzie pójda. Nie poażuje pan — powiedziała półgłosem.

— Jabłka? — spytał obojętnie.

— Jabłka.

Ogrodnik opuścił sekator, wepchnął sprężynę w łożysko, przyciągnął narzędzie do nogi i zeszytywał w postawie zasadniczej.

— Znaczy się po jabłka — zmrużył lewe oko. — Zaraz to wymiarkowałem, jak tylko powiedziałaś, że masz przepustkę. Jak się nazywaasz?! — wrzasnął jej nad głową.

— Niech pan nie krzyczy. Agnieszka. Mówią mi jeszcze Dobra w Łózk.

Ogrodnik rozdziawił szczerbate usta i powachlował oczy jasnymi rzesami.

— He! — zdziwił się i zamyślił. — Po jabłka, mówisz, idziesz?

— Co tu ukrywać. Kto tylko dostanie przepustkę, zaraz idzie po jabłka. Niech mnie pan puści, nie poażuje pan — powiedziała prędko. — Dostanie pan swoją dolę.

— Jabłek, co? — poskrobał się w cofnięty podbródek.

— Jabłek.

Ogrodnik znów podrzucił sekator i zręcznie złapał go w powietrzu za rękojeść. Założył go potem jak karabin na ramię, ostrzem do góry. Patrząc na Agnieszkę wyprężył się, stanął na baczność i oklapł zaraz.

— Czego się na mnie uwzięłaś? Powinienem cię z miejsca przymknąć — rzekł udęczonej. — Markoci się człowiekowi, tyle że raz na jaki czas przewietrzy z kim gębę, a ty tak głupio, przekupić mnie chcesz. Ogrodnika na służbie chcesz przekupić. Myślisz, że mi pachną twoje parszywe psiarki? Mało tu ludzi z jabłkami chodzi? Jakbym chciał, to bym sklep mógł z jabłkami założyć, wielki interes na jabłkach robić. Dupnęliby mnie — dodał melancholijnie. — Nie ma mądrych. Jak tu się uda, to koledzy wyspią. Trzeba wyższego stanowiska.

Przyjrzał się jej.

— A ty wiesz, za co mój nadzorca wyleciał? Mało mu było, że się jabłek nażarł jak wieprz, to jeszcze po mieście handel uprawiał. Tak się rozpaskudził, że w kieszeniach nosił. A to jest zabronione. W kieszeniach albo i nie w kieszeniach.

— W kieszeniach — powtórzyła machinalnie.

— W kieszeniach. Cały rok nosił.

— Musi pan brać tyle, co on?

— I tak mam tego do obrzydliwości. I tobie mógłbym odpalić. Wczoraj się najadłem, że mi zęby pocierpły, sucharów nie mogłem gryźć.

— Widzi pan — powiedziała. — Wszystkim jabłka potrzebne.

— Ty to co innego. Na posterunku nie stoisz, nie pilnujesz, ja muszę z tego coś mieć. Tylko głupi by chciał tu tak stać. Szef dom sobie postawił, na przedmieściu, żeby nikt nie wywahał, ile ma wszystkiego po piwnicach! Im wyżej, tym więcej jabłek — rzekł ponuro. — I nam jeść dozwolone, bo nikt do tyłka nie zajrzy, ale mieć przy sobie niedozwolone, bo to demoralizacja się szerzy. Jakby złapali? Koniec służby, pierdel i malowanie kalalii — strzyknął gęstą śliną jak ptak z gałęzi.

Spojrzał na nią z nowym zainteresowaniem.

— Jak się nazywasz?

— Agnieszka.

— Jakoś inaczej mówiłaś.

— Niektórzy mówią: Dobra w Łóźku.

Zachichotał szczerząc pokrzywione zęby.

— Musisz sobie zdrowo dogadzać! Nie słyszałem, żeby tak którą wołali — rzekł patrząc na nią z respektem.

Agnieszka wzruszyła ramionami.

— Nie zrobiłam nic, żeby mogli wołać. Przyczepili się i tyle.

— Spotrafię ustać na rękach — pochwalił się. — Trzymaj sekator.

Podał jej narzędzie, cofnął się trzy kroki, zrobił głęboki skłon i oparł się dłońmi o ziemię wypinając chude pośladki. Odbił się i stanął na rękach chwiejąc się ciężko. Kiedy zrobił w jej stronę jeden krok, zauważyła, że próbuje zajrzeć jej pod sukienkę, i złączyła nogi. Ogrodnik po kilkunastu sekundach chybotania na rękach podniósł się z nabrzmiętą twarzą.

— Brzydka nie jesteś — orzekł patrząc na nią nabiegłymi krwią oczami. — Mówią ci: Dobra w Łóźku? Nie słyszałem, żeby o jakiej tak mówili.

— Niech mnie pan puści, późno się robi.

Ogrodnik stał przed nią czerwony od wysiłku, że znikającymi powoli z czoła żyłami, i oglądał ją uważnie od stóp do głowy. Kiedy podniosła rękę poprawiając włosy, znów przyssał się wzrokiem do jej pachy. Oczy mu znieruchomiały, ścisnął gwałtownie sekator i zsunął kask na tył głowy.

— Sama jesteś w domu, bez chłopca?

— Sama. Już drugi rok, jak maluje kalalie.

— Za jabłka?

— Nie. Jak było otwarcie muzeum i coś tam pokazywali, to on powiedział, że to nie kalalie. Zamknęli go za przypisywanie kłamstw miejskiemu zarządowi. Drugi rok maluje.

— A to były kalalie, te w muzeum?

— Skąd? Przecież kalalii nie ma, nikt ich jeszcze nie widział! Ogrodnik kiwnął głową ze zrozumieniem.

— Dzieci masz?

— Córkę. Ewa ma na imię.

— Twój chłop długo jeszcze będzie machał tym pędzlem?

— Jeszcze rok, jak się im nie wyda za mało i mu nie dołożą.

— A ty tak w biały dzień? Pod wieczór nie możesz? Teraz, żeby kto zobaczył i powiedział, żeś ze mną w zмовie? Nieczystość zamiaru w biały dzień widać jak na dłoni!

— Jaka nieczystość? Mam przepustkę!

— Głupia jesteś! Wszyscy, co tędy przechodzą, idą z przepustkami, ale każdy jest podejrzany, bo za miastem są jabłka. A pisze się w rejestrach tych, co dostają przepustki. Kiedyś za to chodzenie wszyscy bekniecie! Nie wiadomo zarządowi, kto jabłka je, a kto nie je. A tak, to wszystkim będzie po sprawiedliwości. Nie możesz iść po nocy?

— Nie mogę. Trzeba w domu zrobić, dziecko zagonić do łóżka, samej się przespać. Noc nie jest dla kobiety do chodzenia za jabłkami.

— Siedzisz w domu pod wieczór?

— W domu.

Ogrodnik zamyślił się obracając szelki na koszuli.

— Nie wiem, z jakiej urzędowej przyczyny jeszcze ciebie nie zamykam — rzekł zdziwiony. — Sama zeznałaś po dobrej woli, że idziesz po jabłka, nie musiałem za bardzo badać. Miękkie serce mam albo co? Gdzie mieszkasz?

— Przy ulicy Kalalii, na pierwszym piętrze, pod dwunastym.

Ogrodnikiem trochę jakby zatrzęsło, ale się opanował, oparł sekator na ramieniu i przedefilował przed Agnieszką trzy kroki w lewo i trzy z powrotem.

— W tym domu prezes nasz mieszka.

— Mieszka.

— To co? Maluje kalalie?

— Prezes?

— Głupia! — fuknął przestraszony. — O twoim chłopie mówię! Mówiłaś, że maluje.

— Maluje — powiedziała. — Niech mnie pan już puści. Muszę wrócić na czas, dziecku obiad gotować.

Ogrodnik bez pośpiechu zerknął na słońce.

— Mieszkaś tam, gdzie mówiłaś?

— Mówiłam już, że tam.

— Przechodzę tamtędy. Człowiek by wstał do kogo znajomego, herbaty wypił porozmawiał albo co. — Jasnorzęsym spojzeniem podmacał jej piersi.

— Ja wiem? — powiedziała niezdecydowanie. — To niech pan kiedy zajrzy, zaparzę herbaty, tylko żeby ludzie nie mieli o czym mówić.

Ogrodnik zeszywniał w kolanach.

— Bez kantów — zapowiedział — Lubię herbatę i posiedzieć dłużej lubię. Mnie niepilno, mogę na całą noc. Nie ma co robić, człowiek by gdzie posiedział albo co.

Chwilę patrzył na nią, po czym obrócił się na pięcie i pokazał jej plecy. Agnieszka ruszyła wymachując niesionym workiem.

— Rany boskie! — mruknęła oddaliwszy się sto metrów.

Obejrzała się przez ramię. Ogrodnik paradował drogą na sztywnych nogach, jak kogut. Przyspieszyła kroku. Było jeszcze wcześniej, ale upał dawał się we znaki od rana. Skóra wilgotniała od gorąca, chłodny wiatr owiewał dla równowagi ręce i nogi, kiedy tak szła z pustym workiem podbijając kolanami sukienkę i dla przewiewu odchylając ramiona od boków.

III

Prezes wyrwał się ze snu grząskiego jak trzęsawisko. Spokojem nocy nie cieszył się od dawna. W ostatnich miesiącach czuł się nie nadzwyczajnie, sprzeciwiło mu się to lub owo, raz po raz dopuszczał do siebie mętne przeczucia kłopotów, przeszkód większych niż dawne, zmartwień nie lada jakich oraz strachu, któregoś dnia wszystko, z czym ma do czynienia, obróci się przeciw niemu.

W świetle przeciekającym przez firanki, w płótnach łóżka przesyconego zapachem potu spała żona, a dzień bez litości demaskował starzejącą się skórę jej twarzy. Ten widok był mu przykry coraz częściej. Rad by się nawet wyrzekł niewinnego flirtu z Agnieszką, gdyby tylko tym sposobem mógł sobie oszczędzić codziennego widoku żony. Patrząc na nią myślał apatycznie, że nie ma rzeczy smutniejszej nad kobietę, z którą, choć się zestarzała i od dawna nie budzi pożądania, musi się sypiać. Co rano tym samym widokiem rozpoczynał się smutny dzień. Szcze-

rze nienawidził tego podtykanego mu przez los przypomnienia, że wszystko, jeżeli nie całkiem przemija, to w każdym razie wyradza się w niepożądaną postać obrzydły i tkwiący w świadomości niczym prawda o pięknym owocu, którego nie można przechowywać, bo sparszywieje tak czy owak.

Przeciwnął się. Nocna koszula zwinęła się pod plecami uwierrając go w pachy, ale bał się poprawić, żeby nie zbudzić żony. Zdumiał się wspomniawszy, że zadaje się z nią co wieczór z czystego nawyku, choć leżąc na jej przywiedłym brzuchu myśli o piersiach Agnieszki, które szczególnie podobały mu się w młodej kobiecie.

Dzień, wnioskując z tych paru znaków, zapowiadał się smutny i jałowy; od lat otaczał go smród ludzkiej niedoskonałości, a w pracy zaduch korupcji i obłudy.

Duża wskazówka zegara doszła do dwunastej, była ósma. Żona leżała zwinęta w kłębek, z brodą między tłustymi kolanami.

Prezes wygramolił się z łóżka, ubrał i wszedł do pokoju Marka, gdzie stwierdził, że syna nie ma. Kiedy wrócił do sypialni, żona otworzyła oczy i wpatrywała się w niego z senną wrogością. Bał się, że wezwie go do łóżka. Z mieszkania Agnieszki, na pierwszym piętrze, nie dobiegały żadne głosy; dał jej wczoraj przepustkę, pewnie poszła za miasto, a jej córka Ewa od rana gzi się z chłopakami po ulicach. Czuł się nieszczególnie, paliła go zgaga.

— Luluś — mruknęła żona owijając się szczelniej w pikowany szlafrok, w którym sypiała bez względu na pogodę i porę roku, utrzymując, że chroni ją przed zaziębieniem niemożliwym do wyleczenia bez jabłek — luluś — przypatrywała mu się żółtymi oczami wtopionymi w tłuszcz policzków — zrób sobie śniadanie. W lodówce są jajka. Jest jeszcze placek ze śliwkami — dodała i westchnęła cierpiętniczo. — Gdyby były jabłka, upiekłabym szarlotkę.

Prezes pociągnął nosem i skrzywił się. Dałby głowę, że w jego własnym domu ukrywa się przed nim jabłka. Szukał ich od czasu do czasu — bezskutecznie. Gdyby jego żoną była Agnieszka, potrafiłby ją zjednać dla programu kalalii i nie musiałby sam robić śniadania. Spróbował sobie przypomnieć, za co siedzi jej mąż; mogły to być jabłka, ale równie dobrze niedozwolone myśli.

Zostawił żonę w sypialni i przeszedł do łazienki. Obok, w pokoju Marka, było cicho i nagle wydało mu się, że cały dom zapada się w ciszę gwałtowną, ogarniającą wszystko, wprost bezdenną. Znieruchomiał i dopiero po dobrej chwili świat wrócił do równowagi. Usłyszał, jak żona przewraca się w łóżku szukając wygodniejszej pozycji, pewno wypina w jego stronę tyłek obło-

zony koldrą i pikowanym szlafrokiem. Wyrzał przez okno łazienki; na ulicy szurała monotonna samotna miotła.

Wziął prysznic, który go wcale nie orzeźwił; golić mu się nie chciało. Marudząc przeczłapał do kuchni i zrobił sobie jajecznicę, którą zgarnął na talerz nie czekając, aż jajka się zetną. Jadł ją na stojąco i sporządzał w myśli wykaz najważniejszych spraw, jakie dzisiaj należało załatwić. Potem ubrał się, wyszedł z mieszkania i ruszył po schodach w dół. Idąc obok drzwi prowadzących do mieszkania Agnieszki nie usłyszał nic prócz własnego oddechu.

Przed domem czekał samochód z miejskiego zarządu. Kierowca palił papierosa, z samochodu sterczał na zewnątrz łokieć w brudnym rękawie. Drgnął ujrawszy prezesa i niedbale uchylił daszka służbowej czapki, nad którym błyszczał symbol kalalii. Prezes wsiadając nie potrafił opędzić się wrażeniu, że od kierowcy jedzie cierpką wonią sfermentowanych jabłek.

Ulicę zamiatało paru ludzi. Samochód jechał powoli od jednej do drugiej miotły poruszającej się zygzakami po zaśmieconej jezdni. Prezes przyglądał się śmieciom przekonany, że w mierzwie zgarniętych w przyzmy najpospolitszych odpadków gniją nie dojezdzone jabłka i zatruwają powoli całe miasto.

— Jak tam pogoda? — mruknął nie patrząc na kierowcę.

Tamten wyrzucił niedopałek za okno, splunął w ślad za nim i pchnął kciukiem zjeżdżający na czoło daszek czapki. Był niesamowicie chudy.

— Tak jakoś — rzekł niechętnie.

— Wiadomo — mruknął prezes. — Deszcz albo słońce, albo nie wiadomo co.

— Jakoś tak — zgodził się kierowca. — Co bądź.

Jechali w milczeniu, samochód niósł się po asfalcie sztywno jak karawan. Prezes zerknął w bok i obmacał wzrokiem prawą kieszeń kierowcy.

— Co tam, tego, ludzie? Gadają?

Kierowca łypnął w lusterko nad przednią szybą i zassał językiem w zębach obrzydliwie i głośno; prezesa zaintrygowało to tak mocno, że z wielkim trudem wrócił myślą do sprawy.

— Co mają nie gadać — odparł kierowca. — Gadają jak popadnie, aby było.

— Co mówią? — spytał prezes z gasnącym zainteresowaniem; wszelka chęć poznania czegokolwiek nikła natychmiast po jej sformułowaniu. Gnębiło go w dalszym ciągu przeczcucie czekających go trudności, większych dziś niż wczorajsze, choć z całą pewnością mniej okazałych od przeznaczonych mu losem na jutro. — Co mówią? — powtórzył zacinając się i gubiąc przedmiot rozmowy.

Było mu w końcu wszystko jedno, jaka będzie odpowiedź. Znał wszystkie możliwości. Kierowca ssał ząb, jakby tkwiło w nim coś szczególnie dolegliwego. Pestka z jabłka, pomyślał prezes z gwałtowną nadzieją. Przyjrzał się podejrzliwie kierowcy i przesiadł z jednego pośladka na drugi.

— Co w tym zębie macie? Dziurę?

— Dziurę.

Samochód kiwał się między pryzmami śmieci.

— Pewnie duża ta dziura.

— Spora — rzekł niechętnie kierowca.

Prezes podrapał się po brodzie; nie zamierzał ustąpić.

— Pokażcie, zobaczymy, co w niej jest. Zatrzymajcie samochód.

Kierowca przyhamował. Przy krawężniku, niczym w napa-dzie śpiączki, poruszała się wolno zdarta miotła. Człowiek, który udawał, że nią kieruje, wlokąc ją za sobą zbliżył się na palcach do samochodu. Zajrzał do środka ściągając surowo wargi i mruczając chytrze oczy. Prezes patrząc bezmyślnie na śmieciarza pogmerzał w kieszeni, wyjął pudełko zapalek i odłupał cienkie dre-wienko. Kierowca jeszcze ssał ząb, ale kiedy prezes nachylił się do niego, cmoknął ostatni raz i otworzył szeroko usta. Prezes momentalnie ocenił skomplikowaną sytuację. W wilgotnej ciem-ności trudno się było rozeznać. Można było z powodzeniem coś w niej ukryć. Wetknął wykałaczkę na chybił trafił i nic nie widząc dźgał między pniakami raz za razem. Kierowca poruszał bojaźliwie powiekami.

Po dwóch minutach udało się prezesowi zmacać wykrot. Dziura nie była wielka, ale wiedział z doświadczenia, ile różnego smrodliwego świństwa mogło się w niej zmieścić. Kierowca to ściągał tchórzliwie wargi, to znów otwierał je pod palcami prezesa, szczerząc zęby jak pies.

— Szerzej!

Kierowca rozdziawił usta, aż mu zbiełał podbródek.

— Co tam macie? Coście dziś jedli?

Kierowca stęknął.

— Manę na mleku — powiedział, zamknął usta i znów je otworzył do przeglądu.

— A wczoraj?

— Jakieś zielsko, sałata, coś takiego.

— Nic nie czujecie?

— Nic.

— A może to było jabłuszko? Ładne okrągłe jabłuszko? — spytał prezes maskując niezdarnie groźbę.

— Nie było żadnego jabłka — wygulgotał kierowca.

Prezes zerknął w okno.

— Czego! — warknął prosto w twarz rozpląszczoną na szybie samochodu.

Śmieciarz szurnał butami i pokazał trzonek miotły. Prezes odwrócił się do niego plecami, wetknął swojemu pacjentowi drewnienko w usta i dźgnął potężnie w ciemność z lewej strony. Kierowca podskoczył na siedzeniu, chwycił się za szczękę i zaczął ujadać.

— No, już po bólu — rzekł pocieszająco prezes wyciągając na wykałaczce trochę szarej papki. — Co to może być?

— Nie wiem — zaskomlił kierowca trzymając się za twarz.

Prezes obwąchał drewnienko. Śmierdziało, nic nie można było wywnioskować. Spojrzał nieprzychylnie na kierowcę; badanie nie uśmierzyło podejrzeń.

— Możecie jechać! W miejskim zarządzie czekają na mnie ważne sprawy, a ja tu marnuję czas na byle co!

Samochód ruszył, rozpląszczona na szybie twarz odpadła i zaczęła się zmniejszać. Prezes zerknął do tyłu i zobaczył, że miotła porusza się w tempie wyrażającym pełen refleksji stosunek śmieciarza do zdarzenia, którego przed chwilą był świadkiem. Prezes z ulgą przypomniał sobie wątek przerwanej rozmowy i wetknął wykałaczkę w szparę samochodowej tapicerki.

— No, o czym ludzie gadają?

Okrążywszy plac przy muzeum kalalii podjeżdżali do miejskiego zarządu. Słowo „muzeum” nie było najszcześliwsze, bo przywodziło na myśl gromadzenie rzeczy, które wyszły z użytku, ale lepszego nikt w mieście nie potrafił wymyślić — trzeba było wyrazić zgodę na tę nazwę. Budynek był monumentalny, miał w sobie coś z zapowiedzi wiekuistego trwania.

— Nic specjalnego nie mówią — odparł blady kierowca wysysając z podwójną gorliwością dziurę w zębie. — Gadają, narzekają. Nic nowego. Wredny naród.

— Że nie ma kalalii?

— Że nie ma. Niektórzy powiadają, że ich nigdy nie będzie.

— I że nie ma jabłek?

— Też mówią.

— I że powinny być, co?

— Że powinny być, mówią — przytaknął kierowca zerkając z niepokojem na tył samochodu. — Mówią niektórzy, że jabłek nie ma głównie dla tych, co nie są przy zarządzie albo nie mają pieniędzy.

Prezes zamyślił się. Spodziewał się, że któregoś dnia zaczną się zwykłe oszczerstwa.

— Co jeszcze mówią? — spytał szeptem obejrawszy się za siebie.

Kierowca zwolnił, jakby chciał przedłużyć jazdę, po czym zatrzymał samochód, wylaż z niego, zajrzał pod karoserię i kilka razy huknął pięścią w pokrywę bagażnika. Wróciwszy za kierownicę zerknął jeszcze raz na tylne siedzenie, zapuścił motor i ruszył wokół placu.

— Mówią, że zastępca przywiózł wczoraj ze wsi cały metr jabłek — powiedział szeptem. — A jego żona, że robi na handel konfitury, kompoty i ciastka z jabłkami. Szarlotki jakież.

— Metr? — powtórzył prezes czując smutek uciskający go pod żebrami. — Cały metr?

— Tak mówią — powiedział kierowca.

Teraz spojrzeli po sobie jak współnicy.

— Zastępca? — chrząknął groźnie prezes.

— Zastępca — czknął kierowca, którego obleciał strach przed skutkami udzielanych informacji i chwycił się gwałtownie za szczękę. — Boli.

Po czym milczeli do końca jazdy. Prezes wysiadł z samochodu nie spojrzawszy na muzeum kalalii, co zdarzało się rzadko i stanowiło złą wróżbę. Wszedł do miejskiego zarządu i nie rozjaśnił twarzy. Sapiąc wdrapał się na drugie piętro, podał po drodze rękę kilku współpracownikom, których twarze od pewnego czasu zaczęły się zmieniać w twarze ludzi najzupełniej obcych, ledwie zauważył zastępcę, co wywołało wśród obecnych niezdrawe plotki, i wszedł do kancelarii, za którą był jego gabinet.

Sekretarka siedziała przy biurku i patrząc bezmyślnie na rozłożone czyste kartki nawijała na palec przetłuszczone włosy wiszące nad uszami w strąkach jak fasola. Ledwie się powstrzymał przed dokonaniem przeglądu jej otworu gębowego; jego węż niczym czuły chemiczny odczynnik i tu zwietrzył smród jabłek. Przeszedł przez kancelarię, otworzył drzwi do gabinetu, trzasnął nimi i dobrnąwszy za biurko wsunął się w głęboki fotel.

— Nikt nie dzwonił? — warknął po długiej chwili.

— Nikt, panie prezesie! — odkrzyknęła przez drzwi.

— Zęby bolą?

— Nie, panie prezesie, dziękuję, nie bolą!

— To czego, do cholery, żresz te jabłka! — huknął znieczeka, aż szyby zabrzczały w oknie, i opadł do tyłu zde gustowany oczywistym bezsenssem wybuchu. Bez przekonania otworzył szufladę, wyjął z niej cztery jabłka i zjadł trzy; czwartego nie ruszył, bo mu ścierpły zęby.

Sekretarka udawała za drzwiami, że szłocha. Budynek nabrzmiewał urzędowymi czynnościami. Interesanci polerowali bu-

tami posadzkę korytarza i kaszłac udawali szacunek dla miejskiego zarządu, a urzędnicy przekładali czyste papiery z jednego stosu na drugi i opatrywali je z hukiem wielkimi pieczęciami. Prezes przez otwarte okno dojrzał ogrodnika idącego z sekatorem na ramieniu wzdłuż ściany muzeum kalalii. Wszystko na opak, pomyślał i zaraz zapomniał, co miał ważnego dziś załatwić.

IV

Ogrodnik postął chwilę w miejscu wspierając się na sekatorze, obejrzał się, poprawił nad czołem zatłuszczony daszek i spróbował zagwizdać przez szczerbate zęby. Nie udało mu się, więc znów ruszył w obchód. Jego kroki przykucniętemu za bzem Markowi wydały się najzupełniej niemrawe; człapał jak śmieciarz, sekator nie dodawał mu szyku, bo go niósł jak miotłę. Gdyby tak zniecka czymś w niego cisnąć, ze strachu rzuciłby narzędzie i zgubił portki. Oni wszyscy są odważni, kiedy jest ich więcej. W pojedynkę mają pietra i patrzą tylko, czy im coś na głowę nie leci. Z politowaniem pomyślał o ojcu, który nieprzytomnie i bez powodu chwali się swoimi ludźmi.

Ogrodnik powłócząc nogami zniknął za rogiem betonowego muzeum, ale i stamtąd dobiegało jego dziadowskie szuranie, pocharkiwanie i odpluwanie. Sparciałe strachy na wróble, mruknął Marek z niesmakiem. Nasłuchując uważnie, pomacał się po obu kieszeniach. W jednej miał dwa jabłka, które dostał od Romka po ucieczce z parku, w drugiej butelkę tuszu i pędzelek.

Zdążył podpatrzeć, że ogrodnik po każdym dwóch okrążeniach kuca za krzakiem bzu po drugiej stronie ścieżki i pali papierosa wdmuchując dym w rękawy i rozglądając się ze strachu przy każdym szmerze. Teraz też przedelfilował przed frontem muzeum, zniknął za rogiem człapiąc jak ochwacony koń, po paru minutach znów się pokazał, zatrzymał obok gęstych krzaków, rozejrzał się, wgramolił w bez, kucnął i przypalił papierosa.

Kiedy zza krzaka podniosły się pierwsze kłęby dymu, Marek prędko wyszedł z ukrycia i ruszył na palcach do drzwi muzeum. Naciśnął kławkę. Drzwi ustąpiły bez najmniejszego oporu, ze środka wionęło przykrym chłodem; światła były wygaszone, małe okratowane okna z trudem przepuszczały dzienną jasność. Wnętrze muzeum podzielone było na trzy nawy dwoma długimi pro-

sektoryjnymi stołami ze starego szpitala. Kiedy pomyślał, że na ich zimnych blatach służących kiedyś do krajania nieboszczyków na pewno mimo gruntownego oczyszczenia został zapach krwi i formaliny, plecy pokryła mu gęsia skórka.

Przeszedł między stołami i stanął przy wschodniej ścianie. Wyciągnął z kieszeni butelkę tuszu i pędzelek na długim trzonku. Zbliżył się do pierwszej planszy i zadzierając głowę odkorkował butelkę. Na prostokacie białego kartonu widniały w drewnianych ramkach rzędy kolorowych liter. Umoczył w tuszu pędzelek, wspiął się na palce i wymalował na planszy pod nimi pierwszą literę.

Buty ogrodnika znów zaczęły obstukiwać ścieżkę wokół budynku. Tusz wysychał jak benzyna, musiał co chwila maczać pędzelek trafiając z trudem w wąską szyjkę butelki, ale prędko nabierał wprawy. Po dwudziestu minutach manewrowania pędzelkiem i przysłuchiwania się krokom z zewnątrz gotowy był pierwszy napis.

Odsapnął i przyjrzał się literom. Biegły równym rzędem, jakby trzymały się za ręce; wszystko było w porządku. Zakręcił butelkę, wytarł pędzelek w podszewkę kieszeni i cofnął się. Potem przysiadł na piętach za prawym stołem prosektoryjnym. Siedział cicho jak mysz pod miotłą i przysłuchiwał się krokom ogrodnika. Wyobrażał sobie, jaką będzie miał minę, kiedy otworzy o dziedziastej muzeum dla zwiedzających i zobaczy wymalowane napisy.

Przysłuchując się krokom odkorkował butelkę, podniósł z posadzki suchy pędzelek i stanął przy tej samej planszy. Dotknął palcem ostatniej litery. Była już sucha. Na tle poprzedniego kolorowego napisu jego czarne litery prezentowały się jak należy. Pociągnął pędzelkiem dalszych kilkadziesiąt znaków.

Potem podszedł do następnej planszy. Z nabytą już wprawą namalował kolejne hasło.

Przez chmury przedarło się słońce i uderzyło w brudne szyby. W muzeum pojaśniało trochę. Wytarł pędzelek. Szeregi liter na obu planszach ciągnęły się równo i wyraźnie, bez najmniejszego błędu — nie jakaś tam pisanina nieudolnych urzędników z miejskiego zarządu, poganianych przez ojca, który sam robi byki!

Nagle znieruchomiał. Obejrzał się zaskoczony i zobaczył ogrodnika wykraczającego do środka z ustami otwartymi na oścież. Ogródnik nie czuł się tu swobodnie; szedł powoli, wystawiwszy do przodu sekator, jakby ktoś tylko czekał, żeby mu się nadziać na ten widelec. Kiedy zauważył Marka, otwór w jego twarzy najpierw się bardzo powiększył, a potem skurczył i gapiowaty wyraz ustąpił miejsca chytremu uśmieszкови. Ogródnik zbliżył

się omiatając Marka rozbieganym spojrzeniem — szukał wyrządzonych szkód albo dowodów popełnionej kradzieży.

— No — sapnął. — Gadaj tu zaraz, czyżes?

Ruszył do Marka z wystawionym sekatorem, posuwając się po betonowej posadzce niepewnymi nogami portowego żurawia, któremu zjechało się z szyn.

— No, gadaj! Czyżes to taki gagatek?

— Mamy i taty — mruknął Marek i zamiast do pustej kieszeni wepchnął tusz tam, gdzie były jabłka i pędzelek.

Musiał teraz zyskać na czasie. Ogrodnik kłuł sekatorem powietrze, jakby to była pierzyna, pod którą ktoś się schował, i podchodził do niego coraz bliżej. Marek zrobił krok w tył, potem jeszcze jeden, ale zagroził mu drogę stół prosektoryjny.

— Mamy i taty? — zarechotał ogrodnik świdrując go oczkami ledwie widocznymi spod daszka. — Mam cię na oku nie od dzisiaj. Nie od dziś i nie od wczoraj! — powiedział, dźgnął sekatorem powietrze i ruszył nagle do ataku.

Marek uskoczył w lewo i znalazł się z prawej strony stołu. Bał się trochę, ale liczył, że i tak zdąży uciec, nim ogrodnik zrobi cokolwiek, żeby mu w tym przeszkodzić.

— Co tam posiadasz w kieszeni? — spytał tamten zezując jednym okiem na niego, a drugim na eksponaty wyłożone na obu stołach prosektoryjnych. — Co posiadasz w kieszeni, pytam! Pewnieś już co zwędził! Gdzie robi twój ojciec? Co masz w kieszeni? Gadaj, bo będzie gorzej!

— Gdybym chciał, mógłbym panu uciec i nic by mi pan nie zrobił! — powiedział Marek i przedreptał dwa kroki w lewo.

Stół znalazł się między nimi jak barykada. Ogrodnik dał susa do przodu i z łomotem uderzył łędwiami w blat.

— Lepiej ty w miejscu stój i się nie ruszaj! — powiedział rozcierając nogę. — Zastrzelę, jak będziesz uciekał!

Marek wzruszył ramionami.

— Nie ma pan przecież karabinu.

— Jakbym chciał, tobym cię i tak zastrzelił. Mogę strzelać i z sekatora. Pięć razy.

Marek udał, że wierzy.

— Eee! I trafi pan tak do pięciu razy?

Ogrodnik nadął się.

— Za pierwszym razem trafię. Jakem był w wojsku, tom trafiał za każdym. Ze mną lepiej nie żartować. Mówię ci po dobru, czyżes?

Marek udał, że nie słyszy pytania.

— W wojsku to co innego, a teraz już dawno pan nie

strzelał. Może ten sekator w ogóle się nie nadaje do strzelania! Skąd pan wie, że można z niego wystrzelić?

Ogrodnik jakby się zaniepokoił i obejrzał z uwagą sekator.

— Mówię ci, gadaj, czyżżeś? Tu nie ma żartów! Uciekać nie próbuj, bo zakatrupię jak psa!

Marek odsunął się trochę od stołu, bo od marmuru szło nieprzyjemne śliskie zimno. Stawiać tu takie świństwo, pomyślał. Zerknął na ogrodnika kołyszącego się monotonnie trzy metry od niego i kłującego powietrze ogrodniczym narzędziem.

Widząc, że więzień nie ucieka, ogrodnik rozejrzał się i zauważył świeże napisy na planszach.

— He! — powiedział. — Tyś to namalował?

— Co namalowałem?

— No, kto to wydrukował na tym papierze?

— Ja.

— Nie ma ci kto portek przetrzepać — mruknął. — Głupie to, młode, przyjdzie i zrobi na despekt. Ojca ci będą ciągać, nie wiedziałeś? Masz ty rozum? Co tam stoi?

— Takie różne rzeczy. Niewiele z tego będzie pan wiedział.

Ogrodnik zsunął czapkę na tył głowy i skrobął się w szczecinę nad uchem. Ustawił sekator pionowo na bucie i wyjął papierosa.

— Chyba co o dziewczynach. Tyś to wydrukował?

— Przecież mówiłem, że ja.

— Ładnieś zrobił — pochwalił ogrodnik. — Równy jak z drukarni.

Spojrzeli obaj na plansze i wrócili wzrokiem do siebie jak na komendę.

— I co teraz? — powiedział ogrodnik. — Tak czy inaczej trzeba cię przymknąć.

Marek zastanawiał się, jak wybrnąć z sytuacji, zanim zjawi się inny ogrodnik.

— Kto przyjdzie po panu?

— Kto by, kolega!

— No to się przecież z kolegą pan dogada. Niech pan mnie puści.

— A kolegę posadzą, co? Nieżleś to sobie obmyślił. Tobie nic, mnie nic, a jego posadzą?

— Powiecie obaj, że nikt tu nie wchodził.

Ogrodnik zerknął, wetknął papierosa w usta, ale go nie przypalał.

— Niech pan nie pali, to bardzo niezdrowo — powiedział Marek i wyciągnął z kieszeni ciepłe jabłko.

— Jabłko, powiadasz? Jakby mnie z jabłkiem złapali, fertyk,

bracie. Koniec z ogrodnictwem. Sekator do magazynu, ja do pierdła, a dzieci chyba kit z okien. Nie uważasz?

Rzucił futerał z nożycami i wydułbał z niego grubymi palcami pudełko zapałek. Czerknął zapałkę patrząc na jabłko w ręce Marka i kiedy się wypaliła, rzucił ją na posadzkę i przemamlał papierosa z jednego kąta ust w drugi.

— Jak amen w pacierzu — mruknął. — Poszedłbym do malowania kalalii. Myślisz, że mi się śpieszy na rok poniewierki! A żona nic, tylko się puszczać za marny grosz! No — powiedziały patrząc na jabłko — koniec gadania! Wyłaż zza stołu! Pokaż, co posiadasz w kieszeniach!

— Niech pan najpierw spróbuje to jabłko — zaproponował Marek. — Jak już chce pan koniecznie mnie zamknąć, to niech przynajmniej tego jabłka kto inny nie zje. Lepiej, żeby zjadł ktoś porządny. Z panem przynajmniej porozmawiać można.

Rzucił jabłko nad stołem. Ogrodnik chwycił je zręcznie ręką, w której trzymał zapałki. Wytarł owoc o spodnie i obwąchał gapiąc się na Marka.

— Dam panu jeszcze jedno. Niech pan tylko złapie, bo się obje.

Rzucił drugie. Ogrodnik chwycił je tą samą wielką garścią.

— Drugie dam dzieciom. No, po coś tu włożył? — powiedział teraz z odrobiną żalu. — Na co ci była ta głupiego robota?

Marek pomyślał z dumą, że pierwszy raz w życiu ma kłopoty jak dorosły mężczyzna.

— Nie wie pan, jak to jest? — zaczął.

Spojrzał uważnie na ogrodnika, na jego niezgrabny tułów, wypchane w kolanach spodnie, na rozczłapane buty i prawdziwie zatroskaną twarz, w której surowość i podejrzliwość prymitywnego umysłu walczyły z życzliwością.

— Niech pan tylko nie mówi, że to bzdury. Właśnie o to mi idzie, żeby mnie aresztowali. Jak tylko to zrobią, podniesie się gwałt. Jeżeli nawet nic tym nie wskóram, to przynajmniej ludzie będą wiedzieli, co myślę o tym, że kiedy nie ma jeszcze kalalii, zabrania się jeść jabłka. Niech pan tylko pomyśli, ile się stąd bierze wszystkiego zła. Ludzie siedzą i malują kalalie, ale to przecież czyste kpiny, bo nie ma żadnych prawdziwych kalalii, tylko ze szkła. No, nie?

Ogrodnik zerknął na drzwi.

— Na to by wyglądało — rzekł ostrożnie, patrząc na oba jabłka. — Macałem jednego razu, szkło rzetelne.

Zerknął na plansze i przyjrzał się rzędom czarnych liter.

— Głupi to ty niby nie jesteś, ale, Bogiem a prawdą, po co ci to było? Napytałeś, chłopie, biedy. Teraz tak: trzeba cię

zamknąć, innej rady nie ma. Ktoś rozczyta i choć pomyśli, że to, co tu stoi, głupie nie jest, to ten, co to pisał, nie miał w głowie jak trzeba. Ojca ci będą ciągać, życ mu nie dadzą, że niby źle wychował syna. Z roboty go zwolnią, a za tobą, choć żeś jeszcze dzieciuch, sprawa będzie się ciągnęła przez całe życie jak smród za wojskiem.

— To niech pan mnie puści! Zresztą nikt oprócz pana nie widział, że tu byłem!

— Może i nikt, ale powiedzą, że nie upilnował, i mnie posadzą. Tak źle i tak niedobrze. Nie ma rady, trzeba cię zamknąć.

— Powie im pan, że o niczym pan nie wie. Komu jak komu, ale panu uwierzą. Pan jest z ogrodnictwa, do pana mają zaufanie.

Ogrodnik westchnął.

— Komu oni wierzą! Może tyle co sobie, ale i to nie tak, żeby jeden drugiemu, nawet na górze. Każdy sobie wierzy. Myślisz, że niedzisiejszy, nie wiem, jak jest?

— To powie pan, że to było napisane, zanim pan przyszedł. Mnie tam zresztą wszystko jedno, aresztu się nie boję — powiedział. — Ale gdyby mnie jeszcze nie przymknęli, to może bym coś pożytecznego zdążył zrobić.

— Muszę cię zamknąć, nie ma rady.

Marek zastanawiał się chwilę.

— A kto był przed panem?

Twarz ogrodnika ściągnęła się.

— A taki jeden, sukinsyn — przypomniał sobie. — Powiedział raz, że spał w służbie. Przydali mi dwie noce, raz za razem. Kurwysyn! — splunął na posadzkę i roztarł ślinę wielkim butem.

— No, widzi pan — odpowiedział Marek. — Jego mogliby zamknąć?

— Że niby to za niego napisane?

— Oczywiście.

— To by nie było takie złe — rzekł ogrodnik z nadzieją. — Tylko on będzie gadał, że to się za mnie stało. A jak na dobre przyjdzie co do czego, jeszcze naszczeka, że ja to wszystko namalowałem.

— A on?

— Co on?

— Nic nie ma na sumieniu i we wszystkim mu będą wierzyć?

— Czekaj — powiedział ogrodnik odwołując się do pamięci.

— Taki czysty to on tam znowu nie jest. Ze dwa tygodnie będzie, jak go złapali. Jabłko ćpał.

— A pana złapali już kiedy z jabłkami?

— Zeszłego roku. Stoi w papierach moich.

— Powie pan, że po zmianie znalazł pan w krzakach ogryzki. Ogrodnik gapił się przez moment, w końcu zachichotał w garść.

— To niby on?

— No, przecież jasne.

— A skąd nabrać tyle ogryzków?

— Zje pan te dwa jabłka.

— Dzieciom chciałem, dawno nie miały.

— To jeszcze panu przyniosę.

Ogrodnik spojrział nieufnie.

— Tylko cię puścić, co? Tyle bym cię widział!

— Naprawdę panu przyniosę.

Tamten obmacywał przez kieszeń swoje jabłka.

— Ja wiem? — powiedział. — Niby wyglądasz na takiego, co przyniesie, ale co tam o innych można wiedzieć? A jak mnie wystawisz do wiatru?

— Na pewno przyniosę. Przecież nie mógłbym zrobić panu takiego świństwa! Przyniosę na pewno!

— A to by skurwysyn miał uciechę! Jak zejść stąd i zaniosę naczelnikowi rejonu ogryzki, posiedzi jak nic dwa tygodnie!

Pomiętosił przez kieszeń oba jabłka, podumał chwilę i zachichotał.

— A to dopiero! Tak ze dwa tygodnie! Za to, że jadł na służbie. I do tego jeszcze te napisy na ścianach. Kto widział tak pilnować! — rzekł z oburzeniem, grając rolę oskarżyciela w przyszłych wydarzeniach. — No — przyhamował. — Idź! Tylko przynieś te jabłka!

Marek odwrócił się i ruszył do drzwi.

— Więcej nie będziesz mógł? Żonie bym dał! — rzekł ogrodnik i nadgryzł pierwsze jabłko.

V

Godzinę później Marek stał za płotem i przyglądał się z uwagą pracującemu mężczyźnie. Młotek podnosił się, błyszczał w słońcu i odskakiwał od deski z głuchym łoskotem, mocna dłoń dźwigała go w górę i kazała mu spadać. Płot był stary, brakowało mu wielu sztachet, a kilkanaście metrów dalej widać było wielką dziurę; mimo że stamtąd widziałby lepiej wszystko, co działo

się na podwórzu, Marek wolał na razie nie opuszczać zajętej pozycji. Na krześle, obok stukającego młotkiem mężczyzny, siedział stary człowiek i wystawiał na słońce pomarszczoną szyję i twarz. Dłonie wisiały mu tuż nad ubitym klepiskiem podwórza; choć oczy miał zamknięte, wcale nie spał. Co chwilę podnosił powieki, przyglądał się wszystkiemu, rozdziawiał usta i zamykał je jak wielka szara ryba rzucona na brzeg prosto w ogromny upał.

Pracujący mężczyzna był brodaty, z koszuli rozpiętej na piersiach wyglądały ciemne włosy. Nie patrząc na nikogo zatrzymał na chwilę młotek i sięgnął lewą dłonią po gwoździe. Wętknął trzy między wargi; sterczały tam jak długi sztywny wąs. Jeden przytknął do deski, walnął go zdrowo młotkiem i gwoździe ze strachu schował się w desce po samą główkę.

Marek przekroczył powoli odległość dzielącą go od dziury w płocie, wszedł na podwórze i zatrzymał się obok krzesła. Staruszek miedlił coś w dziąsłach; otworzył oczy, obrócił głowę na pomarszczonej szyi i spojrzał na chłopca mrugając powiekami dużo prędzej, niż ruszał wargami. Marek palił się, żeby zobaczyć, co robi brodaty mężczyzna. Zrobił jeszcze krok i stanął przy staruszką. Mężczyzna podnosił i opuszczał rękę, młotek biegał od gwoździa do gwoździa prędkimi głośnymi krokami. Na prymitywnym warsztacie leżało coś w rodzaju prostokątnej łopaty, na której piekarz wsuwa chleb do pieca. Brodacz przybijał do łopaty długie drzewce. Staruszek zerknął na Marka, ruszył się w krześle i zrobił przypuszczenie:

— Ty pewnie stary złodziej?

Marek ostrożnie milczał.

— Czyj on? — spytał staruszek mężczyzny.

Brodacz błysnął jednym okiem; dalej wbijał gwoździe, na nic nie zwracając uwagi.

— Ty stary bandyta, co? — rzekł wobec tego staruszek i nie doczekawszy się odpowiedzi podrzucił głową jak pies, który straszy kłapaniem zębów naprzykrzające się muchy. — Tu dla kiepskiego złodzieja nie ma nic.

Marek zrobił krok w tył i otworzył usta, ale nie odezwał się. Okrążył staruszką na krześle i podszedł bliżej brodacza. Łopata pachniała żywicą i gryzła oczy świeżą bielą. Na ziemi obok blaszanki z zardzewiałymi gwoździami stała druga, większa, z płaskim pędzelem i czarną farbą.

— Musi on jeszcze co podwędzi! — ostrzegł brodacza staruszek. — Po coś tu wlaź? Kury macać poradzisz?

— Nie mamy w domu żadnych kur.

Staruszek pokręcił głową.

— Ty musi z bardzo wielkich panów? Nigdyś kur nie macał?

— Nie.

Brodacz opuścił młotek, uderzył i gwóźdź się schował. Młotek stuknął jeszcze raz. Staruszek wyciągnął z kieszeni wymięty kaptuch ze świńskiego pęcherza, z drugiej zapałki i fajkę.

— Jakbyś się czego chciał nauczyć — pokazał cybuchem dwie kury drapiące ziemię w kącie podwórza — to sobie którą złap. Każda do macania się nada.

Brodacz wyprostował się, odłożył młotek, podniósł łopatę, która, gdyby nie trzonek, bardziej byłaby podobna do małej tablicy szkolnej niż do piekarskiego narzędzia, i spojrzał pytająco na staruszka; ten przymrużył powieki, ciapnął wargami otwierając usta i uciekł oczami w lewo.

— Na twoje nieszczęście — mruknął i zaczął napychać fajkę; z ciemnego tytoniu wysnuł się zakisły smród nikotyny. — He! — powiedziała do Marka. — Toś z wielkich panów! Matka, powiadasz, kupuje jajka wiele razy jej trzeba?

— Nie mamy kur.

Staruszek zerknął uważnie.

— Dużyś chłop — sapnął w fajkę. — Wąsy ci się sypią. Pastuch by z ciebie był jak się patrzy. Wiele masz lat?

— Jedenasty — Marek przyglądał się indyczej skórze na szyi staruszka i wzdętym na niej żyłom. — W jesieni skończę.

— No, patrzcie! — chrzypnął tamten ucieszony. — Jedenasty!

Przypalił fajkę, pyknął gryzącym dymem, wyciągnął z kieszeni kozik, otworzył go i pochylił się do Marka.

— Dawaj jajka! — wrzasnął ostrząc kozik na dłoni jak na osetce. — Dawaj jajka!

Marek cofnął się. Staruszek z kozikiem w ręce kiwał na niego owędzonym paluchem. Brodacz szorował deski szklanym papierem.

— Będzie — mruknął do brodacza staruszek. — Głupiego za byle co przymkną. Ja bym tylko patrzył, żeby było czym po łbie kogo zmacać!

Brodacz wazył w dłoni swoje dzieło. Potem spojrzał na słońce. Był bardzo wysoki, ale w otwartej na piersi flanelowej koszuli robił tylko wrażenie szerokiego w ramionach. Krótka gęsta broda i czarne oczy pogłębione cieniem rzęs i brwi nadawały jego twarzy surowy wyraz. Staruszek pykał kwaśnym dymem, otwierał i zamykał usta, a jego pomarszczona twarz szukała słońca i jaśniała od wewnętrznej uciechy.

Marek zbliżył się do prowizorycznego warsztatu, gdzie leżał zagadkowy przedmiot.

— Co pan robi? — spytał brodacza. — W żaden sposób nie potrafisz zgadnąć, do czego to ma służyć.

Brodacz postukał palcami w deskę i odrzucił szklany papier.
— Samolot.

Marek okrążył wszystko jeszcze raz.

— Żartuje pan. Przecież to same deski i gwoździe! — Schylił się i podniósł kawałek odpiłowanego drewna. — Myśli pan, że będzie łatwo latać na czymś takim!

— Wcale nie powiedziałem, że łatwo. Wystarczy, jeżeli mi się uda jeden raz — rzekł brodacze przypatrując mu się z powagą. — Byle mi się udało raz na to wsiąść i polecieć, nie miałbym nic przeciw temu, żeby to była miotła pierwszej lepszej czarownicy.

Marek podtrzymał poważny ton rozmowy.

— Żeby to zrobić, potrzebny jest prawdziwy samolot, ze skrzydłami, z kabiną, z trzema kołami pod spodem i ze sterami, no nie?

— Zapomniałeś o najważniejszej rzeczy — uśmiechnął się brodacze. — Bez motoru ani rusz!

— Odrobina benzyny też by mu na złe nie wyszła!

Staruszek otworzył oczy.

— Dawaj fajka! — wrzasnął ostrząc tym razem na dłoni dymiącą fajkę. — Albo mi pożycz — dodał łagodnie. — Kuśka ci już odrosła?

— Nie wiem, o czym pan mówi — Marek poczerwieniał i spojrzał na brodacza. — Przydałby się jeszcze karabin maszynowy — powiedział nie zwracając uwagi na dziadka kipiącego z uciechy. Niedaleko by pan bez niego zaleciał, jakby tak pana obskoczyli w powietrzu miejscy ogrodnicy.

— Nie wolno strzelać do ludzi! — zauważył brodacze.

— Przecież wiem. Niech pan powie bez żartów, co to będzie?

Brodacz zmrużył oko i długi czas przyglądał się deskom. Kury pod parkanem rozgrzebywały ziemię, nieświadome mędrzyckiego biegu ludzkich spraw, a fajka w ręce staruszka dymiła jak komin dalekiego okrętu. On sam siedział na krześle niczym stary pirat, rozstawiwszy szeroko nogi w wyświechtanych portkach. Buty stały daleko od siebie i wystawiały spomiędzy porwanych sznurowadeł brudne języki, jakby chciało im się pić. Dziadek patrzył przed siebie oczami o tak rozwodnionym błękitnie, że ledwo było je widać w powiekach. Pozbijane przez brodacza deski leżały w słońcu i odbijały białą jego jaskrawe światło. Marek patrzył wyczekująco na brodacza.

— Bracie — odpowiedział tamten wreszcie — sam nie bardzo wiem. Kiedy dziecko mówi, że chce mieć zabawkę, to na pewno wie, czym chce się bawić. Mężczyźni stoją zawsze przed niewiadomą, a rozpoczęte przez nich sprawy często się obracają

przeciw nim samym. Jesteśmy obaj mężczyznami i musimy się z tym pogodzić. Nie pytaj, do czego to będzie służyć.

— Od razu wiedziałem, że to nie samolot — powiedział Marek zachowując nadal powagę. — Te deski wcale nie przypominają samolotu!

— Bracie — rzekł brodacze jeszcze poważniej — to może być więcej niż samolot.

Dziadek wyciągnął z kieszeni kozik i ostrzył go na twardej dłoni, żonglując trzonkiem i ostrzem, jak brzytwą. Rozdziawił usta do nowego wrzasku, ale nagle machnął ręką i wetknął kozik pod pachę; ostrze jarzyło się w słońcu długim płomieniem.

— Głupi głupcze — burknął do brodacza — napytasz sobie biedy. Żebyś był mądry albo żonaty, to by ci nie chodziły duperele po głowie. Wsadziłby jeden z drugim mordę w kubeł i czekał w cierpliwości.

— Nic nie rozumiem — powiedział Marek. — Co pan chce zrobić?

Staruszek przekrzywił głowę i zachichotał ni z tego, ni z owego.

— Bracie — rzekł brodacze — starzy ludzie szukają spokoju. Nic nie rozumiesz, bo jesteś młody, ale niektórzy na pewno się w tym połapią.

Odwrócił się od niego do swoich desek, podniósł młotek i stuknął po trzy razy w główkę każdego gwoźdźca. Potem ustawił pozbijane deski na sztorc i zaczął się z nimi mocować, sprawdzając, czy trzonek dobrze się trzyma reszty. Staruszek ujął nos w dwa palce, smarknął gniewnie na kury i obrażony zeszywniał w krześle. Od rozdeptanych butów szedł smród rozchodzonej skóry i czernidła, a otwarty kozik sterczał spod pachy jak parasol.

— Kalalie — mruknął staruszek. — To by ci były czasy! Miarkujesz, czyś cep jak inni? Tych witaminów, ile dusza zapragnie. Udają się na każdym kołku w płocie, na każdej wierzbie, jak gruszki. Wam młodym takie rzeczy w głowie, o jakich świat nie słyszał. Warto przeczekać zły czas.

— Kto tam wie? — powiedział brodacze, jakby traktując poważnie monolog staruszka. — Jedni mówią, że mają wyglądać tak, inni, że inaczej. Nikt ich jeszcze nie widział, w tym największe zmartwienie. Najczęściej racja tego, co na górze, żeby nie wiem jaki był jołop. Kapujesz, bracie?

— Jasne! — zgodził się Marek. — A jabłek nie ma!

— Jabłka! — skrzywnął staruszek, ożywił się niespodziewanie i spojrzął badawczo na Marka. — Ty! Z ciebie stary złodziej! Nie masz kawałka? Jużem dawno nie jadł, wy młodzi macie sposoby. Nie masz, co?

Marek pokazał otwarte dłonie.

— Nie masz! — sarknął smutno staruszek. — Twoja matka za każdym razem kupuje na rynku jajka, a ojciec trzęsie portkami, kiedy mowa o jabłkach! Pańska rodzina!

— To pan zna mojego tatusia?

— Ludzie! — powiedział staruszek nie słysząc pytania. — Co za nasienie rozpleniło się w dobrych czasach! Wszystko daj, zrób to i zrób tamto, wybieraj, choć nigdy nie wiadomo na co i na jakiego powiedzą, że trzeba. Tamtego roku — powiedział i pochylił się do przodu, a wystający spod pachy kozik dźgnął go w udo; syknął, wyrwał nóż spod pachy i wpuścił go w kieszeń. — Kurwa kurwie łba nie urwie! — mruknął i wciągnął pomarszczoną szyję.

— Co tamtego roku? — spytał Marek.

— Co? — staruszek nie mógł sobie przypomnieć. — Króliki ci się we łbie?

— Jakie króliki? Sam pan powiedział, że coś tamtego roku.

— Aaa — przypomniał sobie i zachichotał. — Pogoniło mnie raz na dwa końce. Po jabłkach, nie dziwota. Brzucho niezwyčajne. To dlatego, myślę sobie, nie wolno jabłek. Jakem się żenił... — zachichotał wstydliwie w zwinętą garść. — Nigdy sobie jeszcze po ludzku nie popił, dopiero na weselu. Z tym pod falbanki, z tym, z tamtym kieliszek. Jak przyszło co do czego, baba nie mogła się doczekać.

Marek odwrócił głowę.

— To samo z jabłkami. Jak ludzie długo nie jedli, to potem, tak sobie w górze myślą, na amen nie wolno, bo by wszystkich rozniosło. Żeby samym sobie też zabronili. Ich brzuchy widać mocniejsze.

Brodacz kawałkiem patyka zamieszał farbę w blaszance. We-tknął w nią pędzel, z kieszeni wyjął ołówek i przykładając do deski metalową taśmę najwyraźniej coś rysował. Staruszek znów zapadł w drzemkę. Fajka wyśliznęła mu się z ręki i stuknęła o ziemię. Kury drapiąc klepisko podwórka stanęły przy dziurze w płocie. Marek przykucnął na piętach. Przyglądał się brodaczo-wi, staruszkowi pogwizdującemu przez otwarte wargi i kurom wymykającym się pojedynczo na ulicę.

— Kiedyś przez jabłka dostałem solidne lanie!

— Jadłeś? — spytał brodacz nie odwracając się od desek.

— Nie, chciałem, żeby było wolno. Dużo złych rzeczy się dzieje. Wie pan, dzisiaj mało co nie zrobiłem czegoś, czego z pewnością bardzo bym żałował. Czuję się potem jak świnia — spojrzął na brodacza. — Coś w jabłkach musi być, skoro jedni

za nimi gonią, a drugim zależy, żeby nikt ich nie jadł. Aż mi się wierzyć nie chce, że ludzie sami się ich wyrzekli.

— Wyrzekli się? — powtórzył brodac. — Może niektórzy się wyrzekli. Właściwie nic nie wiadomo. Podejrzewam, że musiały działać jakieś inne przyczyny.

— I naprawdę nikt nie wie, jak do tego doszło?

Brodacz kucnął obok Marka i mieszał patykiem farbę.

— Dziś załatwiłem z procy parę tych szklanych baniek — powiedział Marek.

Siedząc w kucki długą chwilę milczeli. Brodac od czasu do czasu zerkał na niego.

— Czyj jesteś? — spytał później.

Marek odwrócił głowę i spojrzał w głąb podwórza na dom należący najwidoczniej do brodacza albo do śpiącego staruszka. Z komina szedł dym. Nie mógł przecież brodaczowi powiedzieć, jak się nazywa jego ojciec.

— No, co? Dlaczego nic nie mówisz? Chyba nie zapomniałeś nazwiska. A może w ogóle go nie masz?

— Mam. Byłoby lepiej, gdybym panu nie mówił.

— Wstydzisz się swojego nazwiska?

— Gdybym powiedział, jak się nazywam, zaraz by mnie pan stał wygonił.

Brodacz zagwizdał przez zęby.

— Z ciebie chyba słynny szpieg!

— To nie żarty! Nie przepędzi mnie pan?

— Masz coś na sumieniu?

— Nie o to idzie. Mój tatuś...

— No, kim jest twój ojciec?

— Mój tatuś jest prezesem miejskiego zarządu.

— W tym mieście?

— Właśnie.

Brodacz wyciągnął pędzel z czarnej farby.

— Mogłem się tego domyślić — powiedział. — Wprawdzie na syna kogoś, kto w tym mieście zamiata ulice, też wyglądasz, bo bardzo ładnie mówisz, ale bywa też inaczej. No, to pięknie! — rzekł i wrócił do mieszanina farby.

Staruszek pochrapywał. Z podwórza pouciekały już wszystkie kury. Brodacz wstał, podszedł do prowizorycznego warsztatu, pochylił się i kreślił coś ołówkiem szorując brodą po deskach.

— Co pan będzie robił z tą tablicą?

— Brakuje tylko, żebym się wszystkim zwierzał. Za pół godziny miałbym na karku nie tylko setkę miejskich ogrodników, ale i twojego ojca na czele jakiejś najważniejszej komisji.

Marek posmutniał.

— Wydaje mi się, że nie ma pan najlepszego zdania o moim tatusiu. Tak naprawdę, niezły z niego chłop, tylko taki niedzi-siejszy. Nic nie rozumie poza swoim miejskim zarządem. Czasem podejrzewam, że on się tylko bawi w te swoje kalalie i dopiero kiedy mu nic z tej zabawy nie wychodzi, udaje, że to poważna sprawa. Całkiem jak dziecko, mówię panu. Jak mu źle idzie, zaraz w krzyk i kogoś by chciał karać. Wcale to niewesoło mieć takie życie.

— Rzeczywiście niewesoło — zgodził się brodac. — Tym bardziej że nie potrafił własnego syna nauczyć dla siebie szacunku. To czasem bywa tragiczne i nie najgorszym na to lekarstwem jest trzepanie kurzu z portek, ale że tego nie robi, następcy z całą pewnością mieć z ciebie nie będzie.

Staruszek pokręcił się na krześle i obudził rześki. Zerknął na obydwoh i nagle rozejrzał się po podwórzu.

— Wszyscy święci miłosierni! — wrzasnął. — Gdzie moje kury?

— Za kogutem poszły — rzekł brodac. — Nie ma się co denerwować.

— Stara mi flaki poprzewraca gadaniem — poskarżył się markotnie staruszek. — Nie widziałeś, gdzie poszły? Do ciebie mówię — wyciągnął kozik do Marka. — Jakaś tu wlaź, to mógłbyś co zrobić dla niedołęznego człowieka! Żadnej pociechy z gówniarza!

— Co z tego będzie? — spytał Marek brodacza pokazując na deski. — Tablica?

— Tablica.

— I na takiej tablicy coś się zwykle pisze, prawda?

— Pisze się albo się nie pisze.

Marek wstał i rozprostował nogi.

— Potem z czymś takim idzie się między ludzi. Co pan na niej napisze?

— Zobaczę jeszcze — odpowiedział brodac — może nic. Lepiej wracaj do domu. Tam gdzie będę, może być niewyraźnie. Przede wszystkim byłoby niezdrowo dla twojego ojca, gdyby ktoś cię zobaczył przy mnie i przy tej tablicy. Powiedzieliby też że ciągnę dzieci w złą stronę, i nic by mi się wtedy nie udało.

— Panu się zdaje, że jak się ma jedenaście lat, to musi się być głupim? Bujda! Od samego rana chciałem zrobić coś takiego, żeby od razu było wiadomo, co o tym wszystkim myślę. Wcale mnie nie obchodzi, co kto powie o tatusiu i co powie tatuś. To nie są sprawy rodzinne!

Spojrzał zachmurzony na brodacza, który uśmiechnął się życzliwie i pokręcił głową. Dziadek siedział na krześle i przysłu-

chiwał się rozmowie, puściwszy w niepamięć sprawę zbiegłych kur. Marek kucnął i zachichotał.

— To dopiero heca!

— Lepiej się trzymaj z daleka ode mnie.

— Będę w pobliżu. Może się na coś przydam.

— Mówiłem już, powiedzą, że cię w to wciągnąłem. Nie znasz ich, co?

— O mnie nie musi się pan martwić.

Brodacz przyglądał mu się w zamyśleniu.

— Prawdę mówiąc, żadnego zaproszenia jeszcze ci nie wysłałem.

— To niech pan czym prędzej to zrobi. Przydam się. Już sam dziś coś niecoś zrobiłem. Mój tatuś jest prezesem.

— Właśnie!

— Wystarczy, że zobaczą mnie przy panu. Bardzo dobrze będą wiedzieć co to znaczy.

Dziadek znów się zdrzemnął, ale po minucie, w czasie której brodacz pośpiesznie malował tablicę na czarno, a Marek próbował mu w tym pomagać, otworzył jedno oko. Pod pachą sterczał otwarty kozik. Kur nie było; dziura w płocie ciemniała jak luka w szczęce spróchniałych zębów. Zerknął niepewnie na dom, przymknął na chwilę bladoniebieskie oko i wyrwał kozik spod pachy.

— Dawaj jajka! — wrzasnął i przewiercił nim powietrze.

— Dawaj jajka!

Brodacz kończył malować tablicę. Marek okrążył dziadka z jego kozikiem i krzesłem. Wylaźł przez dziurę w płocie na ulicę i trzymając ręce w kieszeniach pomaszerował pod miejski zarząd.

VI

Agnieszka długo nie otwierała oczu, choć wiedziała, że ten sam mężczyzna co zawsze, prawdopodobnie właściciel sadu, stoi za krzewem porzeczek i obserwuje ją pilnie, jakby była egzotycznym stworzeniem. Już od godziny leżała na wznak pod jabłonią, patrząc w górę na jabłka wiszące gęsto nad głową i na chmury przejrzyste i lekkie jak puch, które na różnych wysokościach kręciły się po niebie w różne strony. Nie pamiętała, kiedy się czuła tak dobrze.

Ze wzgórza, gdzie leżał sad, mogła otworzywszy tylko jedno oko obserwować ścieżkę do miasta wijącą się konwulsyjnie między poletkami zboża jak podrażniony wąż, ale wolała tam nie patrzeć. Miała i tak w pamięci wszystkie krzywizny tej ścieżki, wszystkie uskoki i zbruchacenia. Miasto leżało na wzgórzu, oddzielone od wioski, w której był sad, wielką długą doliną, i lekko dymiło w słońcu, jakby było wilgotne. Myślała leniwie, co teraz robi Ewa, i przychodziły jej do głowy wszystkie dziwne rzeczy, jakie się dzieją w mieście. Dwadzieścia metrów od niej piaszczystą drogą szli ludzie, wydawali jej się nie tylko wolni od jakichkolwiek kłopotów, lecz także pozbawieni ciężaru wszelkiej winy. Zazdrościła im życia, które, kolorowe i beztroskie, płynęło we wsi pełnej jabłek.

Potem otworzyła oczy i spojrzała w górę. W liściach przyszarzałych już trochę od upału błyszcząły żółtawe owoce.

Nie zjadła jeszcze ani jednego jabłka i wcale jej się do tego nie spieszyło. Zawsze tak z nią bywało, ile razy tu przychodziła. Leżała pod jabłonią całymi godzinami. Gałęzie gięły się od owoców tuż nad jej głową, mogła jeść, lecz odwlekała chwilę, kiedy sięgnie po pierwsze jabłko. Czasami była pewna, że gdyby mogła przychodzić tu bez przeszkód, nie musiałyby wcale ich jeść. Teraz widząc je oblizywała od czasu do czasu wargi, czuła na języku ich smak, otwierała raz po raz oczy i kiedy zapominała całkiem o mieście, uśmiechała się do swoich myśli.

Podniosła ukradkiem powieki. Mężczyzna stał za krzewem porzeczek i patrzył na nią zatroskany niezwykle, prawie się teraz z tym patrzaniem nie kryjąc. Obróciła się w jego stronę tak prędko, że nie zdążył uciec ze spojrzeniem ani się schować za porzeczkami.

— Dlaczego mi się pan tak przypatruje?

Mężczyzna zakołysał ramionami i przedrepnął w miejscu dwa razy, udając, że teraz dopiero się zbliża, po czym zakaształ w zakłopotaniu. Był niski, miał bardzo długie ręce; wisały mu wzdłuż boków, otwarte dłonie kołysały się na wysokości kolan. Była pewna, że gdyby chciał stanąć na czworakach, wystarczyłoby mu pochylić się trochę do przodu i bez trudu dotknąłby dłońmi trawy.

— Dlaczego pan tak na mnie patrzy? — powtórzyła i kątem oka spojrzała w górę na jabłka. — Ile razy tu leżę, zasłania się pan krzakiem porzeczek i przypatruje mi się pan stamtąd całymi godzinami. Nie ma pan nic do roboty? Czasem myślę, że ma mi pan może coś ważnego do powiedzenia. Bo przecież gdyby miał pan coś przeciw temu, że jestem w tym sadzie, dawno by mi pan to powiedział.

— Od czasu do czasu odpoczywam — powiedział mężczyzna kołyszając rękami. Wyszedł zza porzeczek i zbliżył się do niej. — Zawsze mam dużo roboty i kiedy się zmęczę, przychodzę tutaj. Niech pani nie myśli, że robię to tylko wtedy, kiedy pani tu jest. Przychodzę co dzień. To bardzo przyjemne miejsce. Najprzyjemniejsze w całym moim sadzie.

— Tak, bardzo tu ładnie.

— Jest bardzo cicho, nikt tędy nie chodzi.

— Dla mnie najważniejsze, że są tu jabłka. Bardzo lubię patrzeć. Chyba bardziej niż jeść.

Mężczyzna kołyszając dłońmi przy kolanach podszedł jeszcze bliżej i zatrzymał się tuż przy niej. Teraz oglądał ją sobie z góry, a ona patrzyła na jabłka, widząc kątem oka, że jego dłonie chwieją się nieprzerwanie; muskając spodnie jak dwa wahadła zbliżają się do kolan i oddalają na przemian.

— Przychodzę nie dla jabłek. Jabłka tu są wszędzie i trzeba się mocno starać, żeby zobaczyć w nich coś nadzwyczajnego. Od czasu do czasu, kiedy mam ochotę, jem jedno, i koniec. — Okrążył ją i stanął w tym samym miejscu co przedtem. — Naprawdę nie macie u siebie jabłek?

— Nie mamy.

— To dziwne. Jak się bez nich czujecie? Powiedziałem, że nie widzę w jabłkach nic ciekawego, ale to chyba bierze się stąd, że mamy je bez przerwy. Nie potrafię sobie wyobrazić miejsca, gdzie by ich mogło nie być. Dla mnie są częścią krajobrazu, jak drzewa i rzeki. Dziwne, żeście się ich pozbawili.

— Nie można powiedzieć, że to myśmy się ich pozbawili. W każdym razie wszystko to po to, żeby prędzej były kalalie.

Mężczyzna zamyślił się, jego ręce znieruchomiały.

— Był tu wczoraj jeden człowiek — rzekł szeptem. — Mówił, że gdzieś zakładają całkiem nowe niebo.

Agnieszka parsknęła śmiechem; mężczyzna spojrział na nią z powagą.

— Powiedział, że zanim umrę, powinienem oddać wszystko, co mam, bo tam i bez tego będzie lepiej. Ale ja myślę, że człowiekowi niczego nie wolno odbierać. Nie dam, i koniec.

Agnieszka zamyśliła się na chwilę.

— Będziemy mieć kalalie, które są więcej warte od waszych wszystkich jabłek — powiedziała. — Myśli pan, że gdyby były, to bym tu przychodziła? Jeszcze trochę, a wy do nas będziecie chodzić po kalalie.

Ruszyła się na trawie i odrobinę dźwignęła głowę. Ręce mężczyzny, które kiwały się dotąd jak wahadła, zwisły bezwładnie.

— Ma pan pewno ochotę sięść przy mnie, żebyśmy sobie

razem mogli poodpoczywać? — powiedziała Agnieszka i przy-
mknęła powieki obserwując go chytrze przez rzęsy.

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Ten człowiek powiedział, że powinienem sam ze wszyst-
kiego zrezygnować. Mówił nawet, że powinienem chcieć wcześniej
umrzeć. Ale kto wie, jak długo trzeba będzie czekać na to nowe
niebo? Może go wcale nie zamierzają robić, może nie potrafią.
Powiedział, że będzie tam wszystko, czego człowiekowi potrzeba.
Głupi jestem, nie wiem, co robić.

Agnieszka wzruszyła ramionami.

— Mam dość wszystkich rozmów o jabłkach i o kalaliach,
i o niebie też. Wolałabym, żeby pan sobie usiadł przy mnie,
porozmawialibyśmy o czym innym. To żadna przyjemność wyrwać
się z miasta raz na jakiś czas i słuchać o tym, czego nie ma.

— Każdy ma jakiś problem — powiedział mężczyzna nie
zwracając na nią uwagi. — Jak myślisz, czy jak nie zechcę tam
pójść, to i tak mogą mnie zmusić? To byłoby bardzo niedobre.
Człowiek ma swoje potrzeby. Nie mogę pozbyć się tego, co mam,
żeby czekać na to, czego może wcale jeszcze nie będzie.

— Nie mam pojęcia — mruknęła.

— Nie rozumiem, jak mógłbym tak pochopnie zrezygnować.
Długo bym bez wszystkiego wytrzymał? Pytałem tego człowieka,
bo wcale mnie nie przekonał, czy to ich niebo na pewno będzie,
ale jakoś niewyraźnie mówił. Całą noc nie spałem. Postanowiłem
czekać ze wszystkim. Słyszałem — rzekł nagle zwracając uwagę
na Agnieszkę — że wasz zarząd miejski ma tak dużo kłopotów
z ludźmi, którzy przemycają jabłka, że nie ma czasu myśleć
o kalaliach.

— To niemożliwe. Ja się zresztą na tym nie znam. Nie znam
się na niczym. Wiem, że jabłka są dobre, i choć może są gdzieś
owoce od nich lepsze, dla mnie to jest ważne, że na razie nie
ma kalalii.

Mężczyzna wrócił do swoich myśli.

— To musiał być zły człowiek. Może dlatego, że głodny i
obdarty. Na pewno wszystko, co mam, chciałby zostawić sobie.
Oni dopiero to niebo będą robić. Czy to nie śmieszne? A ci
wszyscy, którzy do tego czasu umrą, będą musieli gdzieś czekać.
Albo to niebo wcale nie będzie lepsze. Zastanówmy się, co wtedy?
Cofnąć się? Za późno, bo już się wszystkiego pozbyłem.

Agnieszka zerknęła na jabłka i przez gałęzie na niebo.

— Strasznie mnie męczy to wszystko. Odechciewa mi się
nawet jabłek. Przysięgam.

Mężczyzna puścił w ruch długie ręce. Brwi mu się nastroszyły.

— Brak jabłek psuje was. Robicie wszystko, żeby je zdobyć,

choć wam tego nie wolno, a potem, kiedy was karzą, zachowujecie się jak przestępcy. Jeżeli kiedyś w waszym mieście zechcą kogoś powiesić za zjedzenie dwóch jabłek, wszyscy znajdziecie wytłumaczenie w prawie i nikt się tej śmierci nie sprzeciwi. Czy to też nie jest śmieszne?

Agnieszka zerknęła na niego poruszona do żywego.

— Niech pan sobie pilnuje swojego nieba albo niech pan przyjdzie do nas. Mam nadzieję, że znajdą się u nas mężczyźni, z którymi będzie się pan mógł w tej sprawie dogadać. Myśli pan, że można o tym wszystkim mówić tylko do dzieci i kobiet, do pomyślonych i starców? I dlatego na słuchacza wybrał pan sobie kobietę?

— To żaden wstyd, jak zostaną przy moim sędzie — powiedział mężczyzna. — Sad ma dużą przewagę nad tym ich niebem. Sad jest, a nieba nie ma. A u was nie jest najlepiej.

— Nie ma pan żadnego prawa o tym mówić. Nam, kiedy się znajdziemy za miastem, wydaje się, że powinniśmy występować w roli proroków, rzeczników własnego losu, później mamy to sobie za złe. Ale okazuje się, że nawiedzonych i tutaj nie brak, tylko że zamiast sobą, zajmujecie się innymi!

Potem milczeli. Jabłonie chwiały się w krótkim wyżynnym wietrze. Mężczyzna kołysał ramionami, spoglądał na ścieżkę zbiegającą w zboża i na dolinę. Nad miastem widocznym jak na dłoni wisiła chmura żółtawego kurzu podświetlona przedpołudniowym światłem jak blaskiem niewidocznych reflektorów. Opalone ręce Agnieszki pokryły się gęsią skórką; potarła je.

— Może bym do was przyszedł dowiedzieć się, co mam robić — rzekł mężczyzna obserwując ją uważnie — ale trzeba idioty, żeby was o to pytać. Sami sobie nie umiecie poradzić.

— Dużo pan wie! Żyje pan sobie, pracuje i kiedy się pan zmęczy, przychodzi pan sobie pod jabłonie, bez żadnego pojęcia, ile są warte. Zmęczona jestem.

Mężczyzna spojrział na drzewa.

— Prawdę mówiąc, zmęczenie to jedyna rzecz, jaka do was dociera. Jesteście zmęczeni przemytem jabłek, zmęczeni myśleniem o jabłkach, zmęczeni myśleniem o kalaliach i zmęczeni niemyśleniem o jabłkach.

— Słyszeć o tym wszystkim nie chcę. Kalalie, niebo! Muszę wracać do domu.

— Właśnie. Zastanawiam się, jakim cudem wasz prezes wyhoduje z wami te kalalie. Ja na jego miejscu nie odważyłbym się. Chyba na cokolwiek jest jeszcze u was za wcześnie. Może jak umrzecie wszyscy i trumnę ostatniego z was zakopią na cmenta-

rzu, a z waszego pokolenia nikt już nie zostanie przy życiu, młodzi będą mogli dopiero zacząć od nowa.

— Przyszedłby pan z tym wszystkim do miasta i powiedział to mężczyznom. Nienawidzę proroków żyjących w bezpiecznym miejscu! Czy aż tak bardzo boi się pan o swoją skórę, że nigdy pan do nas nie przyjdzie?

Mężczyzna spojrzął na leżącą z góry.

— Byłem u was kilka razy, ale jesteście do niczego. Nie tylko boicie się słuchać ludzi postronnych, ale głos waszych własnych mężów, kochanek i żon wydaje się wam coraz bardziej podejrzany. A ty? Potrafisz się jeszcze kochać? Czy nie przeliczasz wszystkiego coraz częściej na jabłka, nawet kiedy ci się wydaje, że robisz to dla własnej przyjemności? Przecież doskonale znasz cenę wszystkiego w jabłkach!

— Niech już mi pan da spokój! Niech to wszyscy diabli! Po co ja tu dzisiaj przyszłam? Nie mogłam spokojnie siedzieć w domu!

Długie ramiona mężczyzny kołysały się rytmicznie. Agnieszka patrzyła w bok. Chmura kurzu szła nad miastem od przedmieścia do przedmieścia i przepływała powoli w prawo. Wioska, na której skraju leżał sad, była zupełnie cicha, tylko od czasu do czasu pies szczekał, odzywało się domowe zwierzę albo uderzał w uszy krótki krzyk czy śmiech dziecka. Sad pachniał jabłkami, całe powietrze nasycone było ich odurzającą i ciężką, prawie bezwstydną wonią.

— Zmęczył mnie pan tą rozmową — odezwała się. — Jeszcze trochę i będę musiała iść. Swoją drogą, dobrze tu jednak. Może dlatego, że nie muszę nic robić za te jabłka. Ani się bać, ani udawać, że się boję, ani udawać, że się nie boję, nawet nie muszę płacić.

— Po prostu przychodzisz i bierzesz, ile chcesz.

— Jak tak sobie pomyślę — mruknęła — to człowiekowi musi się zrobić smutno. Ma pan rację. Zły byłby to dzień, w którym przehandlowałby pan swoje wszystko za jakieś nie istniejące jeszcze niebo. Jedno słowo, i nie ma pan nic. A potem u nikogo nie mógłby pan się nawet dowiedzieć, jak długo ma pan jeszcze czekać. Czasem wierzę, że z czekania coś w końcu może wyniknąć, ale częściej brak mi cierpliwości.

— Czekać można, ale najgorsze, że gdybym się wszystkiego wyżył, o niczym innym nie mógłbym myśleć.

— Mam córkę — powiedziała Agnieszka — ma trzynaście lat...

— Najgorzej u was z dziećmi — mruknął mężczyzna. — Wszystkie utracą niewinność.

— Dlaczego się pan uparł?! Czy pan przypadkiem nie jest z naszego miasta? Czy to nie pana skazali pięć lat temu za kradzież? Nawet jest pan do niego podobny!

Mężczyzna okrążył ją kołysząc ramionami. Jego dłonie z szelstem ocierały się o spodnie.

— Może byś tu została? — spytał niespodzianie.

— Ja?

— Dlaczego nie? Mój sad, mój dom.

Spojrzała na niego.

— Z całą pewnością nie ma pan żony i nigdy jej pan nie miał. Kobiety też chyba pan jeszcze w życiu nie miał?

— Żonaty nie jestem — potwierdził. — Jakoś się dotąd nie starałem.

— A teraz pomyślał pan, że mógłby pan mieć bardzo tanio żonę, prawie za darmo, za jabłka, których tu sobie nie cenicie.

— Jabłka się u nas nie liczą. Tylko niektórzy próbują zrobić na nich interes. Chciałbym, żebyś tutaj została. Byłoby ci dobrze, dom mam ładny. Mieszkaj w nim, jest sad.

Agnieszka dźwignęła głowę.

— Leżę tu i tracę czas. Dawno powinnam być w domu. Nie wiem, co się dzieje z moim dzieckiem, może chodzi głodne albo ją kto namówił do czego złego.

Podniosła się, obciągnęła sukienkę i spojrzała na jabłka. Mężczyzna przygarbił się i kołysał w ramionach. Wiatr szedł między jabłoniemi, wzbijając kurz ze ścieżki biegnącej tuż za płotem. Żółtawa chmura nad miastem przesunęła się w prawo jeszcze bardziej.

— Nie wiem, co w tym swoim mieście widzicie. Przychodzą tu was całe gromady. Ktoś od czasu do czasu zostaje miesiąc, dwa, najwyżej rok, czasem ktoś w ogóle już nie wraca, ale nigdy się nie zdarzyło, żeby nie myślał bez przerwy o powrocie. Tak jakby każdy z was był niewolnikiem miasta. Nie dziwiłbym się temu, gdyby wam w tym mieście było naprawdę dobrze. Namawiam cię, żebyś została, nie chcesz. A za tydzień znów przydziesz i znów będziesz leżeć gapiąc się na jabłka całymi godzinami. Potem znów wrócisz. Może się zdarzyć, że następnym razem nie dadzą ci przepustki. Dlaczego nie zostaniesz tutaj?

— Sama nie bardzo wiem — przyznała Agnieszka dotykając ręką pnia jabłoni. — Powodów jest bardzo dużo, ale może żaden nie jest rozsądny. Może dlatego musimy wracać, że tam jest nie tylko głód jabłek, ale i głód kalalii. Może oni w miejskim zarządzie wiedzą, że każdy z nas wcześniej czy później wróci. Może tak właśnie powinno być? Nie zrozumie pan tego tak długo, jak długo nie będzie pan jednym z nas. Nie wystarczy odwiedzić nas

parę razy, żeby wszystkiego się dowiedzieć. Trzeba chcieć skądś uciekać, a pan nigdy nie miał najmniejszego powodu. — Rozejrzała się bezradnie po jabłoniach. — Stoi pan przy mnie, macha tymi swoimi długimi rękami, i co pan z tego rozumie? Nic.

Sięgnął ręką do gałęzi wiszącej nad jej głową.

— To wracasz?

— Oczywiście! Ile pan by zechciał za worek jabłek?

— To śmieszne — odparł natychmiast i przyciągnął do siebie gałąź — jak żyję, nikomu nie sprzedawałem jabłek. Kto chciał, brał, i ile chciał, brał. I tak dużo się marnuje. Ale kiedy pytasz, ile chcę za te jabłka, zaraz mam chęć sprzedawać. Jakby mi szkoda było okazji. Pieniędzy nie chcę, bo wasze pieniądze nie mają tu wartości. Wiem, co bym chciał. Najlepiej, żebyś została. Nigdy nie sprzedawałem jabłek — powtórzył w zamyśleniu — a teraz nie widzę powodu, żeby dawać za darmo.

Agnieszka opuściła głowę i zacisnęła drobne zęby.

— U nas wszyscy myślą o jabłkach. Ogrodnicy, urzędnicy z miejskiego zarządu, nawet ci, co już nie mogą ich jeść, bo zdrowie im nie pozwala. Prawie wszyscy coś sprzedają za jabłka. Widzi pan, jakoś mi się dotąd udawało, a teraz mam kupować jabłka tu, gdzie są za darmo?

Mężczyzna obszedł ją dokoła, trzymając się mocno gałęzi. Wyglądało, jakby się bał wypuścić tę gałąź z rąk albo chciał się na niej pohuścić jak małpa na linie, ale jego spojrzenie powiedziało jej, że gałąź jest rodzajem smyczy, do której sam się przywiązał, żeby nie przekroczyć wyznaczonej przez siebie granicy. Krążył na tej uwięzi jeszcze sporo sekund, wreszcie puścił gałąź i zatrzymał się przed nią twarz w twarz. Jedno oko miał zmrużone, usta wykrzywił mu grymas, a obie ręce kołysały się gwałtownie w przód i w tył, ocierając się o przygięte kolana.

— Zaraz odejdę — powiedział z wysiłkiem — ale nie rwij od razu tych jabłek. Nie rwij tak długo, jak długo będziesz mnie widziała. Kiedy odejdę, możesz ich sobie narwać, ile zechcesz. Wydawało mi się zawsze, że wasze sprawy to tylko wasze sprawy i że wasze nieszczęścia psują tylko was. Ale i z nami też zaczyna się dziać coś niedobrego. To, co wyprawiacie u siebie, zaczyna się i na nas odbijać. Nigdy nie sprzedawałem jabłek, ale odkąd zaczęłaś przychodzić, chęć zysku nie daje mi spokoju. Jeszcze parę lat i nikt u nas nie będzie mógł powiedzieć, że jest uczciwy jak dawniej.

Odwrócił się od niej.

— Niech pan poczeka!

Podeszła do niego i obróciła go twarzą do siebie. Dopiero

teraz zauważyła, że jest od niej o wiele młodszy. Niższy o całą głowę, ze swoimi długimi małpimi rękami wiszącymi przy kolanach wyglądał jak młode żafosne zwierzę. Stał przed nią upokorzony, pokraczny i patrzył na nią smutnymi wilgotnymi oczami.

— Och, sieroto! — mruknęła przyciągając do siebie jego głowę. — Nie będziecie ciągle niewinni!

Chwyciła go za włosy, przyciągnęła bliżej jego twarz i robiąc między jednym a drugim pocałunkiem długą przerwę, całowała go spokojnie i mocno. Czuła, że coś wstrząsa całym jego ciałem, a wiszące bezradnie ramiona uderzają ją lekko po udach. Odepchnęła go, a on nie otwierając oczu rozkołysał najpierw dłonie koło kolan i dopiero kiedy ramiona zaczęły się znów kiwać jak wahadła, zrobił pierwszy krok. Patrzyła za idącym. Szedł najpierw między drzewami, a potem ścieżką i malał coraz bardziej. Ręce dalej ocierały mu się o nogi; wyglądał, jakby uciekając trzymał się za kolana.

Stała jakiś czas pod jabłonią w niecierpliwym wahaniu. Przemogła się po paru minutach. Wcisnęła zebraną sukienkę między nogi, wdrapała się niezdarnie na pochyłony pień, ściskając go gołymi udami, złapała najniższą gałąź i odrapując skórę na nogach zaczęła nią potrząsać z całej siły. Jabłka uderzały o gęstą trawę i toczyły się w niej jak bilardowe kule. Agnieszka zesza z drzewa, zebrała skrzętnie jabłka do worka, worek zarzuciła na plecy i marszcząc brwi dotarła do furtki. Patrząc w stronę domu męczyczyni otworzyła ją, zamknęła za sobą i uśmiechając się zagadkowo pomaszerowała zdecydowanie w stronę miasta. Wydawało jej się, że jabłka w worku grzechoczą jak wielkie puste orzechy.

VII

Ogrodnik wrósł w ścieżkę przecinając skwer na ukos i parzył w osłupieniu na brodacza, który zbliżał się otoczony ruchliwym i wrzaskliwym wieńcem uliczników. Wysoko nad sobą niósł wielką pomalowaną na czarno tablicę. Tablica kołysała się, kilkunastu wyrostków gwizdało, a on kroczył jak na procesji, zasłonięty po pierś migotliwą czeredą. Żadnego słowa na tablicy nie było. Ogrodnik splunął i przymknął oczy.

Kiedy je otworzył po minucie, brodacz szedł jeszcze w jego stronę trzymając tablicę oburącz jak kościelny feretron. Ogrodnik

nie ruszając się z miejsca ocenił błyskawicznie siłę brodacza. Czknął niespodziewanie, bo zjadł dwa jabłka, w żołądku bulgotało jak w gąsiorze z winnym zaczynem.

Rozejrzał się niespokojnie po ulicy. Ruch był jak zwykle. Nie miał pojęcia, jakie znaczenie trzeba przypisać niesionej przez brodacza czarnej tablicy. Zrobił krok w przód i zaraz się cofnął. Ulicznicy szli przed brodaczem zdzierając głosy w babskim jazgocie. Kiedy brodacze doszedł do skweru, rozbiegli się jak kuropatwy, zaczęli się bić i obrzucać garściami piachu.

Brodacz stanął dziesięć kroków od ogrodnika, wbił trzon tablicy w trawę i obaj patrzyli na siebie dobrą minutę. Ulicznicy przerwali bójkę i przycichli gapiąc się na ogrodnika, któremu odbiło się donośnie; słuchając bulgotania w żołądku patrzył okrągłymi oczami na niezwykle zjawisko. Skręcało go od niepewności. Brodacza nie znał, nie wiedział, jak potraktować jego i tablicę. Najbardziej go niepokoiło, że nie wie, na co się zanosi. Sam w razie czego brodaczowi nie da rady, a w pobliżu nie ma nikogo ze swoich. Ludzie zwabieni harmiderem czynionym przez uliczników skręcali na skwer, żeby poznać przyczynę zamieszania. Widok brodacza i tablicy chwijającej się nad jego głową zaskakiwał: zbliżali się patrząc podejrzliwie na ogrodnika. Po kilkunastu minutach dokoła brodacza zrobiło się tłoczno, a ogrodnik nic jeszcze nie wiedział. Jedyna pewność: od momentu, w którym pierwszy raz zobaczył brodacza, złośliwy los złożył na jego barki brzemie odpowiedzialności za wszystko, co tu się będzie działo. Robiło mu się od tego niewyraźnie.

Przejeżdżający samochód przyhamował gwałtownie. Z szoferki wylaż kierowca, obejrzał uważnie widowisko, podszedł bliżej, zatrzymał się i patrzył na ogrodnika bezczelnie i z politowaniem.

— To ci gips — powiedział niby do ludzi. — Ten będzie miał o czym myśleć!

Ogrodnik wetknął kciuki za szelki.

— Rozejść się! — rozkazał niezdecydowanie.

Kierowca śmiejąc się wlaż w gromadę gapiów, którzy udawali, że nie było żadnego rozkazu. Może się najpierw przypatrzyć, pomyślał ogrodnik. Zatrzymał się przed gapiami i czknął. Jabłka fermentowały gwałtownie, jakby miał z tego wyjść ekspresowy jablecznik. Zobaczy się, dodał sobie odwagi. Gapie w milczeniu przyglądali się brodaczowi stojącemu nieruchomo jak na warcie, tłum pęczniał z należytym respektem dla wszystkiego.

— Draka! — odezwał się ktoś głośno, drugi zachichotał nerwowo.

— W razie czego lepiej się, ludzie, rozejdźcie — poradził

ogrodnik, ale nikt go nie usłyszał. — Żeby nie było potem co na kogo! — ostrzegł po dłuższej przerwie.

— Postać spokojnie nie wolno? — pisała ulicznik tuż za jego plecami. — Człowiek od tego zakazywania tylko się nerwowo robi!

— On już nerwowo, ten ogrodnik z majchrem — powiedział piegowaty obdartus. — Jak szczy, to pierdzi!

— Ogrodnictwa obrażać nie wolno! — zaprotestował ogrodnik z godnością. — To jest surowo zabronione w przepisach! Na wypadek czego, mogą być potem kłopoty! Lepiej się, ludzie, rozejśćcie!

Tym razem też nikt go nie usłyszał, co ogrodnik stwierdził z satysfakcją: miał przed sobą ludzi, którzy nie słuchają rozkazów; nikomu to na dobre nie wyjdzie. Zaczął skwapliwie szukać znanych twarzy. Ludzi przybywało. Stawali na piaszczystej ścieżce, zadzierali głowy przypatrując się tablicy, po czym oglądali uważnie ogrodnika i brodacza i podchodzili bliżej wietrząc między nimi niezdrowy konflikt. Niektórym się wydawało, że na czarnej tablicy jest jakieś słowo, próbowali je odczytać i kłócili się o jego znaczenie.

— Tam nie jest nic napisane! — zauważył domokrażny szlifierz z przenośną szlifierką na ramieniu.

— Może tam pisze „tak”, może „nie”, a może w ogóle nic nie pisze! — powiedział ogrodnik.

— Kichy się człowiekowi przewracają od tego, jak ludzie zawsze przytakują — mruknął do kierowcy porośnięty szczecina pokątny handlarz jabłek.

— Był taki jeden, zwąchał się z córką ślusarza — rzekł do handlarza szlifierz.

— Kichy się przewracają.

— Słuchaj pan — szlifierz przytrzymał go za rękaw. — Nie można powiedzieć, ładna była, ale wymagająca, na palcach koło niej musiał chodzić, jeszcze za kawalerskich czasów. Słuchasz pan?

— Oberwij mi pan tylko rękaw od kapoty! — ostrzegł handlarz.

— Panie, co rękaw! Omotała go, a jak mu tego skakania koło niej było za wiele, to mu popuszczą i w tym, i w tamtym, żeby tylko nie poszedł, bo chłop był niebrzydki i robotny. Panie, patrzeć było wstyd, jak go sobie urobiła. Mówili mu, nie żęń się, będziesz u niej za parobka, mało to innych? Ale co tam wygadali, ożenił się.

— Więcej jak po dwóch zmwiać się nie wolno, bo zakłócenie porządku może nastąpić! — ostrzegł ogrodnik.

— Panie, coś pan, nie katolik? — rzucił kierowca przez ramię.

— Człowieku — powiedział szlifierz do handlarza — jak się ożenił, to ona mu dopiero pokazywać, co spotrafi! Tego nie rób, cygarów nie kurz, bo jej śmierzdzą, z kolegą na setkowego nie, a jak mu się z jaką na drodze przydarzyło dwa słowa, to go odstawiała od siebie na tydzień albo na więcej. To on dopiero po rozum do głowy, ale co, panie, za późno. Babę rozpaskudził.

— Wiadomo, do czego baba — mruknął kierowca patrząc zaczepnie na ogrodnika, któremu było coraz niewygodniej.

— Chłop był tylko do roboty, a jak otwierał gębę, to miał prawo tylko przyświadczyć. A ona mu na wszystko nie i nie! Co miał robić? Przyświadczał tak z dziesięć lat. Ale mu to w końcu musiało mocno dojeść, strzymać w domu nie mógł, natrafił raz drugiego i poszli do knajpy. Tam podpili. Przychodzi on po nocy wypity, w chałupie ciemno, w szaflik z wodą wlaź, babę pobudził, ta wrzasku narobiła. Tuś mi, powiada, sukinsynu, z knajpys przylazł! Tak, mówi on, tum przylazł, a w środku trzęsie go od tej swojej zgryzoty chłopskiej. Baba do niego z bijakiem. Ja ci, powiada, znaki postawię przy drodze, żebyś ty do chałupy z roboty trafił! Ty mi takich znaków stawiać nie będziesz, on na to, boś mi się mocno uprzykrzyła! Ja ci te znaki na łbie postawię, syczy baba, krew jej ze złości spuchła. Baba do niego, chłop, panie, nie strzymał, w pysk ją. Narobiła gwałtu, to on się jeszcze zdenerwował mocniej, bo to, panie, ile lat się zbierało! Tak ją wybierzmował, że baba się o życie zmartwiła. Łeb wsadziła w pierzynę, to on jeszcze po krzyżu dołożył. Wiesz pan co? Rano, co tylko oczy otworzył, to mu do łóżka serwatki, żeby go po tej wódce nie męczyło, i do sąsiadki zaraz. Chłopa mam, powiada, pokazuje siniaki. Od tamtego dnia przestała baba rządzić, chłop miał respekt w domu.

— Trzeba mu było przed ślubem — ocenił sprawę kierowca. — Łatwiej by było potem!

Szlifierz spojrzął na ogrodnika z sekatorem i puścił do kierowcy perskie oko.

— Tak czy owak, nigdzie nie stoi, że chłop ma być poszkodowany od baby. Trzeba tylko wiedzieć, kto po co jest. Babę ma się po to, żeby było dobrze. Podobnie bywa z innymi sprawami.

— Żeby tylko w tym co nie było — ostrzegł ich ogrodnik i przez moment coś mu świtało. — Ty niby o babie — powiedział do szlifierza, potrząsnąwszy sekatorem na wszelki wypadek, i zerknął zmartwiony na tablicę. — Ni przypiął, ni wypiął. Nic nie napisane. Ani tak, ani owak. Trzeba było co więcej napisać i nie byłoby kłopotu! Czy zarząd ma się zastanawiać, i ogrodni-

ctwo, o co idzie? To nie ich obowiązek! Niedozwolone takie niepisanie!

Marek stał przy brodaczu już parę minut. Gapie wymieniali opinie, robili najrozmaitsze przypuszczenia. Po kwadransie, nie wiadomo jak, ludzie podzielili się na dwie grupy. Jedna ściekała w lewo od brodacza, druga w prawo, a bezmyślna uliczna hołota robiła wrzask, krążąc od jednej do drugiej. Brodacz stał przy tablicy na spocznij i omijał wzrokiem Marka.

W obydwu grupach cicho się gotowało, ale z niewyraźnych głosów nie można było nic wywnioskować. Ogrodnik rozglądał się po ludziach, znikąd nie miał pomocy, a nie mógł pytać ludzi, jak działać. Kierowca przyjrzał mu się i znów zrobił oko do szlifierza.

— Niech żyją! — powiedział.

W grupie z prawej strony zrobiło się gwarniej, brodacz mocniej przytrzymał tablicę i stanął na baczność. Ludzie spojrzeli na niego z większym zainteresowaniem, ale on zaraz stanął na spocznij, tylko tablica zachwiała mu się nad głową.

— Niech żyją! — powiedział szlifierz innym tonem i brodacz znów zeszywniał.

Ludzie teraz zaczęli komentować jego zachowanie, ogrodnik widać przed sobą tłum, który się wciąż powiększał, czerpiąc posiłki ze związanych ze skwerem ulic, zastanawiał się mozolnie, czy nie byłoby lepiej coś zrobić.

— Ty nietutejszy, co? — zwrócił się do brodacza mężczyzna wyglądający na włóczykija i splunął mu wprost na buty. — Nie wiesz, o co ci idzie? Ty tak i za tamtym, i za tym, co? To po toś tu stanął? Może ci baba nie dała? Możesz ty ten od córki ślusarza?

— Rozejść się! — rozkazał ogrodnik. — Stoi człowiek, niech stoi. Każdemu wolno stać, póki się nie wyda, w jakim zamiarze. A zaczepiać niedozwolone!

Poszedł do brodacza, stanął przed nim i stuknął obcasami.

— Nazwisko, imię, data urodzenia, zawód!

— Nie mam panu nic do powiedzenia — rzekł brodacz i spojrzął na niego krótko. — Jest miejsce, to stoję.

— Tu się wznosi okrzyki!

Brodacz wzruszył ramionami.

— Każdy ma coś na myśli, to sobie przymierza po swojemu. Wolno chyba?

— Niby co? — spytał ogrodnik.

— Nie wiem. Ja tylko stoję.

— Żeby z twojego stania co złego dla ciebie nie wyszło!

— Nigdzie nie pisze, że nie wolno stać.

— Komu wolno, to się jeszcze okaże — rzekł chytrze ogrodnik. — A nieporządku nikt nie ma prawa siał. Ja sam dopiero co ze służby przy muzeum i do domu mi się należy, alem stanął, żeby nieporządku nie było.

— Niech żyją! — rzucił natarczywiej kierowca.

Brodacz minął wzrokiem ogrodnika i spojrzął z powagą w tłum. Paru stojących bliżej wzruszyło ramionami, włóczyki przyrzekał się brodaczkowi i postukał w czoło.

— Głupiemu w tym mieście najlepiej. Jakbym ja tak stanął, już by mnie do kibla prowadzili bez orkiestry.

— Żeby mi tu nie było żadnego nieporządku! — ostrzegł bezradnie ogrodnik i poprawił szelki.

— Nie będzie — powiedział brodaczk. — Stoję, trzymam tablicę, nikt mi nic złego nie robi. Może pan iść do domu.

Ogrodnik wytrzeszczył oczy.

— Mnie nie o ciebie. Jakby co było, wszystko będzie na mnie, żem tobie pozwolił. Zabronić mogę!

— Nigdzie nie powiedziane, że nie można stać — zaprotestował kierowca. — Niewinnego człowieka czepiają!

— Lepiej, żebyście się ludzie rozeszli — nie ustępował ogrodnik, tępo i bez sympatii wpatrując się w tłum.

Nagle zobaczył Marka stojącego przy brodaczk z rękami w kieszeniach. Poznał go, chrząknął, popatrzył niespokojnie na ludzi, wyciągnął zza szelek kciuki, poprawił sekator na ramieniu i zaczął się do niego przekradać. Marek udał, że go nie dostrzega, i czekał widząc kątem oka, jak ogrodnik zbliża się cichymi krokami. Podniósł oczy dopiero wtedy, kiedy tamten zatrzymał się przy nim.

— Ty tu czego?

— Przyglądam się.

Ogrodnik zsunął czapkę na bakier i poskrobał się po głowie. Sprawdził, czy go nikt nie podsłuchuje, i nachylił się nad Markiem.

— Choć ze mną. Chciałem się ciebie zapytać.

Marek ruszył niechętnie, ludzie zrobili im przejście. Kiedy wyszli z cizby, ogrodnik zatrzymał się i poprawił sekator.

— O co panu idzie? — spytał Marek. — Tych jabłek jeszcze nie mam.

— Poczekam. Z ciebie niegłupi chłopak. Ja wiem, o co tu chodzi, ale nie mam pewności, czy ty miarkujesz.

— Rany boskie! A co tu jest do wiedzenia? Stoi facet z tablicą, a pan zaraz myśli, że coś w tym musi być!

— Pewno go znasz. Ty znasz wszystkich. On brodę nosi. Znasz go?

- Znam.
- To co on za jeden?
- Nie powiem.
- To ja ciebie zaraz wezmę. Coś napisał w muzeum?
- Pana też wezmą, jabłka pan jadł.
- Ogrodnik szurnął butem po ścieżce.
- To po znajomości powiedz, co on za jeden?
- Niech jego pan o to spyta.

Ogrodnik przymknął oczy i coś sobie kalkulował, po chwili ruszył do brodacza. Przepchnął się przez tłum, sekator włókł się za nim po ścieżce żłobiąc w niej płytką bruzdę. Marek podreptał za ogrodnikiem i obaj zatrzymali się przy brodaczu. Ogrodnik zadarł głowę, obejrzał dokładnie tablicę, potem spuścił niespokojnie oczy na brodacza i zaplątał się spojrzeniem w jego brodzie.

— Nazwisko!

Brodacz obrócił głowę tam, skąd przyszedł głos. Przyjrzał się ogrodnikowi nie musnąwszy wzrokiem Marka.

- Już na ten temat rozmawialiśmy.
- Nazwiska nie powiedziałeś.
- Nie powiedziałem.
- To teraz powiedz.
- Ja tu się nie przyszedłem legitymować.

Ogrodnik raptem zgubił całą stanowczość.

— Pozwolenie masz? — spytał po długim namyśle. — Pokaż pozwolenie, że ci się tu należy stać!

— Po to żeby sobie gdzieś stanąć, nie trzeba pozwolenia. Nigdzie takiego pozwolenia nie wydają.

— Nigdzie. Ale skąd wiesz, że od dzisiaj stanie jest dozwolone? Wiesz na pewno, że dozwolone?

— Wiem.

— Ale porządku zakłócać nie wolno.

— Nie zakłócam porządku. Stoję, kto chce, też stoi i patrzy. Może gdzie indziej zakłócają?

Ogrodnik obrócił się do gapiów.

— Zakłócać nie wolno, a wy wszyscy, choć nie zakłócać, jesteście podejrzani, że możecie zakłócić. Wszystkich można podejrzewać, nikt nam tego nie zabrania. A jak kto jest podejrzany, to go już można zahaczyć, ot co!

— Czego pan czepia spokojnych ludzi? — spytał cicho Marek.

Ogrodnik spojrział w bok, złapał się za guzik od szelek i zaczął nim kręcić w obie strony. Przez skwer, nie spiesząc się, przemaszerował na ukos wyliniały pies ze spuszczonego ogonem. Zatrzymał się przy wyschłym drzewie, obwąchał je, podniósł nogę i obsikał pień. Paru uliczników rzuciło kamieniami, jeden

trafił go w nogę. Wstrząśnięty pies podwinął ogon, wyszczerzył żółte zęby i uciekł kłusem ze skweru.

— To też niedozwolone — poinformował ogrodnik patrząc za psem. — Niby spokojny, a mocno podejrzany o gryzienie. Nie gryzie, ale podejrzany o wściekliznę. Sam chodzi. Kiedy kto chodzi sam, nie wiadomo, co robi, i jest podejrzany, bo nikt nic o nim nie wie, i ogrodnictwo to samo nic o nim nie wie. Nie wiadomo, co człowiek taki jak ty może sobie myśleć. Żeby was było dwóch, łatwiej by było zmiarkować, o co się wam rozchodzi. A ty tu stoisz sam — zakończył z udumą.

Umilkł i obaj z brodaczem spojrzeli po sobie. Tłum pęczniał coraz bardziej i kiedy ogrodnik znów oszacował stojących, przycusił go niepokój.

Brodacz trzymał drzewce tablicy i przypatrywał się gapiom.

— O nic innego mu nie idzie — powiedział do kierowcy włóczykij, pokazując w dziąsłach opadłych i przeoranych wieloletnią paradentozą żółte końskie zęby. — Nigdy nie wiadomo, co kto ma na uwadze. Od rana mam przecucie, że coś się zacznie dziać. Czas najwyższy. Może ten dzień jest w przepowiedniach?

— Dobrze ci mówię — rzekł do brodacza zaniepokojony rozmowami ogrodnik — ty lepiej powiedz swoje nazwisko. Stoisz, ludzie to samo, stoją, byle nie pracować, nikt nie wie, coś za jeden, i zarząd też nie wie, w jakim zamiarze stoisz. Niejasność zamiarów jest zabroniona. Zarząd ma być o wszystkim powiadomiony.

Brodacz odwrócił głowę.

— Jak długo nic się nie dzieje, a ja stoję spokojnie, nie muszę nikomu nic mówić. Gdyby mnie pan złapał na kradzieży albo na łamaniu prawa, wtedy co innego.

Ogrodnik splunął.

— Jużś podpadł pod prawo ogrodnictwa! Uliczne zbiegowisko robisz, a to jest niedozwolone! Jak się co stanie, nikt inny nie będzie odpowiadał, tylko ty! Lepiej powiedz nazwisko!

Brodacz zmienił rękę na trzonie tablicy i otarł zluzowaną dłoń o spodnie.

— Może pan pytać ludzi o moje nazwisko. Jestem z miasta. Kto mnie tu zna, może powiedzieć, ale póki nie przekroczyłem prawa, nie mam żadnego obowiązku się legitymować. To by było wbrew prawu.

— Nie masz obowiązku? Kto go zna? — spytał ogrodnik obecnych. Wyciągnął szyję i przełożył sekator z jednej ręki do drugiej.

— Może ja go gdzie i widziałem — zamyślił się włóczykij i wyszczerzył końskie zęby.

Kierowca zerknął na ogrodnika, przytknął palcem dziurkę od nosa i smarknął mu między buty.

— Ty jego znasz? — spytał groźnie ogrodnik stając w rozroku.

— Może go znam, może nie znam. Człowiek spokojny, nikomu nie wadzi.

— Ja go gdzieś chyba widziałem — odezwał się właściciel straganu z warzywami, który po ogłoszeniu zakazu jabłek jako pierwszy w mieście otrzymał koncesję na handel innymi owocami. — Nie mogę sobie tylko przypomnieć. Wcale bym nie był zdziwiony, gdyby on nie był z miasta!

— Mówisz, że on nie z miasta? — spytał ogrodnik z nadzieją. — Szpieg gospodarczy jaki może? Ty go sobie lepiej przypomnij.

— Ja wiem? A kto by inny chciał stać? Na taki upał? Z tablicą? Jeszcze nie widziałem takiego. U nas takich nie ma.

— To można go aresztować jako podejrzanego o szpiegostwo — oznajmił z ulgą ogrodnik zakładając sekator na ramię i postąpił krok do brodacza.

Marek pociągnął go za rękaw.

— Bo powiem, co pan jadł! Niech pan go tylko ruszy!

Ogrodnik zgrzał się, pot kroplami spłynął mu spod czapki i zatrzymał się na policzkach.

— Póki co, niech postoi — zapowiedział i wycofał się ze zbiegowiska.

VIII

Sekretarka stanęła w drzwiach i zaanonsowała dyrektora fabryki guzików, który przybył do miejskiego zarządu, aby zakomunikować, że po zrezygnowaniu z jednej dziurki w guziku wydajność fabryki wzrośnie o dwadzieścia pięć procent. Prezes omawiał właśnie z szefem miejskiego ogrodnictwa ważne miejskie sprawy.

— Niech czeka! — rozkazał dziewczynie.

Sekretarka zamknęła drzwi i otworzyła je znów po dwóch minutach. Do czekającego dyrektora dołączył, spodziewając się

audiencji, kontroler sklepów z wyrobami szklanymi z pilnym sprawozdaniem dotyczącym wykrycia tajnego warsztatu, gdzie kalalie przerabiano na słoiki do kleju. Sekretarka wróciła do kontrolera z poleceniem tej samej treści. Niech i on czeka.

Za trzecim razem w drzwiach stanął ogrodnik. Zobaczywszy prezesa, jakby się na chwilę zacukał, ale oprzytomniał zaraz i zaczął dawać szefowi znaki. Szef nachmurzył się, nie lubił, kiedy mu ktoś przeszkadzał w codziennej naradzie z prezesem.

— Czego? — warknął.

Ogrodnik sterczał przy drzwiach onieśmielony nie tyle widokiem prezesa, co wielkością gabinetu, którego dotąd nie oglądał. Na podłodze leżał wielki dywan, krzesła były miękkie, trzy telefony stały na biurku i żaden nie dzwonił. Ogrodnikowi wszystko wydawało się bardzo tajemnicze. Na ścianach dyndały wielkie portrety wielkich nieżyjących ludzi. Zdumiał go wielobarwny obraz wiszący nad stolikiem z karafką. Nie było na nim żadnego wielkiego człowieka, tylko poplątane linie i przenikające się płaszczyzny; obraz przedstawiał się groźnie i mógł być symbolem zarządu, a może projektem samych kalalii namalowanym nieznaną metodą dla niepoznaki i zmylenia szpiegów. Szef siedział z boku prezesowego biurka i patrzył na ogrodnika czekając okazji, żeby mu wlepić parę dni nadprogramowej służby. Ogrodnik przełknął ślinę i poprawił fartuch.

— Przyszedł na skwer i stoi już z godzinę — zameldował.

— Trzyma tablicę, nic tam nie jest napisane. Może by kto co i wyczytał, jakby był nauczony.

Prezes spojrzął na niego.

— Kto stoi? Gdzie? Z czym?

Ogrodnik nie wiedział, czy prezesowi odpowiada się jak zwykłemu człowiekowi; na wszelki wypadek spojrzął w prawo na ścianę, a nie tam, gdzie siedział prezes z szefem.

— Taki jeden. Nikt go nie zna. Brodę ma.

Szef fuknął w wąsy raz i drugi.

— Co ma napisane?

— Coś ma. Ludzie dobrze nie wiedzą. Jedni mówią, że tam coś pisze, drudzy powiadają, że nie pisze. Jedni mówią, że pisze „tak”, drudzy powiadają, że pisze „nie”, ale nic nie jest jasne.

— Jak to? „Nie” albo „tak”, albo nic? — zdumiał się prezes i odsunął od biurka razem z fotelem.

Zmartwiony ogrodnik przytwierdził skinieniem głowy.

— „Nie” albo „tak”. Może być jedno, może być drugie albo i nic.

Prezes zerknął zaskoczony na szefa i znów na ogrodnika.

— I nic tam więcej na tej tablicy nie ma?

— Nie ma — powiedział ogrodnik. — Mnie się od razu widziało, że tam się coś należy być napisane.

Prezes przyjrzał się uważnie: ogrodnik na specjalnie rozgarniętego nie wyglądał, ale też nie odbiegał w dół od przeciętnej.

— Słuchajcie! — powiedział ośmielająco. — I co on z tą tablicą robi? Pytaliście go o nazwisko? Wiedziecie, o co mu idzie?

— Pytałem, ale on powiedział, że każdemu wolno mieć swoje na uwadze. Niby tyle co stoi i ludzie zrobili zbiegowisko. Nie wiadomo, co w tym jest. Ja to samo nie bardzo miarkuję i przez to zakłócenie jakie może być. Myślałem sobie, czy by go może dla świętego spokoju nie zabrać, ale ludzie jakoś nachalnie przy nim, to po zastanowieniu pomyślałem, że jeszcze w razie czego nie. Nie mam głowy, żeby to dobrze ze wszystkim było.

Szef wlepił w niego oczy głodnego kanibala, ogrodnikowi rdzeniem pacierzowym przeciągnął mróz. Prezes siedział za biurkiem i stukając palcami rozważał liczne aspekty niezwykłego zdarzenia.

— Oczywiście! — odezwał się wreszcie do szefa. — Tu nic innego nie może wchodzić w rachubę. — Spojrzał na niego z przyganą. — Chodźcie tyle, szefie, po mieście, ale dowiedzieć się wcześniej, co kto myśli i jakie ma zamiary, to już by było za wiele dla ogrodnictwa! Brak czujności! Dopiero prosty ogrodnik przychodzi i mówi, co się na mieście dzieje! Niedobrze!

Szef odparował napaść ciężkim spojrzeniem.

— Może on tam co więcej robi? — zaczął sondować ogrodnika. — Nawołuje do czego?

— Najgorzej, że nie nawołuje. Nie wiadomo, co z takim zrobić. Niby w porządku, a swoje prowadzi.

— Podburza? — przejął inicjatywę prezes.

— Nie podburza, tyle co stoi. Nie ma nic na tablicy, trzymają niby na jakim pochodzie, można by powiedzieć, że jest zdyscyplinowany, ale nikt nie wie, czy tam jest co napisane. A on nikomu nic nie mówi, tylko furt stoi. Brodę ma.

— Tak sobie stoi i nic więcej? — prezes zdziwił się jeszcze raz.

— Brodę ma — powtórzył ogrodnik okręcając na sobie szelki.

— No, i co jeszcze? Człowieku! Przypomnijcie sobie!

Ogrodnik wytrzeszczył oczy i spocił się.

— Niby co?

— No, co on tam jeszcze robi? Przecież coś jeszcze powinien tam robić!

— A nic. Ludzie stoją i się przyglądają. Oni tylko czekają, żeby on co powiedział albo co? Jak jedni mówią „niech żyją”, to on stoi na baczność. A jak inni mówią „niech żyją”, to on to

samo stoi i z tej przyczyny nikt nie wie, o co mu się rozchodzi. Niby do wszystkiego z szacunkiem!

— Nie mówiłem? — powiedział prezes do szefa. — Od razu powiedziałem, że tu o to idzie! No, nic. Naradzimy się. Wy — rzucił ogrodnikowi — wracajcie pilnować, żeby był porządek. Poślemy wam paru ludzi z zapasowego ogrodnictwa. Jakby zaszyły jakieś zmiany, dajcie natychmiast znać. W razie jakiego sprzeciwu — zabrać wszystkich! Tego z tablicą, jak tylko coś powie, też zabierzcie zaraz!

Ogrodnik spocił się nagle i na czole zebrały mu się krople potu.

— Mówi, że nie ma na to nijakiego prawa, żeby go przymknąć — powiedział ostrożnie. — Ja to samo nie mogłem sobie w żaden sposób poręcznego prawa przypomnieć. Może co z tego wyjść, jak nie ma prawa, i potem ja będę winowaty.

— Wujek dobry! — huknął szef ogrodnictwa. — Prawo! Jak będzie potrzebne prawo, to my wam takie prawo damy! Na służbie jesteście, miasta i ogrodnictwa macie bronić przed nieporządkiem, a wy tu jak jaki cywil zawszony prawa płaczecie, prawa nie możecie znaleźć! Dobrze wam u mnie? A może wam się nie podoba, co?

Ogrodnik cofnął się.

— Zona i dzieci — bąknął. — Przyskrzynię w razie czego. W sam raz przyskrzynię. Tylko jakby on co zrobił przeciw prawu, to by przed ludźmi było honorowo.

Szef złagodniał trochę.

— Przymknąć ptaszka! Tak czy owak, z prawem sobie poradzimy. My tu mamy dobro ogólne na uwadze! Zrozumiano?

— Tak jest! — powiedział czym prędzej ogrodnik. — Ja to samo za dobrem ogólnym, jak tylko pan szef rozkaże!

— Odmaszerować!

Ogrodnik zrobił niezdarnie w tył zwrot, pośliznął się na gołym parkiecie, cudem złapał równowagę huknąwszy butem w ścianę i wyszedł. Kiedy za drzwiami ucichło dudnienie wielkich buciorów, w gabinecie zapadła cisza. Szef pofukiwał w zjeżony wąs i mrużąc prawe oko oceniał naprędce sytuację. Prezes raz po raz spoglądał bezradnie w okno. Nagłe przebłyski energii jakoś w nim szybko gasły.

— No i co?! — spytał wreszcie. — Nieporządki w mieście!

— Nieporządki! — odparł szef. — Nie ma powodu zaraz wpadać w panikę. Zlikwidujemy to. Natychmiast. Zgodnie z wolą mieszkańców. Prowokatorów oraz ich mocodawców posadzi się. Dwudziestu ogrodników będzie pilnować muzeum kalalii, żeby nikomu nie przyszło do głowy zabawić się w dywersanta. Reszta

zostanie w odwodzie przy nas. W godzinę przywrócimy ład.

— We wszystkim musimy się stosować do woli mieszkańców. Ludzie chcą żyć w spokoju i pracować — zauważył prezes.

— Jasne.

Prezes ożywił się nagle.

— Wieczorem zrobimy wiec mieszkańców, który będzie wyrazem poparcia dla naszego jedynie słusznego stanowiska we wszystkich sprawach!

Wcisnął guzik od dzwonka w blat biurka i w drzwiach stanęła sekretarka pociągając nosem.

— Za godzinę rozpocznie się posiedzenie wszystkich urzędników — oznajmił. — Niech przyjdą też wszyscy doradcy miejskiego zarządu.

— Wszyscy? — spytała sekretarka i pokołysała lekko biodrami.

Prezesa zafascynował ten ruch. W takt biodrom zaczęły się zaraz ruszać jej piersi, okrągłe i sterczące twardo pod sukienką, niczym dwa jabłka. To wiecznie narzucające się skojarzenie kosztowało go dużo zdrowia. Podniósł z rozpaczą oczy szukając ratunku u szefa, ale ten nie dostrzegając niczego fukał w wąsy, jakby przedmuchiwał zakatarzony nos. Biust poruszał się pod sukienką coraz żywiej.

— Wszystkich? — spytała powtórnie sekretarka, nieświadoma przekroczenia granicy służbowych kompetencji.

— Wszystkich — wymamlał z wysiłkiem prezes.

— To znaczy i zastępcę?

— Zastępcę — powtórzył posłusznie prezes starając się wyplątać spojrzenie z różowego stanika, dokąd prowadził otwarty dekolt.

Sekretarka wstrzymała ruch bioder.

— I jego dwóch pełnomocników?

— Pełnomocników też — odpowiedział prezes z ulgą. — Zebranie jest bardzo ważne. Idzie o zlikwidowanie groźnego spisku, który się nagle objawił w naszym mieście w całej odrażającej postaci. Ten spisek wziął się z nienawiści do nas, podsycanej przez wrogich nam w dalszym ciągu byłych hodowców jabłek, jak też z powodu groźnych owadów atakujących z miasta i spoza miasta nasze kalalie. Wszyscy bez wahania skorzystają z każdej nadarzającej się okazji i z każdej naszej chwilowej słabości wyrażającej się w osłabieniu czujności spowodowanym sukcesami w realizowaniu programu kalalii, aby my, kiedy się niczego nie spodziewając chcemy się pomnożyć naszymi trudnościami — zaplątał się nagle, bo jego wzrok znowu wsunął się w stanik.

Stał chwilę przed znieruchomiłą sekretarką, której oczy pa-
rzyły na niego rozszerzone i bezwolne.

— Te trudności — powiedział wieszco prezes połapawszy
się na powrót w myślach — są, jak każdemu wiadomo, trudno-
ściami przejściowymi. Oznaczają przejście do nowych imponu-
jących osiągnięć. Ale pamiętajmy, że wróg się skrada, aby wyko-
rzystać każdy moment! Musimy być czujni! Musimy być zawsze
gotowi, aby dać druzgocącą odprawę tym, którzy marząc o reali-
zacji swoich perfidnych planów liczą na naszą chwilową słabość!

Wyprostował się i przymknął oczy. Oparł dłonie na biurku
i ujrzał przed sobą plac przy muzeum wypełniony morzem ludz-
kich głów oczekujących słów prawdy.

— Kochani mieszkańcy! — powiedział gromko na cały gabi-
net. — Wiec, który na wasze wyraźne życzenie zwołaliśmy dzisiaj,
nie jest jednym ze zwykłych zgromadzeń, jakie co pewien czas
organizujemy, aby powiedzieć wam o krokach poczynionych na
najbliższe lata! To wiec, na którym chcemy otworzyć wam oczy!
Musicie dobrze wiedzieć, co dzieje się w naszym mieście! Na-
szym obowiązkiem jest budzić waszą czujność! Wszyscy jesteście
za! Tę naszą wspólną wolę wyraziliście zgodnie z naszym życze-
niem już nie raz! Ci wszyscy, którzy warcholą przemycając
wbrew naszym zakazom swoje parszywe jabłka, otrzymają i od
nas, i od was należytą odprawę! Niech żyją kalalie! — krzyknął
i usłyszał, jak zgromadzony tłum odpowiada krzykiem i wiwa-
tami.

Kiedy skończył, sekretarka patrzyła na niego szeroko otwar-
tymi oczami, trzymając w jednej ręce ołówek, w drugiej notes.
Szeł przyglądał się im obojgu rozdmuchując wąsy. Prezes spojrzął
na sekretarkę z najwyższą dezaprobatą. Dziewczyna po chwili
przyszła do siebie i uśmiechnęła się.

— Bardzo ładne przemówienie — powiedziała. — Członków
Zarządu Głównego Ligi Zwolenników Kalalii też? — spytała ru-
szając zwilgotniałymi wargami.

— Jasne! — odparł kwaśno. — Nawet tych, których zwykle
nie wzywamy, żeby nam nie robili zamętu na posiedzeniach.
Niech się zjawia również odkomenderowani do opozycji. Posłu-
chają, będzie to dla nich przestroga. Niech żyją kalalie! —
krzyknął.

— Niech żyją — powiedziała dziewczyna, a szeł wspomógł
ją basem, przyglądając się prezesowi wzrokiem chirurga obmacu-
jącego szczególnie interesujący przypadek psychosomatycznego
wzdęcia.

— Niech żyją kalalie! — powtórzył prezes ciszej.

Dobrnął lunatycznie do fotela, wsunął się weń natychmiast

i wyczerpany przymknął oczy. Sekretarka ślaniając się opuściła gabinet.

— Co dalej? — szepnął prezes po dłuższym odpoczynku. — Sytuacja trudna i skomplikowana.

— Jaka sytuacja? — warknął szef. — Ludzie podskakują od czasu do czasu, znamy to przecież z długiego doświadczenia. To nawet dobre, atmosferę oczyszcza. Tylko bez paniki! Ręka na pulsie — to moja dewiza. Póki nie tracimy kontroli, nic strasznego. Jeżeli zajdzie konieczność, przymkniemy paru cwaniaków, ktoś pójdzie na rok malować kalalie, i spokój!

Prezesowi wracał optymizm. Wyprostował się z godnością.

— Ja też osobiście myślę, że wszelka panika byłaby nieuzasadniona — rzekł odkrywczco i pochylił się przyjaźnie w stronę swojego najbliższego współpracownika. — Szefie, czasem człowiekowi ręce opadają! To przecież czarna niewdzięczność! Dzień i noc, prawie nie śpiąc, myślimy, jak ludziom pomóc, jak ich bezsensownemu życiu nadać sens, żeby jak dawniej nie patrzyli, gdzie tu pohandlować, postawić dom z ogródkiem i dojść bez kłopotów do emerytury. Człowiek, szefie, do wielkich zadań jest stworzony! Ludziom wielki cel w życiu jest potrzebny! Trzeba im wskazać słuszną sprawę, coś wielkiego! Coś, co przerasta ich wyobraźnię i porywa do wielkich czynów, jak Trójca Święta. Program kalalii! Może się to stać tylko pod naszym osobistym przewodnictwem! A tu nagle wychodzi ktoś na ulicę, ni przypiął, ni przyłatał. Trzyma przed sobą jakąś tablicę, na której sam nie wie, co napisał! Czy z takimi ludźmi można coś zrobić? Nie można!

Zza drzwi dobiegało chlipanie wzruszonej sekretarki. Płacze kurwa, pomyślał, kły ją bolą! Przyjrzał się szefowi. Ledwie się powstrzyma, żeby mu nie odgarnąć wąsów i nie wsadzić do ust palca dla sprawdzenia, czy w zębach nie znajdzie śladu jabłek.

— Kto wie, co może siedzieć w takich dziurach — powiedział, co szefowi wydało się bez sensu, i wrócił do sprawy brodacza. — Mnie się osobiście wydaje, że z tą tablicą jakaś niejasna sprawa!

— Dowiem się — burknął szef tonem nie stanowiącym dla nikogo dobrej wróżby. — Mam sposoby, żeby się dowiedzieć wszystkiego!

— Czego ten człowiek może chcieć?

— Czego? — Szef fuknął w wąsy. — Nasze poczynania mu się nie podobają! Ludzi buntuje! Deprawuje młodzież w publicznym miejscu! W biały dzień wyjść na ulicę z niczym nie napisanym na tablicy — toż to czysta antyżarządowość niedozwolona!

— Właśnie! Kiedy wszyscy z entuzjazmem! — bąknął pre-

zes spoglądając na puste biurko, którego nie plamił urzędowy dokument. — Wszyscy z samozaparciem czekają, ufają, a tu nagle w biały dzień! Z tablicą!

Zamyślił się, opadły go podejrzenia.

— A może o co innego idzie? — rzekł. — Nie było tu ostatnio jakiego przestępstwa? Jakiej korupcji wielkiej nie było?

Szef potrząsnął głową i umknął spojrzeniem w bok.

— Jakiej malwersacji nie było?

Tamten patrzył teraz uporczywie w okno. Fukanie w wąsach uciхло. W głosie prezesa zabrzmiała pełna nadziei obawa.

— Jakiego większego przemytu przez urzędników miejskiego zarządu nie było?

— Nie było.

Prezes przysunął się z fotelem bliżej szefa.

— A zastępca? — spytał. — Jak tam on?

Szef z nawyku obejrzał się na drzwi, potem wstał, podszedł do nich na palcach i otworzył je raptownie. Sekretarka siedziała przy biurku gapiąc się w okno i nawijając na ołówek strąk tłustych włosów. Szef cicho zamknął drzwi, sprawdził, co można zobaczyć przez dziurkę od klucza, i wrócił do prezesa wciśniętego w fotel, zmęczonego, a nade wszystko przepelnionego nieufnością.

— No? Co tam mój zastępca? — powtórzył prezes. — Ja nie sugeruję, ja tylko pytam. Czasy ciężkie, ludzi trzeba mieć na oku.

Szef rozpiął bluzę na piersi, rozsunął szelki, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni gruby czarny notes i spojrzawszy na prezesa zaczął go kartkować. Ominął zapisaną niezwykle gęsto stronę siedzącego przed nim przełożonego oraz kilkanaście innych stron.

— Zastępca — przeczytał. — Zarząd miejski. Telefon dwadzieścia dwa piętnaście. Przychylnie nastawiony. Lojalny. Wybitne zasługi dla...

— Dalej! — rzucił niecierpliwie prezes próbując dosunąć swój fotel bliżej, ale szef ogrodnictwa odsunął się ze swoim krzesłem i trzymał zwierzchnika w przyzwoitej odległości od notesu. Zerknął jeszcze raz na drzwi.

— Szesnastego lipca półtora metra papierówek — przeczytał półgłosem.

Prezes przybladł lekko.

— Złapali go?

— Złapali, ale puścili, miał pozwolenie. Dwa podpisy, cztery pieczęcie, nie ma rady. Ogrodnicy nie mogą zatrzymywać przełożonych. Osobista nietykalność. Nie można dopuścić żadnym sposobem!

— Dalej! — rzekł prezes z rezygnacją.

- Dwudziestego drugiego niecały metr.
- Też pozwolenie, dwa podpisy, cztery pieczęcie?
- Zgodnie z przepisami. Niecały metr papierówek. Bagaż nietykalny z powodu nietykalności osoby.

Cisza trwała teraz parę minut. Przy biurku bzycała mucha. Prezes przepędził ją; latała dalej po gabinecie szukając szpary w pancernych szybach. Prezes wiódł za nią oczami, póki jej nie zgubił, i wrócił spojrzeniem do szefa.

— Wszystko pan zapisuje?

— My wszystko musimy wiedzieć.

— Nie wolno w miejskim zarządzie tolerować przemytników, łapówkarzy i ludzi nieuczciwych. Patrz pan, wszyscy z entuzjazmem, a tu mój własny zastępca!

Szef uprzedził ciąg dalszy.

— My nie tolerujemy. Zapisujemy wszystko.

— Jak to nie tolerujecie? Zastępca wwozi! Metrami! A ja od was sygnałów nie miałem!

— Nie tolerujemy! Wwożenie to inna sprawa. Zapisujemy. Zastępca ma nietykalność!

— Któregoś dnia trzeba będzie ludziom wszystko powiedzieć — westchnął prezes. — Będziemy musieli udowodnić, że my tu na nikogo nie patrzymy przez palce. A te jabłka, które zastępca przywiózł do miasta zeszłego roku, też ma pan zapisane?

— Co do jednego. W razie potrzeby możemy nawet robaki zapisywać. Ogrodnictwo jest naszym najsprawniejszym organem!

— Tak być powinno — pochwalił prezes bez entuzjazmu. — Trochę jabłek wolno, ale on za nachalny.

Spojrzał na zegarek, potem na zamknięte drzwi. Wydawało mu się, że mimo to widzi sekretarkę siedzącą na wyściełanym krześle i przyklejoną do niego mocnymi udami; jej piersi podskakują w biustonoszu przy każdym ruchu rąk i męczą go co dzień podobieństwem do jabłek. Nie rozumiał, dlaczego ją trzyma, mógł ją zastąpić inną. Zerknął powtórnie na zegarek. Agnieszka na pewno jeszcze nie wróciła do miasta.

— Za trzy kwadranse zebranie wszystkich pracowników miejskiego zarządu, wszystkich doradców, wszystkich odkomenderowanych do opozycji oraz przedstawicieli wszystkich miejskich instytucji — powiedział. — Niech pan do tego czasu zbierze informacje o wydarzeniach w mieście. Żeby nie doszło do sytuacji, której nie będziemy mogli opanować! Wszystko jest dziś możliwe. Gdyby się na co zanosilo, niech pan przymknie tego człowieka z tablicą i przyprowadzi na przesłuchanie. Jasne?

— Jasne, prezesie! — odparł szef.

Prezes wstał z fotela i wyszedł przed biurko.

— Człowieku! — rzekł z prawdziwą wdzięcznością. — Z panem zawsze można się dogadać!

Klepnął go kordialnie po szelkach na ramieniu, co szef ogrodnictwa przyjął z umiarkowaną aprobatą, dźwignął się z krzesła, fuknął w wąsy i nałożył czapkę. Od drzwi rzucił na zwierzchnika spojrzenie, od którego prezesowi zrobiło się nieswojo.

IX

Marek stał przy brodaczu i obserwował kręcących się ogrodników, poprzebieranych w czarne płaszcze, kapelusze i garnitury. Było ich co najmniej dziesięciu. Udawali zwyczajnych gapiów, ale ich rozbiegane oczy śledziły ludzi, a zwłaszcza brodacza z tablicą. Między ulicznikami dokazywała Ewa, potem Marek stracił ją z oczu, ale zobaczył dziadka ściskającego w dłoni otwarty kozik; zdołał się przepchnąć przez napęczniały tłum i teraz wyciągał szyję między ramiona dwóch mężczyzn przed nim. Mężczyzna z lewej usiłował strząsnąć z karku jego prędko ptasi oddech, a z pleców nacisk tułowia, ale dziadek bez ceregieli uporał się z protestem i dopiero kiedy zobaczył brodacza trzymającego tablicę, uspokojony rozejrzał się po ludziach. Zachichotał na widok Marka stojącego parę kroków w lewo, porzucił wywalczone miejsce i zaczął się do niego przepychać. Marek udał, że go nie dostrzega. Staruszek ciesząc się, że zaskoczy chłopca, okrążył go, stanął mu za plecami i zaglądając z boku w twarz podrygiwał niecierpliwie, trzęsąc przed sobą wysłużonym kozikiem. W końcu miał dość czekania i dźgnął go nieszkodliwie nożem w lewy pośladek. Marek udał przestרח i złapał się ręką za spodnie.

— Hej! Ktoś tu na mnie z nożem!

— Dawaj jajka! — wrzasnął dziadek.

Marek obejrzał się teraz i uśmiechnął wyrozumiale.

— A, to pan, dziadku! Co słyszeć?

— Co słyszeć? Wszystkie kury uciekły! Banda dezerterów!

— krzyknął promieniejąc mimo nieszczęścia. — Nie wiem jeszcze, co zrobić! Stara mi flaki poprzewraca gadaniem! Może same przyjdą, co?

Spojrzał na tablicę; pomarszczona skóra na szyi wygładziła się trochę i przez moment w tym ruchu wyglądała młodziej.

— Jak mu idzie?! — wrzasnął wskazując kozikiem brodacza.

— Mocno go poniewierają?

Marek spojrział w bok na kręcących się poprzebieranych ogrodników, a dziadek nie doczekawszy się odpowiedzi dźgnął go w prawy pośladek.

— Dawaj jajka! — zagdakał. — Mów, jak mu idzie? To mój najstarszy wnuk! Żonaty nie należy poniewierać, a choć on nieżonaty, to wszystko jedno człowiek! Jak mu tam?

— Stoi na razie.

— Stoi! — sarknął dziadek troskliwie. — Stoi, bo głupi!

— Co on, ma jaki luz w głowie?

Dziadek nie bardzo zrozumiał.

— No, brak mu piątej kleпки?

— Co brak? — dziadek odpowiedział nowym dźwięciem.

— To on tu powinien być tego miasta prezesem!

Ludzie, którzy stali bliżej, zaczęli mu się przyglądać. Dziadek jeszcze chichotał, ale zauważył w końcu, że zwraca na siebie uwagę. Zadreptał w miejscu, uśmiechnął się głupawo do gapiów i wetknął kozik pod pachę wysuwając go ostrzem w przód.

— Kury uciekły — bąknął do mężczyzny w czarnym ubraniu, który stał najbliżej i obmacywał go zimnym spojrzeniem. — Tyle dobrze, że nie muszę przy nich siedzieć. Do wieczora same przyjdą. Mało razy tak było?

— To wasz wnuk? — spytał mężczyzna.

— Ten niby tu?

— Z tablicą. Brodaty.

Dziadek zamigotał powiekami.

— Ja tam od kur — rzekł przyciskając ramieniem kozik. — Odkądźem się zestarzał, do kur jak raz się nadaje. Teraz młodzi rządzą. Co z tego będzie, Bóg jeden wie, niech ma w opiece was i to biedne miasto. Ja tam nie jestem przeciw.

— To na pewno i przeciw brodatemu nie jesteście? — spytał prowokująco mężczyzna.

— Co bym miał być — odparł skwapliwie dziadek. — Człowiek jestem zgodny.

Mężczyzna przyjrzał mu się, wsadził rękę do kieszeni i wyjął notes. Dziadek podejrzewając, że coś jest nie w porządku, obrócił się do Marka, spróbował wyciągnąć błyskawicznie kozik spod pachy, ale nie trafił palcami i nóż wypadł na ziemię. Pochylił się za nim i grabiąc na oślep rozcapierzonymi palcami spojrzął w górę na prześladowcę.

— Dawaj jajka! — wrzasnął do niego z wielkiej rozpaczcy.

Marek rozpoznał w mężczyźnie ogrodnika; pod marynarką widać było galowe ogrodnicze szelki. Dziadek wyprostował się i zerknął w bok szukając wyjścia z sieci, jaką sam na siebie

zastawił. Zrobił krok w prawo, ale mężczyzna zagroził mu drogę.

— Jak się nazywacie?

Dziadek stanął z niewyraźną miną.

— Kury mi pouciekały.

— Pytam, jak wasze nazwisko! — rzekł groźniej mężczyzna potrząsając ołówkiem i notesem.

Gapie śmiejąc się otoczyli ich obu ciasnym pierścieniem.

— Co ty, synku — wymamrotał dziadek. — Starszych nie szanujesz, wypytywać byś chciał? To już ze wszystkim z tobą niedobrze! Moim wnukiem byś mógł być!

— O, do diabła! Kto mnie tu podmacuje? — zajazgotała przy nich młoda kobieta. — Ty niedojdo! Trzymaj se to dla siebie, co mnie tu będziesz poszturchiwał! Jak ci zamaluję w japę! Będzie mnie tu podmacywał! — zwróciła się oburzona do obecnych, biorąc ich na świadków.

Smagły dwudziestolatek z twarzą w płomieniach i włosami opadającymi na spocone czoło cofnął się i przetarł sobie chyłkiem przejście przez tłum. Zacietrzewiona kobieta nie dała za wygraną. Spojrzała na mężczyznę, który świdrując dziadka zimnym spojrzeniem zagradzał mu drogę.

— Porządek byś zrobił! — przyskoczyła do niego zachodząc się nieprzytomnym jazgotem. — Wydzierać na granicy miasta ostatnie jabłko dla dziecka, to byś wydzierał! Jak ma do czynienia ze starym, niedołącznym człowiekiem, to bohater! Ale kiedy w biały dzień na środku miasta gwałcą uczciwą kobietę, to go nie ma! Patrzenie go, ogrodnik! Jaki tu porządek! Pieniędzy szkoda na szelki i ubrania, żeby po cywilnemu dla niepoznaki chodzili po mieście! Nikt, myślisz, nie wie, żeś z ogrodnictwa?

Mężczyzna spojrzawszy wściekle na kobietę i na ludzi, którzy zaczęli go otaczać coraz ciasniej.

— Rozejść się! — powiedział i odwrócił się.

Dziadek korzystając z zamieszania wywinął się z pułapki i kuśtykając schował za brodacza, pewny, że go stamtąd nie widać. Wpuścił kozik w kieszeń, wpatrzył się w tablicę, łypiąc powiekami jak kura pijąca wodę, ruszył parę razy grdyką i podciągnął opadające portki. Po krótkim incydencie z ogrodnikiem w cywilu i zacietrzewioną kobietą — na skwerze zrobiło się znów spokojnie i ospale.

Brodacz stał nieruchomo jak sztyldwach, słońce przypiekło go; jaskrawe i mieniące się niczym płacek żółtego metalu oświetlało tablicę, która połyskiwała czarnym lakierem i chwiała się lekko. Wydawało się, że istotnie jest na niej jakiś napis. Ludzie przechodzili na skwer i zatrzymywali się komentując bezbarwnie nie-

codzienne zdarzenie. Potem odchodzili, a na ich miejsce przychodzili inni. Ci też spoglądali na brodacza z uwagą, ale w końcu wzruszali ramionami i oddalali się po paru minutach. Marek widział i takich, którzy stali od początku, niczym niezmordowana honorowa asysta. Zwyczajni ogrodnicy w spodniach i w szelkach kręcili się milkliwie w zmieniającym się tłumie, inni zaś, w ciemnych ubraniach, snuli się patrząc nieufnie na wszystkich; od czasu do czasu odchodzili na bok i zapisywali nazwiska ludzi asystujących brodaczowi ze szczególną cierpliwością. Niektórzy udawali zwykłych gapiów i podokuczawszy brodaczowi przystawali z lewej albo z prawej strony, przypalali papierosa i uciekając oczami przed wijącym się w górę kwaśnym dymem czekali na rozwój wypadków albo na instrukcje z zarządu, zależnie od tego, co wcześniej przyjdzie.

Marek prześliznął się przez tłum i stanął przy dziadku. Razem było im raźniej, poza tym i brodacz od czasu do czasu szukał ich spojrzeniem; Marek czuł, że się na coś przydaje. Dziadek chichotał bez przyczyny, dla dodania sobie odwagi znów wyciągnął z kieszeni nieodłączny kozik i dźgał nim Marka w bok albo w ramię.

Stali tak dobry kwadrans, kiedy nagle od strony miejskiego zarządu zaczął się zbliżać stukot kilku par butów i dzwonienie ostróg. Ktoś głośno zażądał przejścia; stojący na peryferiach zbiegowiska robili to bardzo niechętnie. Marek stanął na palcach i zobaczył, że przez tłum, kierując się prosto na brodacza, przepycha się niby przypadkowy przechodzień sam szef miejskiego ogrodnictwa, wyprostowany i sztywny; szedł złoścąc się na ciżbę i powarkując w rozwiane fukaniem wąsy. Trzech idących przed nim ogrodników usuwało mu ludzi z drogi, a inni, którzy stali tu od dłuższego czasu i obwąchiwali zbiegowisko, sformowali rodzaj zapasowego oddziału, jakby szefowi na odsiecz, ale w wypadku gdyby sprawa wzięła zły obrót, gotowego w ciągu minuty przepaść bez śladu w okolicznych bramach albo zniknąć w gęstych krzakach przy oddalonym o sto metrów muzeum kalalii.

Klin ogrodników przeorał się wreszcie przez stojących gapiów. Szef zatrzymał się krok od brodacza i przyglądał mu się przez zmrużone powieki fukając w wąsy i sapiąc z powodu nadzwyczajnego upału. Próbował sobie przypomnieć, czy miał z nim kiedy do czynienia. Ogronicy spoglądali potulnie na zwierzchnika, pełni poczucia winy, bo żadnemu nie udało się zidentyfikować brodatego przestępcy. Szef po minucie rozwarł powieki. Twarz mu się ściągnęła, wąs zjeżył i podniósł górną wargę odsła-

niając wspaniałe użębienie. Ogrodnik w czarnym ubraniu przyczał się obok, trzymając w pogotowiu notes i ołówek.

— Nazwisko i imię! — warknął szef do ogrodnika w cywilu, patrząc brodaczeni na buty.

— Nazwisko i imię! — powtórzył jak echo ogrodnik kierując pytanie do brodacza.

Brodacz wykręcił głowę dwa rumby w lewo, jakby przy pomocy mechanizmu, i jego spojrzenie z niezwykłą precyzją zatrzymało się dziesięć stopni od głowy szefa.

— Niepotrzebne mi tu nazwisko. Obojętne, jak się nazywam.

Zaskoczonemu szefowi wąs zjeżył się jeszcze bardziej. Spojrzał na przebranego ogrodnika notującego skrzętnie każdą sylabę.

— Co? — spytał dla pewności.

Brodacz zmienił dłonie na drzewcu tablicy.

— Powinno panu być obojętne, jak się nazywam. Nic nie zrobiłem.

— Mówi, że nic nie zrobił — powtórzył urzędowym tonem ogrodnik w czarnym ubraniu i zapisał odpowiedź w notesie.

Szef błysnął zębami.

— Gdzie mieszkacie? Na jakiej ulicy?

— To, gdzie mieszkam, też nie powinno mieć w tej sytuacji znaczenia.

Większość gapiów stłoczyła się wokół nich. Marek założył ręce do tyłu i przypatrywał się szefowi, który spojrzał na swojego pomocnika, jakby nie dowierzał, że taką dostał odpowiedź. Ogrodnik w cywilu przytaknął skinieniem głowy, więc szef przystał na jej legalny charakter, uspokoił się trochę i podniósł wzrok na brodacza.

— Jesteście w każdym razie z tego miasta, co? Może to kto zaświadczy?

— Kto mnie zna, może powiedzieć, skąd jestem.

— Wiecie, że tu nie wolno tak stać?

Gapie zareagowali pomrukiem dezaprobaty i podeszli bliżej.

— Przyszedłem sam, nikogo ze sobą nie przyprowadziłem — powiedział brodaczeni. — Nikogo nie namawiałem, żeby tu ze mną stał. Kto chce, stoi i patrzy. Chyba każdemu wolno?

Szef przedmuchał wąsy i spojrzał groźnie na tłum, który podniecony obecnością jednej z najważniejszych w mieście osobistości zacisnął się wokół niego i brodacza, żeby nic nie uronić z rozmowy. Obejrzał się trochę nerwowo, a Markowi wydało się, że przełożony ogrodników czuje się tu nie najlepiej i żałuje, że przyszedł. Rzeczywiście, skonsternowany szef ku zdumieniu obecnych bąkał coś pod nosem, bo przygotowany misterny łańcuszek pytań mający wydobyć na światło dzienne zamiar brodacza

przerwał się, a tłum stał milczący i nieprzyjazny. Szef ruszył wąsami, ale nikt nie przyjął do wiadomości jego uśmiechu. Zbiegowisko było nieprzekupne i nieruchawe. Szef zerknął na brodacza.

— Co wy tu tego, jak jaki Chrystus, z tablicą? Może wam się co nie podoba? Może chcielibyście nam co powiedzieć? Doradzić miejskiemu zarządowi? My sobie bardzo cenimy bezpośredni kontakt z mieszkańcami!

Brodacz milczał i patrzył na drzewce tablicy.

— No! — warknął przymilnie szef opanowując drganie uniesionej wargi. — Może coś nam powiecie?

— Nie stoję tu, żeby mówić — odparł brodacza. — W mieście dużo jest innych od mówienia.

Szef nie przestając go słuchać nachylił się do ogrodnika.

— Skoczcie — rzekł mu półgłosem w owłosione ucho — niech przyjdzie mój zastępca i ze dwudziestu ludzi.

— Będzie rozróżba — poinformował dziadka Marek.

— Mocno go tam poniewierają? — zatroskał się krzykliwie starszek.

Ogrodnik w cywilu wetknął w kieszeń ołówek i notes i zaczął przepychać się przez gapiów. Szef przyglądał się koso brodaczowi.

— No, to co? Powiecie nam, w jakim celu stoicie? Niech i ludzie wiedzą. Postoicie tak parę godzin i nikomu nic z tego nie przyjdzie. Czysta strata czasu. Ja nic nie wiem, moi ludzie, którzy was pilnują, żeby się wam co złego nie stało, też nie mają pojęcia, dlaczego mają stać parę godzin na słońcu zamiast siedzieć w domu. Nikt nie wie po co. Założę się, że idzie wam o coś bardzo pożytecznego.

Brodacz milczał.

— A może kto was skrzywdził? Może wam kto co ukradł? Jakiś ogrodnik źle was potraktował? No? — powiedział i spojrział na tłum. — Posłuchamy!

Brodacz przyjrzał się szefowi.

— Mówiłem panu, nie mam nic do powiedzenia. Kto chce, niech patrzy, kto chce, niech myśli, co mu do głowy przyjdzie. Może kto pomyśli dobrze.

— Prezes o was pytał — rzekł szef konfidencjonalnie. — Sam prezes! On też jest pewny, że macie do powiedzenia coś ważnego. Jemu też nic nie powiecie? On przecież powinien wiedzieć!

Brodacz zajął szefowi prosto w żółtawę tęczęwki.

— Prezesowi powiem. On rzeczywiście powinien wiedzieć, ale nie wierzę, że się do niego dostanę. Ludzie od dłuższego czasu nie mogą się do niego docisnąć, wszyscy, którzy próbowali,

odeszli z niczym. Podobno mieli jeszcze jakieś nieprzyjemności. Mówią, że to pan nie chce nikogo dopuścić.

— Prezes to najwyższy zarząd — rzekł szef pobłaźliwie. — Wszyscy muszą szanować jego czas i zdrowie. Nie pchać się z byle głupstwem. Ale przecież nie trzeba się do niego pchać. Mnie powiecie, a ja mu wszystko powtórzę. Widzę się z nim co dzień, powiem mu, o co wam idzie. Będzie, jakbyście jemu samemu powiedzieli!

Brodacz przesunął w dół drzewca dłonią, rozcierając pot.

— Wolałbym nie korzystać z pośredników — odpowiedział spokojnie.

— Prezes jest bardzo ciekawy, co macie do powiedzenia, ale nie może przyjmować wszystkich. Musi mieć czas i na inne sprawy, o mieście musi myśleć. Specjalnie mnie do was wysłał.

— Jeżeli prezes jest ciekawy, to sam mnie do siebie wezwie.

Szef zmrużył powieki, spomiędzy których sączyło się na brodacza bardzo nieprzyjemne spojrzenie. Wąs mu pod nosem drgał, górna warga odstaniała zęby.

— To co, nie powiecie?

— Nie mam panu nic do powiedzenia. Stoję, nikomu nie przeszkadzam.

— Ludzi kołujecie! Pomyśli kto, że przeciw zarządowi stoicie!

Brodacz znów spojrzął przed siebie nic nie mówiąc.

— Ściągacie tłum i nic was nie obchodzi, co ludzie pomyślą. A jak pomyślą, że jesteście przeciwko prawowitemu zarządowi i przeciw prawowitemu miejskiemu ogrodnictwu? I że my nie wiadomo czemu tolerujemy was w mieście?

— Myśli pan, że mieszkańcy miasta to głupcy?

— Wy mnie tu nie łapcie za słówka — ostrzegł szef. — Żartować wam się z ogrodnictwem zachciewa! Z szefem jego się spoufalać! — krzyknął nagle. — Niemiło wam, że możecie chodzić po mieście, kiedy chcecie?

— Niech pan nie krzyczy — rzekł brodacz z niezmaconym spokojem. — Wszyscy w tym mieście mamy coś do powiedzenia, a pan jest tylko szefem ogrodnictwa, pana się wybiera.

*Na ulicy Przemysłownika
Biła baba ogrodnika,
Raz go w dupę, raz go w grzdyka,
Tak się bije ogrodnika!*

— zain-tono-wa-ło zgod-nie kil-ku ulic-znik-ów.

Szef odwrócił się z furią od brodacza. Tuż za nim stało dwóch

barczystych mężczyzn ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, a dalej tłum, milczący teraz, ciężki i szczelny. Do przodu przepychał się gwałtownie jakiś kulawiec poszturchując ludzi górną częścią drewnianego szczudła. Stał przy szefie trzymając krótszą nogę cał nad ziemią i spozjrzał zasapany na brodacza.

— Co się tu dzieje?

Ujrawszy nad głową chwiejącą się tablicę postawił nogę na ziemi, przechylił się w lewo i zagwizdał przez zęby.

— Czepiają spokojnych ludzi — powiedział ktoś. — Już nawet nie można postać na ulicy, żeby zaraz nie pytali nazwiska i zamiarów. Wszystko muszą wiedzieć!

— Kto to powiedział?! — huknął szef obracając się z brzękiem ostróg. — Aresztuję was!

Z tłumy wybiegła druga przyśpiewka:

*W Kurzychłapach, wielkim mieście,
Chłop się wyżył na niewieście,
Czy się wyżył, czy nie wyżył,
W każdym razie rozneglżył.*

A potem Marek poznał głos Ewy:

*Suknia pługawa,
Nożem wywija,
Prowadzi go
Od butelki szyja!*

— Stać! — zagrzmiął szef. — To naigrawanie się z ogrodnictwa! Aresztuję was wszystkich!

Tłum kołysał się w takt przyśpiewek i patrzył na niego roześmiany i zuchwalejący. Brodacz, nieruchomy jak posąg, utkwiał wzrok wysoko, nikt się nie ruszał z miejsca, a tablica chwiała się ledwie dostrzegalnie. Szef rozejrzał się niepewnie i nagle zrobił w tył zwrot. Fukając nieprzytomnie w wąsy i błyskając w bezsilnej furii obnażonymi zębami zaczął się przepychać z brzękiem ostróg przez tłum. Przepuszczano go w milczeniu, ale kiedy zwierzchnik ogrodników znalazł się już poza zasięgiem tłumy, dobiegła go jeszcze jedna zaimprovizowana na prędce strofka, odśpiewana na cztery głosy młodymi dyszkantami:

*Ucieka dzielny ogrodnik,
Wbija se w tyłek ostrogi,
Leci podleczyć rany
Do zezowatej niebogi!*

X

Szef przebiegł jezdnię truchtem zgonionego wałacha, po czym wolniej, z nieco większą godnością, przemierzył kilkadziesiąt metrów do rogu. Skręcił w przecznicę, znów się puścił kłusem i biegł, póki się nie znalazł przy drzwiach miejskiego zarządu. Tu oprzytomniał trochę. Obciągnął na sobie mokrą od potu bluzę, wyprostował szelki, do środka wszedł statecznie i godnie, choć pękał w szwach z wściekłości. Sforsował wysokie schody, na drugim piętrze szarpnął gwałtownie drzwi plosząc swoim wyglądem znudzoną sekretarkę, po czym nacisnął bez pukania klamkę i zatrzymał się zdyszany przed biurkiem prezesa.

— Bunt! — rzucił krótko. — Jawny bunt!

Prezes zamamrotał coś, skurczył się, drżącymi epileptycznie rękami zgarnął z biurka nie istniejące papiery, z przerażeniem przyjrzał się szefowi ogrodnictwa i wcisnął głęboko w fotel.

— Bunt! — powtórzył szef i tym razem nie fuknął w wąsy, co dowodziło niezwykle poważnej sytuacji.

Przez moment patrzyli na siebie. Prezesowi przemknęło przez myśl, że skoro szef jest w takim stanie, to przyczyny sytuacji w mieście znajdują się poza zdolnością rozumienia, a skutki, jeśli się tej sytuacji natychmiast nie opanuje, pogrzebią wszystko, co dotąd wielkiego zrobił.

— Co tam, tego, się dzieje? — szepnął ze zgrozą, przyglądając się swoim palcom skaczącym bez opamiętania po biurku.

— Ludzie stoją! Władze obrażają!

— Obrażają! — powtórzył wstrząśnięty.

— Śpiewają niedozwolone podżegające pieśni!

— Pieśni śpiewają! — jego głos zabrzmiał jak echo.

Umilkli obaj. Szef sapał ocierając pot.

— A ten z tablicą? Co robi? Kto on jest?

— Nie wiem — odparł szef i spojrzął z wyrzutem na prezesa. — Myśli pan, że kiedy się ma przeciw sobie cały tłum, to nic łatwiejszego, jak się dowiedzieć, co to za jeden. Próbowalem, pytałem, ale ludzie byli przeciw mnie i przeciw ogrodnictwu. Zelżono mnie i wyśmiano! Tamten jest pewny, że wszystko mu ujdzie bezkarnie.

— Grozili panu?

Szef otrząsał się z szoku.

— Grozić nie grozili, ale to o niczym nie świadczy! — sapał rozdrażniony. — Mam doskonałe wyczucie. Na kilometr zwietrzę, co się święci! Brakowało tylko, żeby mi grozili albo żeby ja coś nieopatrznie zrobił! Panie, czapkami by mnie na-

kryli. Z tłumem się nie dyskutuje! Jeden miał nóż! — szef klapnął na krzesło i zdjął kaszkiet.

Prezes przeniósł spojrzenie nad głowę szefa i zaczął nasłuchiwać. Na ulicy, gęściej niż zwykle o tej porze, postukiwały kroki śpieszące pod muzeum na plac albo i na skwer. Głosy i krzyki przybijały do zakratowanych pancernych okien. Nawet za drzwiami, gdzie siedziała sekretarka, też wydawało się głośniej. Po chwili prezes poczuł nawrót nadziei.

— Nie wierzę, że ludzie są przeciw nam. Coś się panu poplątało!

Szef przestał wycierać kark i spojrzał na prezesa jak na uciekiniera z zakładu dla obłąkanych. Kaszkiet leżał na biurku i wydzielał niemiłą woń; prezes odsunął go od siebie długą drewnianą linią.

— Nie mogą być przeciw — powiedział. — Ile razy obchodzimy miejskie święto, przychodzą tłumami na plac, słuchają tego, co mówię, krzyczą i oklaskują. Mówili mi urzędnicy, że jestem teraz jeszcze bardziej popularny.

Szef przyglądał mu się coraz intensywniej, pochylił się nad nim i wydał nieprzyjemny pomruk:

— Myślałem...

— Co pan myślał, szefie? — przerwał ostro prezes.

— Myślałem, że pan wie, jak to jest naprawdę.

— Co mam wiedzieć?

Szef zgarnął ze stołu kaszkiet i wsadził go na głowę tak raptownie, że zatrzymał mu się dopiero na uszach.

— Nieporozumienie. Myślałem, że pan od początku nie bierze serio tego, co panu mówią zaufani urzędnicy. Prezes, z którego byłaby zadowolona większość mieszkańców?... Oklaski, których się pan nasłuchiwał na wiecach, są, podobnie jak tłum, pieczołowicie organizowane.

Prezes wpatrywał się w szefa jak w alkoholowym zamroczeniu.

— Rozumie pan? — spytał tamten.

— Boże miłosierny! Organizowane?

— Fakt — przyznał szef z dumą. — Bez fałszywej skromności, moja w tym wielka zasługa.

— Te wszystkie wiece i to, że zawsze było dużo ludzi?

— A pan co myślał? Że Chrystus frasobliwy maczał w tym swoje boskie paluszki?

— I to, że ludzie tak pięknie skandowali kalalijne hasła?

— Niech pan nie będzie naiwny!

Twarz prezesa zrobiła się sina.

— I te wszystkie przemiłe dzieci? — jęknął. — Wyrzywały

się z tłumem i biegły do trybuny, żeby mnie, swojemu prezesowi, ofiarować kwiaty?

Szef patrzył teraz na niego jak na idiotę.

— Z dziećmi najmniejszy kłopot, wystarczy po torebce cukierków. Gorzej z dorosłymi, kiedy trzeba, żeby szli z delegacją albo w pochodzie. Niby pan nie wie, jak jest.

— To te wszystkie delegacje też? — sapnął prezes.

— Delegacje też — odpowiedział tamten półgłosem i pochylił się nad biurkiem.

Prezes był siny jak w ataku apopleksji. Wstał chwycenie i spojrzął z góry na szefa. Na twarzy nabiegłej krwią wystąpiły alergiczne plamy. Zrobił jeszcze krok i uderzył z całej siły pięścią w biurko. Z trudem odszukał przycisk; wduślił go z furją. Za drzwiami szurnęło odepchnięte krzesło, zastukały prędkie kroki i w drzwiach ukazała się twarz spłoszonej sekretarki.

— Dwóch ogrodników! — ryknął prezes. — Natychmiast!

— Tak jest! — wykrztusiła dziewczyna przerażona widokiem ich obu patrzących na siebie bykiem. Obróciła się na pięcie, pokazała im masywne plecy i zniknęła.

Prezes sapiąc wpadł w fotel. Szef po drugiej stronie biurka żółtawymi oczami patrzył melancholijnie w okno i bez zainteresowania opukiwał palcem polerowany blat. Ulicą biegły prędkie kroki. Prezes spojrzął z pasją na szefa, którego spokój irytował go ponad miarę; nie wiedział, czy na parę minut przed aresztowaniem zachowałby się z podobną godnością.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wkroczyło trzech ogrodników, jeden z naszywkami nadzorcy. Zatrzymali się przy drzwiach i okręcając w rękach szelki patrzyli z zaciekawieniem na prezesa, a z niepewnością i pokorą na szefa.

— Trzech was — stwierdził prezes.

— Trzech! — zameldował nadzorca.

— Może być trzech. Odebrać szefowi szelki i sznurowadła, z kieszeni wyjąć notes, nałożyć kajdanki i zaprowadzić do aresztu! Tam wsadzić do oddzielnej celi i pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę!

Nadzorca wytrzeszczył oczy i w tym wytrzeszczu poraził go lekki paraliż. Dwaj ogrodnicy gapili się mrugając bezradnie powiekami.

— Zrozumiano? Aresztować! — huknął prezes. — Na co czekacie? Był rozkaz czy nie był?

— Tak jest — wymamrotała trójka, lecz żaden nie ruszył się z miejsca. Najniższemu wypadł z ręki kask i potoczył się pod okno.

— Tak jest — powtórzył nadzorca i nie dowierzając włas-

nym uszom wpatrywał się w szefa czekając dodatkowych instrukcji. Tamten siedział w fotelu i lustrował dach sąsiedniego piętrowego budynku, gdzie, poza tym że z zapaćkanego sadzami komina unosił się dym, nic rewelacyjnego się nie działo, i lekko fukał w wąsy. W szparę drzwi wepchnęła głowę sekretarka.

— Panie prezesie — zakomunikowała omiatając spojrzeniem obecnych. — Wszyscy są w sali obrad. Pan zastępca dzwonił, że się niecierpliwią.

— Niech czekają! — rzucił jej z rozdrażnieniem i skoczył do ogrodników. — Nie słyszeliście? Odprowadzić szefa do aresztu i pilnować jak oka w głowie! Wy, nadzorco, dacie znać prokuratorowi, żeby się za godzinę zameldował u mnie.

Nadzorca uśmiechnął się.

— Pan prezes żartuje. Aresztować naszego szefa?

— Was też każe aresztować za dyskutowanie nad rozkazem! — krzyknął prezes i uderzył boleśnie pięścią w biurko. — Aresztować i bez dyskusji!

Dwaj ogrodnicy ruszyli jednocześnie do szefa.

— Stać, głupie barany! — ostrzegł nadzorca.

Zatrzymali się i patrząc ze zgrozą na szefa cofnęli się do drzwi. Wyższy zmacał klamkę pierwszy i obaj pchając się w progu uciekli tchórzliwie. Nadzorca zajrzał szefowi w oczy.

— Macie go aresztować — przypomniał prezes wstrząśnięty ucieczką ogrodników.

Nadzorca oderwał spojrzenie od szefa, chrząknął, uśmiechnął się i z dumą poprawił kask.

— Od razu się połapałem, ja się znam na żartach. Ja jestem inteligentny — oznajmił z zadowoleniem.

— Na żartach? — powtórzył prezes i zerknął na szefa.

Nadzorca błysnął oczami.

— Ja od razu tak pomyślałem — rzekł z ulgą. — Mało brakowało, a tamte barany same by się wykończyły. Mały zakładzik, co? — zwrócił się do szefa. — W mig się połapałem.

Szef podszedł do osowiałego prezesa.

— Zakładzik — przyznał. — Czego tu jeszcze? — rzucił ogrodnikowi. — Spieprzajcie, ale w podskokach! Koniec zabawy!

Nadzorca rzucił się do drzwi.

— Stać — warknął szef.

Nadzorca zatrzymał się.

— Przypatrzyliscie się dobrze temu zamieszaniu na mieście?

— Patrzyłem — rzekł nadzorca ostrożnie.

— Porządek macie utrzymać! Pan prezes na was liczy!

Nadzorca wyprężył się przy drzwiach jak za krótka struna.

— Wiem, panie szefie! My zawsze z miejskim zarządem!

Za naszego prezesa i za kalalie, my wszystko! — zaciął się z przejęcia. — My bez namysłu, panie szefie, ojca swojego i matkę swoją!

Szef podszedł do niego i wyprężył się sam.

— Pan prezes liczy na was, całe miasto spodziewa się, że utrzymacie porządek! Nazwisko?

— Włochaty!

— Rejon?

— Piąty, panie szefie!

— Zapamiętam. Odmaszerować!

Nadzorca poprawił szelki, okręcił się wokół własnej osi i trzasnął drzwiami. Prezes załamany siadł w fotelu i patrzył bezmyślnie w biurko. Szef obciągnął bluzę, zdjął kaszkiet i rzucił go z powrotem na blat.

— Nie mamy za wiele czasu, panie prezesie — powiedział.

— Posiedzenie powinno się zacząć.

Ten podniósł ujarzmiony wzrok.

— Macie oddanych ludzi, szefie — powiedział cicho. — Zawsze marzyłem o takich.

— Szkolenie — mruknął szef. — Bez przesady, to pana ludzie.

Prezes otarł pot z czoła.

— Na czym to stanęliśmy?

Szef przytknął w daszek kaszkietu i spojrzał na zwierzchnika z większym zainteresowaniem.

— Pan jest zmęczony — zauważył. — Przepracowanie, nerwy. Przydałby się mały urlop. Ciężko na tym stanowisku.

— Człowiek haruje dzień i noc — bąknął prezes. — Kłopoty, nerwy człowieka zawodzą. Zastępca do niczego. Nawet myślałem, czy by go nie podmienić. Niby człowiek dobry, pewny, oddany sprawie, ale ma swoje grzeszki. Ludzie to, co robi, przykładają do wszystkich, nawet do mnie.

Szef pokiwał głową i przesunął językiem po górnej wardze.

— Mnie się osobiście wydaje — dodał prezes — że ten z tablicą zastępcę ma na myśli. Gdybym wiedział, że ludzie na wysokich stanowiskach robią szwindle z jabłkami, sam bym wyszedł z tablicą. Tylko że nie możemy mu pozwolić. Rozpaskudza innych, odbiera zaufanie do nas. A przez zastępcę każdy człowiek myśli, gdzie by wykombinować parę jabłek. Mówi pan, szefie, że szesnastego przywiózł ze wsi półtora metra papierówek?

Szef wetknął palce pod szelki, wyciągnął czarny notes i zaczął go kartkować. Tym razem zatrzymał się dłużej nad stroną prezesa. Było na niej nie rzadziej niż na innych stronach: długimi kolumnami słyły tajemnicze zapisy. Prezes bolał, że nie wypada

mu zajrzeć szefowi przez ramię; wiedział, że gdyby zażądał notesu, spotkałoby go nowe upokorzenie. Szef przerzucił kilka naście kart.

— Szesnastego lipca pół metra.

— Mówił pan, że półtora. I metr dwudziestego drugiego.

— Pomyliłem się. Pół. Dwudziestego drugiego prawie nic.

— Mówił pan, że prawie metr. Niewiele brakowało.

Szef zamknął notes, schował go i pozapinał się. — Nie można bez zastrzeżeń wierzyć każdej plotce. Ja wołę nie przesadzać. Ludzie z igły widły potrafią zrobić.

— Pan teraz wybiela zastępcę — powiedział prezes z goryczą. — Sam pan wie, że takiego zastępcy trzeba się pozbyć. Wprowadza niezadowolone, przez niego niepokój w mieście. Pana omal nie kazałem przez niego aresztować.

— Teraz chce pan jego?

Prezes zamyślił się.

— Mogą być trudności — przestrzegł szef. — Zastępca ma swoich ludzi, a sytuacja w mieście niepewna. Osobiście radziłbym panu czekać okazji. Tym bardziej że teraz mogą pana oskarżać o doprowadzenie miasta do takiego stanu. Przy mnie nie musi pan udawać świętego. Ludzie doradzali panu to i owo, ale miał pan swoje idee. A o zastępcy wiedział pan od dawna.

— Dziś dopiero — mruknął bez przekonania prezes. — Dziś. Nikt mi nie sygnalizował.

— Nikt? Ja sam dawno panu mówiłem. Wszystko pan wiedział. Nie jest pan taki baranek bez zmayı.

— To okropne — rzekł prezes. — Kim ja właściwie jestem? Pana nikt nie ruszył. Zastępca też ma ludzi. Tylko ja nikogo nie mam i o niczym nie decyduję. Na najbliższym posiedzeniu zażadam dodatkowych uprawnień. Albo jestem prezes, albo nie jestem!

— Pana prezesa nerwy ponoszą, a denerwować się nie ma czego. Nikt panu nie jest potrzebny, pan jest najwyższym zarządem. Ja z moimi wszystkimi ludźmi stoję za prawowitym prezesem. Co panu grozi? Nic. Zastępca? On musi mieć garstkę ludzi, bo stoi niżej, musi mieć na kim się oprzeć. Każdy się zabezpiecza jak może, ale wszystko dla dobra kalalii i miasta.

— Ja też bym chciał mieć swoich ludzi — powiedział prezes rozżalony. — Na nikogo nie mogę liczyć. Nawet na trzech ogrodników. Goły jak święty turecki. Kto chce, może mnie obrazić, nikt sobie nic nie robi z moich rozkazów. Kto chce, podsuwa mi fałszywe dane.

Szef wzruszył ramionami.

— O co panu idzie? Grozi panu co? Póki jest pan prezesem,

nie ma pan potrzeby myśleć o takich głupstwach! My za pana myślimy! Od tego jesteśmy!

— Chcę mieć swoich ludzi. Chcę mieć kogoś, kto będzie mnie ślepo słuchał. Kazałem pana aresztować, ale pierwszy lepszy nadzorca wyobraża sobie, że to żarty. A gdyby pan był przestępcą w szelkach szefa? Gdzie moja osobista władza? Że mam wysokie stanowisko? To jeszcze mało!

Szef wskazującym palcem docisnął do wargi nastroszone wąsy.

— Pan ma myśleć o kalaliach! — powiedział ostro. — Zarząd? Ludzie? Jabłka? To dobre dla niższych urzędników — jak zastępca i ja. Szkoda, żeby pan tracił czas na jakieś duperele!

— Niczego nie mogę być pewny — mruknął prezes. — Na dzisiejszym posiedzeniu zażadam rozszerzenia moich uprawnień. Zastępca przemycy jabłka, ma ludzi, z całą pewnością knuje coś niedobrego. Czeka, żebym się podłożył!

— No! — mruknął szef. — To zwykłe oszczerstwo! Pan nie ma szacunku dla najbliższych współpracowników! Zastępcę podejrzewa pan o spisek, mnie pan kazał aresztować, bo się staram, żeby wszystkim grało! Po co panu zaraz ludzie? Nie wie pan, jakie z nimi kłopoty! Niech pan pilnuje kalalii! Miasto będzie pana błogosławić!

— Kalalie — rzekł smętnie prezes. — Wydaje mi się, że zostawiliście mi kalalie jak zabawkę dziecku, a sami za moimi plecami decydujecie o reszcie, jakby ta reszta nie miała z kalalią nic wspólnego! Ile razy pytam o konkretną sprawę, tyle razy przekonujecie mnie, że to drobiazg, że nie powinienem zwracać sobie głowy. Nie podoba mi się to, bardzo mi się to nie podoba!

Szef wysłuchał go z pewnym szacunkiem.

— Po to ma pan sztab ludzi, żeby nie tracić czasu na drobiazgi. A każda słuszna decyzja będzie przez nas wykonana bez najmniejszej zwłoki.

Prezes wstrząsnął się z irytacji.

— Może mi pan powie, kto orzeka, które moje decyzje są słuszne?

— Jasne jak słońce! — rzekł szef nie tracąc pewności siebie.

— My wszyscy. Pan, ja, zastępca, cały miejski zarząd!

— Niech pan się nie wykręca! Kto?

Oczy szefa zżółkły, ale pozostały bez wyrazu.

— Ani pan, ani ja. Prawdę mówiąc, także nie zastępca i nie pana urzędnicy czy moi ludzie. Nikt z nas nie może decydować. Decydują mieszkańcy na zebraniach i wiecach. Wie pan, są wybory. Różne sposoby odwoływania się do opinii mieszkańców. Oni o wszystkim decydują. Pan myśli o nowych rozwiązaniach,

ludzie wypowiadają się, że tego chcą, a my, to znaczy ja, zastępca i nasi ludzie, czuwamy, żeby nikt się nie sprzeciwił.

— Panie! — warknął prezes oburzony w najwyższym stopniu. — Dopiero co opowiadał mi pan, w jaki sposób organizuje się wiece. Mam się odwoływać w jakiejś sprawie do opinii mieszkańców? Przecież to czyste kpiny! Wcale bym się nie zdziwił, gdyby któregoś dnia przyszło do mnie kilku ogrodników, żeby mnie aresztować zgodnie z wolą tych właśnie mieszkańców. A pewnego pięknego dnia mój własny zastępca złożył mnie z urzędu, zwoławszy przy pana pomocy wiec ludności! Przecież wy wszystko potraficie na takim wiecu przeprowadzić! — Pochylił się do szefa i zajrzał mu w żółte tęczówki. — To mi pachnie wielkim szwindlem, szefie. To mi wygląda na gardłową sprawę. Będę musiał wiele zmienić. Orodników do pracy ogrodniczej posłać, niech robią to, do czego są. Przy kalaliach nie ma nikogo. Tyle czasu, a my jednej kalalii nie mamy.

— Wytyczne są — powiedział szef. — A ogrodników do ogrodniczej pracy nikt nie przymusi.

— Innych by nie można? Starych od jabłek nie można do nowego przyczyć?

— Oni niepewni.

— Niedobrze. Coś trzeba zrobić — mruknął niezadowolony prezes.

Szef milczał i patrzył w przezroczystą pancerną szybę lewego okna. Dym z komina po drugiej stronie ulicy wkręcał się w niebo jak korkociąg. Z ulicy przeciekały głosy i zlewały się w bardzo odległy przyciszony gwar, którego, gdyby nie ostatnie wiadomości, można by było wcale nie zauważyć.

Prezes patrzył na szefa. Wydawało mu się przez chwilę, że historię z brodaczem opowiedziano mu po to, żeby go chytrze włączyć w sprawę, która dla miasta i kalalii jest bez znaczenia. Nawet owady niszczące szklane kalalie, o których mu szef tyle razy mówił, ale ich nie pokazywał, żeby go nie zarazić niebezpieczną chorobą, wydały mu się bujną. Szef siedział w krześle nieporuszony, niespożyty i bezzwzględny. Prezes obserwował go z trwożnym respektem. Dźwignął się z fotela i wyszedł na środek gabinetu.

— Czas na posiedzenie! Mamy do załatwienia dużo ważnych spraw. Będziemy musieli zastanowić się nad przydatnością zastępcy. Tymczasem niech wasi ludzie strzegą porządku. Sprawę tego człowieka z tablicą też sobie wyjaśnimy. Coś mi mówi, że ten brodaty miałby mi wiele do powiedzenia, i chyba sobie z nim osobiście porozmawiam.

— Jasne — rzekł szef patrząc teraz na niego oczami, które

zrobiły się wodnistożółte. — To się da zrobić. Ja sam jestem ciekaw, co miałby do powiedzenia. Ale on nie chce się do pana pofatygować. Już go próbowałem namówić. To stuknięty facet.

— Jeżeli stuknięty, to musimy mu zapewnić leczenie. Ale najpierw trzeba z nim porozmawiać.

Certując się w drzwiach opuścili gabinet i zgodnie, jakby się wzajemnie wspierali w kłopotach, udali się na parter do sali obrad.

— Jasne. Da się załatwić.

XI

Słońce bez litości i umiarkowania zalewało ulice, zaułki i skwer światłem wijącym się od własnego gorąca. Brodacz trochę zmęczony stał w rozkroku, zwichrzoną brodę i włosy zlepił mu pot. Trzymał tablicę już dwie godziny i ręce mu drżały z wysiłku. Nic się ważnego dotąd nie wydarzyło. Tłum milczał, paru wyrostków popisywało się przed kobietami odwagą, od czasu do czasu ryzykując uszczypliwe uwagi pod adresem ogrodników i rozpoznawanych bez trudu ich przebranych kolegów w cywilu; ci włączyli się z miejsca na miejsce ograniczając się do tego, że coraz mniej pewnym wzrokiem wyłuskiwali znajomych i zapisywali ich nazwiska, wszystko w końcu po to, żeby nikt ich nie oskarżył o karygodną bezczynność.

Prostokątna tablica błyszcząca czernią świeżo nałożonej farby i odbijała słońce jak lustro. Niektórym w dalszym ciągu wydawało się, że widzą na niej jakiś napis; nie byli jednej myśli co do jego znaczenia, kłócili się ospale.

Brodacz rozejrzawszy się po tłumie posmutniał, bo nie zobaczył Marka, ale nie miał czasu na sentymenty, z boku podeszło do niego dwóch mężczyzn. Jeden, niemłody, w trykotowej koszulce w poziome pasy, barczysty i opalony jak marynarz, który dopiero co zszedł z żaglowca; drugi, zgarbiony, chudy i w okularach, wyglądał na inteligenta. Obaj zadarłszy głowy patrzyli na tablicę. Mężczyzna w okularach w milczeniu pomacał jej drzewce, cofnął się krok, podrapał za uchem, i bez zażenowania przyglądał się marynarce, spodniom i mało eleganckim butom brodacza. Osiłek rękę wsadził po łokieć w kieszeń i splunął przez zęby.

— Czego tu tak stoisz? — zająrzył brodaczowi w oczy. —

Pozwolenie masz? Nie masz! Zaciukają cię, bracie, do wieczora. Dopiero co się zesзли. Radzą, co z tobą zrobić. Nie poszedłbyś już do domu? Rzuć to, będzie ci łatwiej pryskać. Już i tak mają o czym myśleć. Chyba ci o to szło?

Mężczyzna w okularach kiwał się na piętach, poruszał wargami, odczytywał wyraz, którego na tablicy nie było, i próbował go sobie tłumaczyć na wszystkie sposoby. Kilka razy robił ruch, jakby sięgał ręką za koszulę, żeby się podrapać, ale opanowywał się i skubał nerwowo brodawkę, co rusz zniżając głowę i przyglądając się brodaczeowi w nowym zaskoczeniu. Osilek zerkał przez wypłowiałe rzęsy i tań udo przez kieszeń.

— To co? Będziesz tak czekał miłosiernie, aż się zlitują i zwiną cię na amen?

— Na razie nie mają za co — odparł brodacze. — Mam zamiar stać tu do wieczora, a jeżeli trzeba będzie, to przyjdę i jutro.

— Wystoisz co ciekawego! — rzekł tamten z rozdrażnieniem. — Patrz na ludzi. Nie widzisz? Same barany. Zanim się pokapują, o co idzie, będziesz załatwiony. Pyskaj, póki nie ma mrozu. Choć u tych z magistratu pod dachem nie najlepiej, w końcu się domacają, po coś staną, i załatwią cię, żebyś im miasta nie przeziębiał.

Za osiłkiem stanął ogrodnik i puknął go palcem w plecy.

— Nie rozmawiać! Nie podjudzać! Stoi człowiek, niech stoi, póki wolno. Krzywdy mu nikt nie robi. — Chwyć osiłka za koszulę i spróbował odciągnąć go od brodacza. — Zmawiać się nie wolno!

— Jest już rozkaz, żeby ludzi rozganiać?

— Nie ma — przyznał ogrodnik niechętnie i trochę się speszył. — Za godzinę będzie. Posiedzenie jest w tej sprawie. A ty kto, że pytasz o rozkaz?

Przyjrzał się osiłkowi i jego muskułom rozpychającym trykot.

— Stać można, tyle że lepiej nie rozmawiać — ostrzegł jakby życzliwiej. — Kłopoty być mogą.

Osilek rozstawił nogi i ruszył wielkimi bicepsami. Ogrodnik cofnął się odrobinę, wwiercił obcasy w żwir, prawą dłoń wsadził za szelki i patrzył w milczeniu na osiłka, coś wysysając językiem z zębów. Tamten przypatrywał się teraz chudzielcowi w okularach, który przysunął się do brodacza i lustrował z respektem rozrośniętą postać. Zdjął szkła, przetarł je wyjętym z kieszeni kawałkiem irchy, nasadził z powrotem w odcisnięty na nosie ślad i przez minutę studiował tablicę.

— Nie mógł pan nic więcej napisać? — spytał z przyganą.

Brodacze przesunął po czole wierzchem dłoni rozmazując na

nim pot i otarł wilgoć o spodnie. Ogrodnik stał z boku i obserwował trójkę.

— Wiadomo, o co idzie, co się pan czepiasz? — odpowiedział okularnikowi osiłek. — Komu pilno, ten zrozumie. Nie wiesz pan, że nie każdym sposobem można gębę otworzyć? Chcesz pan napisu w publicznym miejscu?

Okularnik z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Myśli pan, że ludzie się zorientują?

— Myślę albo i nie myślę.

— To pan źle myśli! — powiedział z gniewem okularnik.

— Widzi pan, że ludzie nie reagują!

— Nie re-a-gu-ją! Ale będą mieli o czym myśleć przez parę dni. Żyłaki im się na mózgach porobią. — Niech no się pan cofnie! — odsunął łagodnie okularnika. — Lada minuta może się tu zrobić taki raban, że będą kłopoty ze znalezieniem głowy przynależącej okularom. A z krzepą, nie obrażając, to u pana tak mikro, że będziesz pan tylko zawadzał, sam potrzebując pomocy.

Okularnik wzruszył z niesmakiem ramionami, po czym obaj umilkli mając przed sobą ogrodnika i brodacza.

— A bo, psiekrwie, naładowali podatki! Za psy i od komy, i na te ich muzeumy, na wszystko! — nie wytrzymała starszawa kobieta poskręcana od wieku, niepogody i słońca jak uschły wiąz; głośno wytarła nos w róg drukowanej chustki i nie patrząc na ogrodnika obróciła się do sąsiadki. — Miarkuję, że mu o to poszło, o te podatki! Człowiek ledwie żyje, a zarobki gorsze. Kiedy się wraz pomyśli, jak dawniej bywało, robi się markotnie na duszy. Powiadają, że będzie lepiej, ale kto ich tam wie, komu lepiej pisane. Człowiek nie zmiarkuje, do czego ma dojść. A bo to dadzą umrzeć spokojnie?

— Nie podjudzać! — ostrzegł ogrodnik. — Nazwisko?

— Patrzcie go! Będzie na ulicy rozpytywał! A ty kto, sekwestrator? — poparła ją sąsiadka.

— A szarwarku to im furt za mało! — poskarżył się kulawy ze szczudłem w ręce i krótszą nogą, wiszącą tuż nad ziemią.

— I tych, jak im tam, chuliganów na mieście, że strach! Wieczorem ulicą nie przejdiesz! To ogrodników wtedy nie widać, a tu ci będzie pytał o nazwisko jak jakiego złodzieja! Jak pójdziesz na targ sprzedać trochę śmietany i staniesz, gdzie nie trzeba, to ci ją kopnie i wyleje! — przypomniała pierwsza.

— Niech żyją! — krzyknął ogrodnik patrząc uporczywie na brodacza. — Niech żyją!

— Niech żyją! — podchwyciły głosy z peryferii zbiegowiska.

— Niech żyją! — powtórzył ogrodnik groźniej.

— Niech żyją! — odpowiedziały te same głosy.
Brodacz przełożył tablicę z jednej ręki do drugiej.
— Niech żyją! — chrypnął ogrodnik łypiąc złowrogo na niego i na tych, co stali najbliżej.
— Niech żyją — powiedział brodac z godnością.
Ogrodnik szarpnął szelki i spojrzał na niego z umiarkowaną satysfakcją.
— Ty! — rzekł do niego. — Odpowiadaj! Ty swój, nie wróg?
— Niech żyją! — krzyknął teraz osiłek.
— Niech żyją! — odpowiedziało gromko kilkadziesiąt męskich i kobiecych głosów.
Brodacz patrzył przed siebie.
— Niech żyją! — powtórzył osiłek wpatrując się w niego równie natarczywie jak przedtem ogrodnik.
— Niech żyją! — odkrzyknęło teraz jeszcze więcej ludzi.
— No, co ty? — osiłek naprężył mięśnie pod koszulą. — Niech żyją, było! Nie słychać?
— Niech żyją — odpowiedział niechętnie brodac. — Tu nie wiec.
Ogrodnik patrzył koso to na tłum, to na brodacza, okręcając drzewce sekatora. Z ciżby wyrwał się nagle spocony supernadzorca ogrodników, skoczył z nożycami w ręce do brodacza i dał mu na odlew w zęby.
— Ty co?! — ryknął. — Nietutejszy? Turysta? Marsz stąd! Wont! Poszedł zaraz!
— Biją — powiedziała kobieta w chustce i wytarła nos jej rogiem.
— Niech żyją! — krzyknął głośniejsz tłum.
— Rozejść się! Natychmiast się rozejść! — ryknął supernadzorca. — Każdemu mam prawo dać po mordzie!
— Niech żyją! — zakrzyczano go. — Niech żyją!
Brodacz dotknął ręką twarzy i znów stał pośród krzyków, jakby on jeden był obojętny wszystkim, nieporuszony i bezstronny. Supernadzorca przepchnął się z powrotem przez gapiów i przepadł. Tłum skandował swoje. Ogrodnicy w kombinezonach przywarowali na chwilę, a inni, w czarnych garniturach, odpadli nagle od tłumy chowając po rękawach swoje notesy. Tylko paru odważniejszych notowało skrętnie nazwiska krzyczących za osiłkiem i na wszelki wypadek nazwiska tych, którzy krzyczeli za ogrodnikami. W końcu, kiedy się okazało, że w obu przypadkach idzie o tych samych ludzi, w zbożnej rejestracyjnej pracy nastąpił zastój.

W chwilową ciszę wpadł teraz idący od placu Kalalii stukot butów, rytmiczny i równy jak na wojskowej paradzie. Zbiegowisko przycichło i zaczęło powoli obracać się w tamtą stronę. Środkiem jezdni w karnym milczeniu szedł równymi piątkami długi pochód złożony z samej dzieciarni. Na jego czele, niczym chorążowie sztandarowego pocztu idącego na defiladzie przed pułkiem, kroczyło pięciu chłopców równych wzrostem. Środkowy niósł wielką tablicę z napisem « TAK ». Napis otoczony był girlandą namalowanych liści przeplatających się z jabłkami i kalaliami, które tu rzeczywiście podobne były do owoców, jakie niegdyś malowano na pierwszych transparentach. Dwaj chłopcy z lewej i z prawej strony również nieśli tablice. Na jednej widoczne był piękne czerwone jabłka z napisem « DZIŚ », a na drugiej wizerunek kalalii, owocu trzy razy większego od jabłka. Wychodziły z niego w tło promienie rozplywające się w tęczęwą poświatę otaczającą kalalię niczym aureola. Na tej tablicy widniało słowo: « JUTRO ».

Za pierwszą piątką szło piątek z pięćdziesiąt. Pochód był już w odległości stu metrów od skweru, kiedy brodacz, patrząc przez sporą wyrwę w tłumie, zobaczył, że środkowym w pierwszej piątce jest Marek.

Tłum obstepujący dotąd brodacza popękał teraz, cofnął się i wyległ nad krawężnik. Ludzie przypatrywali się idącym, rozpoznając w pochodzie ze grozą lub satysfakcją swoje dzieci. Kilku ogrodników z sekatorami skoczyło im naprzeciw, żeby zagrozić drogę, ale pochód szedł prosto na nich, więc cofnęli się na chodniki i wmiszali w tłum. Orodnicy w garniturach przepadli w ścisłu na dobre, nikt nie zwracał na nich uwagi.

Pochód przemaszerował wzdłuż budynku filii miejskiego zarządu, gdzie prędko pozamykano okna, wybił o bruk trzy defiladowe kroki i zatrzymał się przy skwerze niedaleko brodacza stojącego samotnie ze swoją tablicą.

— Boże! Toć dzieciaki na pewne zatracenie idą! — zlitowała się kobieta w chustce, narzekająca przedtem na podatki. — A bo to kto się nad nimi uzali? — szukała dla swojej zgryzoty ukojenia wśród gapiów.

Tłum znieruchomiał nad krawężnikiem, jakby zapadł w letarg. Ositek i mężczyzna w okularach spojrzeli po sobie. Ositek uniósł brwi i zasępiwszy się zaraz je opuścił. Dziadek z kozikiem pod pachą wyciągnął pomarszczoną szyję z kołnierzyka koszuli i pompując grdyką wietrzył nowin. Chrypiał coś niezrozumiale, patrząc z wielką troską na stojący pochód, i otwierał usta pokazując w opadłych dziąsłach cztery spróchniałe pniaki sterczące jak cztery przęśła spalonego mostu. Przełożył lewą ręką kozik

spod prawej pachy w prawą garść i zacisnął palce na drewnianym trzonku. Przez moment mamlął wargami i ngale targnął się w przód.

— Mocno ich poniewierają?! — wrzasnął osiłkowi w ucho. — Psiekrwie, uszanowania dla dzieci nie mają!

— Cofnijcie się, dziadku — powiedział dobrodusznie osiłek odsuwając staruszka znad krawężnika. — Tu lada chwila będzie ruch, jakiegoście w życiu nie widzieli. Jeszcze co oberwiecie po starych gnatach!

— Ruchawka będzie, powiadasz? To coś rychtyk dla mnie! — chrypnął potrząsając kozikiem jak lancą. — Jakem był na wojnie, to tego — przeszył nożem powietrze tuż nad ramieniem okularnika, który cofnął się, obejrzał staruszka od stóp do głów niczym nosorożca i skrzywił wargi.

— Niech pan schowa ten oręż. Odnoszę wrażenie, że to narzędzie zardzewiało. Poza tym, jeżeli znajdą u ludzi cięte rany, ktoś może sobie przypomnieć, że to pan wymachiwał szablą!

Dziadek łypnął na niego z oburzeniem.

— Rozbroić się nie dam!

Kłując ludzi szpiczastymi łokciami podreptał parę kroków w lewo, przystanął nad skrajem jezdni i wymachując kozikiem szukał zwady. Zobaczył Marka w pierwszej piątce, zamrugął radośnie, zerwał z głowy zetlały kapelusz i pomachał nim dziarsko.

— Czekaj, chłopcze! Zaraz do ciebie przylecę!

Osiłek przytrzymał go za kapotę.

— Prr, dziadek! Stój!

— Niech żyją jabłka! — krzyknął tłum.

Kilkadziesiąt piątek zastygło, a Marek uniósł lekko swoją tablicę i opuścił jak batutę.

— Niech żyją jabłka i kalalie! — odzew przetoczył się ulicą, aż zabrzęczały szyby w budynku filii miejskiego zarządu.

Dziadek szamocąc się z osiłkiem wypuścił kozik, potknął się i przytrzymał łańcucha. Dziewczynka z warkoczycami podniosła nóż i wsunęła mu go w rękę.

— Niech żyją kalalie! — krzyknął piskliwie supernadzorca, a tablica w rękach Marka podniosła się znów i opadła.

— Niech żyją jabłka i kalalie! — odpowiedzieli młodzi.

Potem tablica podskoczyła trzykrotnie, pochód wybił o bruk trzy kroki, załamał się na wirażu, porządnyymi piątkami przekroczył łańcuch, wszedł na chodnik i pomaszerował na skwer. Tam rozszczępił się na dwoje, owinął brodacza razem z jego tablicą, zatrzymał się i zamarł, a pierwsza piątka ze swoimi tablicami i transparentami wzięła go między siebie.

Tłum też drgnął. Ktoś zrobił pierwszy krok, potem masa ludzi przewaliła się błyskawicznie przez chodnik i mocnym ochronnym kordonem otoczyła brodacza i dzieci.

XII

Prezes rozpoczął debatę przemówieniem, które trwało wszystkiego trzy kwadranse. Teraz przemawiał zastępca. Przypatrywali mu się prezes i szef ogrodników, siedząc za stołem prezydyjnym wśród ludzi, którzy w normalnych warunkach nigdy by się w prezydium nie znaleźli. Wielu spośród nich poczytywało sobie swoją obecność tu za zaszczyt i przysłuchiwało się obradom z nabożną czcią, inni traktowali to wyróżnienie sceptycznie; audytorium, idąc w głąb sali od drugiego rzędu krzesel, nie krępowało się: co trzeci drzemał czujnie.

Z mównicy lał się wartki potok prawd oczywistych i stwierdzeń formułowanych żargonem stowarzyszenia zwolenników kalalii, z którym byli obeznani tylko ci, co ocierali się o miejski zarząd z bliska. Wszyscy inni, znający tylko język codzienny, czuli się tu obco i nie bardzo rozumieli, o czym mowa. Po sali wiało nudą. Jedynie podniecenie prezesa i kamienny spokój szefa pozwalały wnioskować, że posiedzenie zwołano w następstwie niezwyklej wydarzeń.

Zastępca odchrząknął, zgrabnie przerzucając w ten sposób most do powszedniego języka.

— Przedstawiłem nasze wybitne osiągnięcia i mógłbym dorzucić cały rejestr osiągnięć drobniejszych. Mógłbym też mówić o drobnych niepowodzeniach, ale byłoby to bezużyteczne — rzekł surowo do zebranych. — Są sprzeciwy?

Nie było.

Prezes i szef kiwnęli głowami, kiedy zastępca przeszedł do części przemówienia dotyczącej przyszłości. Jego głos skoczył ku górnym rejestrom, przez co zyskał na śpiewności, wznosił się i opadał, jarmarczny jednocześnie i kaznodziejski.

— Kalalie! — krzyczał z niebywałym entuzjazmem i podniósł w stronę sufitu natchnioną twarz stygmatyka.

Prezes wyrzucił w górę ręce i zaczął klaskać. Równym i zgodnym klakerskim aplauzem czknęli ludzie zza stołu prezydyjnego. Oklaski pobudziły śpiących w głębi sali. — aisarak eipud w aisak

łaiM — powiedział do prezesa zastępcą żargonem najaktywniejszych zwolenników kalalii. — Ple-ple-ple!

Sala tym razem zareagowała nie czekając na przykład prezesa i szefa. Tu i ówdzie podniosły się słabe okrzyki, ale ich nikt nie podjął. Ludzie nie wydając głosu otwierali i zamykali usta, co robiło wrażenie zgodnego skandowania; w rzeczywistości prócz ogrodnika przy drzwiach i oficjałów przy stole nikt nie robił zbytniego tumultu.

— Niech żyją kalalie! — krzyknął znów zastępca. — Niech żyją ofiarni mieszkańcy naszego miasta, pełni zrozumienia dla naszego programu! Ku lepszym czasom! Ku sadom pełnym kwitnących kalalii!

Szef ogrodnictwa podniósł się z krzesła. Obróciwszy się twarzą do wiszącego nad stołem prezydialnym symbolu kalalii zaczął klaskać i pokrzykiwać służbiście: „Niech żyją!”. Prezes zrobił to samo, ale z powściągliwością przynależną wysokiemu urzędowi. Sala pod jego wzrokiem podjęła po żołniersku nadprogramowe zadanie.

Zastępca, krępy mężczyzna po czterdziestce, z kręconymi włosami, odznaczający się zdecydowanym spojrzeniem i ruchami znamionującymi gwałtowność usposobienia, zszedł z mównicy, wrócił do stołu prezydialnego i usiadł koło prezesa. Głowę podniósł szef.

— Wszyscy, którzy zamierzają wziąć udział w dyskusji nad ważnymi problemami poruszonymi w przemówieniach, mogą się zgłaszać do sekretarza obrad, który będzie zapisywał dyskutantów. Pożądane jest, aby każdy przedstawił do wglądu konspekt wystąpienia — powiedział. — Ogłaszam przerwę!

Obradujący w milczeniu zaczęli się przepychać na korytarz. Prezes, zastępca i szef utworzyli przy drzwiach odosobnioną grupę. Przestrzeń wokół nich prędko opustoszała i wkrótce wszyscy trzej zostali sami.

— Wiecie już, co się dzieje na mieście? — rzucił półgłosem prezes.

Zastępca podrzucił gwałtownie ramionami.

— No co, wiecie?

— Nic wielkiego. To się zdarza. Ważne, żeby się nam kontrola nie wymknęła z rąk. Poza tym nie widzę powodu do paniki.

Prezes wsadził rękę do kieszeni i tam wcisnął kciuk w spocną dłoń.

— Ci ludzie czegoś chcą — powiedział patrząc badawczo na zastępcę. — Tym ludziom coś się nie podoba. Szef nie mógł się porozumieć z tym brodatym. Myślę, że będzie najlepiej, jeżeli go zaprosimy do miejskiego zarządu. W szczerzej i bezpośrednio

rozmowie, w atmosferze wzajemnego zaufania będzie można zlikwidować wszystkie trapiące go wątpliwości.

Zastępca smarknął w kąt, prezes przekrzywił głowę.

— Ma pan zastrzeżenia do mojej linii? Niech pan śmiało, tylko zaufanie...

— Zaufanie! — zachnął się zastępca. — Nie ma powodu pertraktować z każdym, komu wpadnie do łba wyleźć na ulicę z głupimi sztuczkami. Moja rada: zamknąć wicherzyciela, niech się przy malowaniu kalalii uczy rozumu. Jak go szef weźmie w obroty, zmądrzeje on i inni też zmądrzeją. Ot co!

— Tak pan sądzi?

Zastępca zerknął na zwierzchnika spod ciężkich mongolskich powiek.

— Nie mam nic na sumieniu, żeby się palić do rozmowy z tym czy z innym. Jestem czysty.

— Pan myśli, że ja mam coś na sumieniu — podchwycił prezes — i dlatego się palę do rozmów?

— Nie wiadomo — mruknął sceptycznie zastępca. — Każdemu się wydaje, że jest niewinny, a jak dobrze pogrzebać, na każdego coś znajdzie.

Szef zerknął na obu niewzruszony, jak człowiek, który nie wtrąca się do sporu źle poinformowanych. Ściągnął brwi i wwiercił wzrok w podłogę patrząc na ciemne wydeptane deski.

— Mnie ma pan na myśli? — powtórzył prezes tonem pojednawczym, aby zmylić zastępcę. — Mogę pana zapewnić, że kto jak kto, ale ja nic nie mam na sumieniu. Gotów jestem w każdej chwili przeprowadzić publiczną samokrytykę, jeżeli tylko ktoś coś na mnie znajdzie. Czasami ludzie i na niewinnych bez powodu mówią! — spojrzął koso na zastępcę. — O panu też mówią, i nie najlepiej. Mówią, że pan przemycza jabłka całymi metrami!

— Wolno mi! Podpisywał pan stosowne rozporządzenia!

— Podpisywać podpisywałem, ale mowa była o ilości niezbędnej do zachowania zdrowia i sił do pracy! A pan stracił umiar! Ludzie niedokładnie wiedzą, bo to tajne, ale robią domysły! Mówią, że pan na handel przywozi! Mówią o grupie uprzywilejowanych! Powiadają, że nikomu nie wolno, ale za to my z miejskiego zarządu folgujemy sobie, ile tylko chcemy! To na nastroje dobrze nie wpływa!

Zastępca zerknął prędko na szefa.

— Zastanawiam się — ciągnął prezes — czy temu z brodą nie idzie o czystość obyczajów? Skąd by nagle u niego taka manifestacja? Gdyby wszystko było w porządku, myśli pan, że wystarczyłoby jednego człowieka z tablicą, żeby się tak wszyscy

od razu przyłączyli? Mnie się wydaje — ściszył nieco głos — że to o pańskie jabłka sprawa. Każdy wie, że nie przywozi pan tych jabłek tylko na własny użytek. Wystawił pan sobie willę, ładnie ją pan sobie umeblował. Mówią — dodał, że smutkiem przypominając sobie żonę — że ma pan tyle kobiet, ilu pan tylko może dać radę. Wszystkie za jabłka!

Stojący w korytarzu podeszli bliżej. Zastępca słuchał z czerwieniącą twarzą i raz po raz spoglądał na szefa.

— Pan mnie szpieguje! — syknął. — Pan jest chyba z kim w zмовie! Co to za sprawiedliwość, żebyśmy myśląc dzień i noc o kalaliach, nic z tego nie mieli! To rozumiałe, że jabłka się nam należą! Nawet dziecko by zrozumiało, że tylko jabłka mogą być sprawiedliwym wyrównaniem!

— Niech mi pan w ten sposób nie tłumaczy! — przerwał rozdrażniony prezes. — Brakuje jeszcze, żeby pan zaczął mnie przekonywać, że jak mieszkańcom nie wolno jeść jabłek, to pan wynagradza im to za pośrednictwem swojego żołądka! Panie, ja jestem czysty, ja żyję dla idei i nie będę tu słuchał głupstw! Niech pan się lepiej zastanowi, co im pan powie, kiedy tu lada chwila przyjdą z delegacją, żeby zadać nam parę kłopotliwych pytań. Znow mnie pan przed siebie wypchnie, żebym za pana świecił oczami i krył pana szwindle! Mam tego dość! Jeżeli tylko mnie spytają, obiecuję, że nic innego nie powiem, jak tylko to, co mówię w tej chwili! A pan tymczasem chce, żebym aresztował tego z tablicą? Wstyd! Kto traci kontakt, powinien opuścić miejski zarząd! Pan nie chce wiedzieć, jakie są ludzkie bolączki! Muszę z przykrością stwierdzić, że pan się wyizolował! Pan stracił poczucie więzi z mieszkańcami!

Zastępca słuchał reprimendy kołysząc się z pięt na palce. Po ostatnich słowach prezesa zerknął spod azjatyckich powiek.

— Szuka pan kozła ofiarnego? Na mnie chce pan zrzucić odpowiedzialność za cały pański bałagan? Kto tu jest prezesem? Ja? Jestem tylko pana zastępcą! Niech ci ludzie przyjdą! Niech pan się nie martwi, ja też będę wiedział, co im powiedzieć! Gdzie są kalalie, które co wiece pan im obiecuje? Nie ma pan, co? Pan jest za wszystko odpowiedzialny! Nic łatwiejszego, jak odwracać uwagę ludzi od najważniejszych spraw, a kierować na takie głupstwa jak parę metrów jabłek! Pan naprawdę nie dorósł do swojego stanowiska! No, gdzie pan ma swoje kalalie?

Prezes przygwoździł go wściekłym spojrzeniem.

— Panie, panu się wydaje, że pan tu już jest prezesem, co?

— Koniec przerwy! — oznajmił szef ogrodnictwa wpatrując się z ponurym zainteresowaniem w jednego i w drugiego. — Proponuję, żeby panowie odłożyli na później uzgadnianie opinii

i stanowisk. Trzeba teraz pokazać mieszkańcom, że miejski zarząd jest zespolony w działaniu i w myślach! Zespół, panowie, zespół!

— Zespół! — wybuchnął prezes przypomniawszy sobie raptem gorzkie niepowodzenie z aresztowaniem szefa. — Myślałem, że stoję na czele zgodnego zespołu. Nakazem chwili jest jedność działania i jednomyślność w podejmowaniu decyzji, ale wam wszystko wywietrzało z głowy! Tylko ja jeden się męczę, żeby doprowadzić do końca nasz program! — Przyjrzał się zastępcy z prawdziwą nienawiścią. — Niech tu tylko przyjdą! Odwołam się do ludzi, do wszystkich mieszkańców! Jeszcze dziś zwołam wiec! Niech się opowiedzą, czy są za kalaliami, czy popierają pańskie szwindle!

Zastępca lekko przybladł.

— Szefie! — rozkazał prezes. — Proszę ze swoimi ludźmi przygotować na wieczór plac przy muzeum. Dekoracje, głośniki, trybunę. Zawiadomić tego z tablicą, że jeszcze dziś, natychmiast po zakończeniu obrad, przyjmę go na dwuminutowej audyencji. Niech powie, kogo reprezentuje i czego chce! Jeżeli przyjdzie większa delegacja, trzeba wysłuchać, co mają do powiedzenia, choć myślę, że obaj dobrze wiecie, co się za tym kryje! Jak mogliście pozwolić, żebym stanął przed takimi wydarzeniami? — rzekł z wyrzutem. — Panowie! Wyrażam wam moje najgłębsze niezadowolenie!

Szef ogrodników uniósł lewą brew i spojrzał na zastępcę. Ten wysunął złowrogo dolną wargę, splunął na posadzkę i ciapnął butem po mokrej plamie.

— Myślę, że można to zrobić — odezwał się patrząc na szefa. — W końcu tak czy tak sytuację trzeba wyjaśnić. Tylko nie wiadomo, czym się to skończy i kto tu będzie przegrany. Jeżeli podejmiemy z mieszkańcami zasadnicze rozmowy, nie obejdzie się bez ustępstw. — Spojrzał prezesowi prosto w oczy. — Może trzeba będzie dokonać jakich przesunięć? W końcu, rzecz najważniejsza to porządek w mieście — znów zerknął na prezesa — a tego się nie zrobi bez ustępstw. Moim zdaniem, nie ma w mieście takiego ważnego człowieka, żebyśmy go nie mogli w interesie programu rzucić na szalę.

— Panie, pan mi grozi! — huknął prezes nie posiadając się z oburzenia. — To skandal! Szantaż i oszustwo! Z pana jest tchórz i intrygant!

Zastępca wpał w niego ciężki gorejący wzrok.

— To pan jesteś tchórz! I baran! Mesjasz, kurwa jego mać! — warknął, chwycił rękę prezesa i uszczypnął ją. — Ja się postaram, żebyś pan jeszcze dziś zleciał ze stołka! Ja panu jeszcze pokażę, kto jestem!

Prezes skrzywił się i wyrwał rękę ze szponów zastępcy.

— Bekniesz pan za to wszystko! Ja na pana zbieram materiały!

— A ja na pana już mam materiały! Możesz mnie pan pocałować! A z ludźmi sobie poradzę! Znalazł się dobry pies! Sam nie zje i drugiemu nie da! Wiesz pan — powiedział — kogo ludzie nie lubią jak zarazy? Nie lubią takich zbawicieli jak pan! Oni pierdolą takich! Oni lubią mocną rękę człowieka ze smykałką do interesów! Taki, co lubi interes, innym da skorzystać! Chryste Panie — czknął udając, że go dusi śmiech, i obejrzał zwierzchnika z najwyższym lekceważeniem — a idźże pan do cholery ze swoimi kazaniami!

Uczestnicy obrad obserwowali ich w sposób daleki od dyskrekcji.

— Panowie — przywołał ich do porządku ponury szef. — Czas skończyć przerwę! Co macie między sobą, miejcie, ale nie pokazujcie ludziom! Nie róbcie z siebie widowiska, do kurwy nędzy!

— Nie musimy się krępować — warknął prezes. — Ludzie i tak wiedzą, że muszą się tu z wami użerać!

— Koniec przerwy! — krzyknął w drzwiach ogrodnik dostrzegłszy znak szefa. — Koniec przerwy!

Ludzie powoli powłazili w swoje krzesła. Prezes siadł za stołem; czuł idący ku sobie od zastępcy złowrogi ciąg. Na sali było cicho i cisza się przedłużała. Byle do końca dnia, pomyślał i zerknął na ludzi. Wszyscy utkwili w nim spojrzenia; pokutował przed nimi jak sparaliżowany, a bazyliżkowaty wzrok zastępcy wiercił mu z boku dziurę w głowie, docierając do jądra najskrytszych myśli. Szef siedział nadęty i nieznacznym ruchem dwóch palców muskał wąsy, lewą dłoń wsunawszy za szelki. Prezes złowił na moment jego spojrzenie, ale nie udało mu się wymóc na podwładnym cieplejszego błysku.

Podniósł się przygarbiony, wsparł ciężko rękami o krawędź stołu i objął spojrzeniem salę. Nieco otuchy wlał w niego widok ogrodnika barykadującego zwalistą postacią drzwi do sali obrad, ale po chwili przytłoczyło go wspomnienie nieudanego aresztowania szefa. Od ulicy uderzała w zamknięte okna daleka wrzawa, zamieszanie i bieganina. Spoczone ręce ześlizgiwały mu się z krawędzi stołu.

— Po wstępnej, informacyjnej części obrad — zaczął z wielkim trudem — chciałbym przejść do sprawy najważniejszej. Zaprosiliśmy was dla wspólnego przedyskutowania dróg prowadzących do rychlejszej realizacji programu. Niestety, dzień dzisiejszy, w sposób równie skrytobójczy co perfidny, narzucił nam do na-

tychmiastowego rozwiązania nowy dylemat. — Spojrzał śmielej na salę i podniósł głos: — W naszym mieście doszło do nieoczekiwanych wydarzeń. Blżej nie zidentyfikowany człowiek wyszedł na ulice naszego miasta, aby w umysłach mieszkańców posiać zamęt. Z pewnością wszyscyście go widzieli, skoro wieść o tym zdarzeniu dotarła nawet do mnie. Człowiek to zły, podstępny i niebezpieczny. Powoduje się poczuciem bezkarności, które wyrosło na pożywce krótkowzroczności niektórych mieszkańców miasta, znanych dotychczas z posłuszeństwa, lojalności i wysokiej dyscypliny miejskiej!

Nabrał głęboko powietrza, pochylił się do przodu, jakby atakował niewidzialnego przeciwnika, i spojrzał ludziom w oczy zamglone sennością.

— Wszyscy głosowaliście za programem! Wiem, że darzycie miejski zarząd pełnym zaufaniem! Tak być powinno! Naszym obowiązkiem jest walczyć, a waszym pomagać w tym trudzie. Do dziś byliśmy tej pomocy pewni. Ale dziś na ulice naszego miasta wyszedł nikomu nie znany człowiek. Kim jest ten osobnik? Nie wiadomo. Nikomu nie udało się wydobyć z niego potrzebnych informacji. Czego ten człowiek chce? Tego też nie wiemy! Wypisał sobie na tablicy słowa, których nikt nie potrafi odczytać, i z tymi słowami chodzi między ludźmi jak parszywa owca! Jaki jest jego cel?, pytam. Prosty! Chce oderwać ludzi od codziennych zajęć, rzucić miasto w otchłań anarchii, zniweczyć to, co osiągnęliśmy wspólnym wysiłkiem, a potem, w ten sam perfidny i podstępny sposób, oskarżyć o wszystko miejski zarząd, któremu powierzyliście ze zrozumiałym zaufaniem troskę o przyszłość waszą i przyszłość waszych dzieci!

Umilkł i przypatrując się przez moment milczącej sali badał wrażenie, jakie wywołały jego słowa. Nie znalazł powodów do zadowolenia. Wprawdzie obecni patrzyli na niego z zainteresowaniem nieco żywszym niż dotąd, ale w twarzach nie dostrzegł życzliwości, nie było zrozumienia, które kiedyś przeskakiwało jak iskra w łuku elektrycznym do niego i z powrotem. Nawet powietrze w sali, nieruchome i ciężkie, było mu nieprzychylnie. Rzucił prędko okiem na szefa ogrodników: siedział zapatrzoney w leżący przed nim czarny notes i wertował go uważnie strona za stroną. Obok, wrośnięty w krzesło, tkwił zastępca — z założonymi na piersi rękami, z nogami skrzyżowanymi i wyrzuconymi przed siebie patrzył zimno w sufit. Prezesowi wydało się nagle, że stanął twarzą w twarz ze spiskiem. Wzmagając podejrzenia, gorzką falą uderzyło w niego wspomnienie dzisiejszych wydarzeń: rozmowa z kierownicą, nieudane aresztowanie szefa, kłótnia z zastępcą, jego zamaskowane pogroźki.

— Mieszkańcy miasta! — krzyknął. — Naprzód do walki z demagogią, chaosem i buntem! Naprzód do walki o kalalie! Niech żyją kalalie! Naprzód najlepsi synowie naszego miasta! Niech żyje miejski zarząd, wypróbowana awangarda w walce o lepszą przyszłość! Niech żyją kalalie!

Nikt nie zareagował. Prezes przyjrzał się siedzącym w rzędach ludziom. Ci, co nie spali, sapali, drapali się i pocili obficie. Szef ciężką dłonią podpierał czoło, a pełnomocnik zastępcy zrobił sobie samolot z wydanego wielkim nakładem środków wieloletniego programu działalności miejskiego zarządu i kłut nim w nos śpiącego egzekutora dobrowolnych składek, ku wielkiej ucieście najbliższych sąsiadów. Egzekutor wstrząsał się przez sen, wtykał w dziurki od nosa wielkie paluchy, wiercił nimi i pochrząkiwał donośnie. Szef ogrodników głośno zatrasnąwszy notes zabębnił po nim palcami lewej ręki, a palcami prawej muskał wąs, jakby go namaszczał wonną brylantyną — znak niechybny decyzji dającej najwyższą satysfakcję. Audytorium przekrzywiając po ptasiemu głowy zaczęło łowić szum uliczny sączący się skąpo na salę przez pancerne szyby zakratowanych okien. Prezes odchrząknął głośno.

— Co się dzieje?! Nie słyszeliście? Co tam się dzieje na ulicy? Niech żyją kalalie! — krzyknął po raz drugi, jak nauczyciel podrywający do posłusznego działania klasę znarowionych wychowanków. — Niech żyją kalalie!

— Niech żyją — odezwał się od drzwi apatyczny głos ogrodnika.

— Boże wielki! Przed nami sprawy najwyższej wagi, a wy się zachowujecie, jakby szło o załatwienie dziury w jezdni — rzekł z wyrzutem i siadł. — Otwieram dyskusję — oznajmił bezbarwnie. — Kto się zapisał, niech zabiera głos. Tylko zapowiadam, żadnych podejrzanych wystąpień!

Salę ogarnęła cisza, wielka i dzwoniąca w uszach. Były właściciel jednego z ostatnich sądów odkrywając na sobie natarczywy wzrok prezesa kiwnął się niespokojnie i próbował skryć za plecami siedzących przed nim. Prezes wskazał go palcem.

— Chciał pan nam coś powiedzieć — zauważył. — Z wdzięcznością wysłuchamy waszych uwag dyktowanych bogatym doświadczeniem. Słuchamy, tu każdy może mówić!

Tamten, zrezygnowany, wstał z twarzą w wypiekach i zaczął szukać między krzesłami przejścia do mównicy.

— Oczywiście — rzekł prezes. — Macie prawo. U nas każdy może przemawiać z mównicy. Każdy, kto tylko sobie życzy. Po to ta mównica jest.

Ze spodni kuśtykającego ku mównicy eks-właściciela wysuwała nieświeży język wyblakła koszula. Zastępca prowadził idącego przymrużonymi oczami.

— Tylko bez niepotrzebnego gładzenia! — ostrzegł. — Mamy jeszcze do omówienia ważne miejskie sprawy!

Mówca wlaź za pulpit. Żyłaste ręce wisały po bokach zgarbionego tułowia jak gałęzie bez liści wykręcone jesiennymi wiatrami. Stanąwszy na mównicy wyrzucił na pulpit ciężkie dłonie niczym dwa wielkie pistolety. Spojrzawszy na audytorium speszył się, zgarbił jeszcze bardziej.

— Co to ja, tego? — wybąkał spoglądając na ludzi i na prezesa. — Pan prezes tak na mnie popatrzył. Pomyślałem sobie, że to są wszystko bardzo ważne miejskie sprawy, ale ja nie za bardzo się na nich znam.

Zobaczył szefa ogrodników wyciągającego z kieszeni czarny notes.

— Nie wiem sam, jakim sposobem tu wlażłem — mruknął do siebie. — Diabli ciebie, ścierwo, z twoimi ślepiami nadali. A żebyś ośleplł. Jak trzeba, to ja za wszystkim — krzyknął — bez sprzeciwu!

— Za wszystkim? — podchwycił zastępca przerzucając krótkim szarpnięciem głowy niebezpieczne pytanie na całą salę. — Patrzcie go! On jest za wszystkim! Jeszcze jeden! Potrzebujemy zdecydowanych i świadomych ludzi, a ta pierdoła mówi, że będzie za wszystkim. Za jabłkami, co?

— Ja nie tak. Nie pomyślałem, że to się wam może, panowie, nie spodobać. A bo ja wiem, co z takiej mównicy można powiedzieć? Wszystko, mówicie, obrodziło jak trzeba pod waszym zarządem, kłopotów żadnych nie macie, to może człowiekowi i mówić się nie należy?

— Wiecie, co się dzieje na mieście? — warknął szef bębniąc palcami w notes.

— Niby co? Ja się takimi sprawami nie zajmuję, ani robieniem, ani słyszeniem tego, co się na mieście dzieje — zaznaczył chytrze. — Jak się z tymi rzeczami nie ma do czynienia, to się ta i nie wie. — Spojrzał na prezesa. — To może ja już lepiej stąd zleźć?

Prezes nie odpowiedział. Twarz mówcy rozjaśniła się nagle, nabrał powietrza.

— Niech żyją kalalie! — krzyknął.

— Niech żyją — przyświadczył prezes.

Mówca czym prędzej wygramolił się zza pulpitu i podreptał do swojego rzędu krzesel, ale w przejściu pełnomocnik zastępcy

sięgnął mu niespodzianie do portek i do reszty wyszarpnął z nich brudną koszulę.

Prezes za stołem zachichotał gwałtownie.

— He, he! No, dziękujemy wam bardzo za wasze wystąpienie — powiedział. — Daj mu pan spokój! — upomniał pełnomocnika. — Kto chce zabrać głos?

— Niech będzie, że ja — rzekł piskliwie mężczyzna o włosach potarganych i żółtych jak płomień łożowej świecy.

— Słuchamy. Pan też na pewno chce stamtąd przemawiać — prezes okazał zrozumienie dla słabostek swoich mieszkańców.

— Mnie tam wszystko jedno, mogę stąd.

Przesmarował językiem wargi, wysupłał z kieszeni jakiś świstek i wsunął go tam z powrotem.

— Moje mówienie proste. Wszystkich, co się buntują albo niepewni są, przyaresztować. Zamknąć tych, co stoją na ulicy i patrzą gdzie narozrabiać, bo to złodziejskie nasienie! Nic dobrego z takich nie ma! Z młodych to samo nic nie wyrosnie, trzeba ich trochę przyskrzynić! Baby zamknąć, niejedna się puszcza za jabłko! Przyaresztować i spokój! Nie pobłażać, prezesie, nie pobłażać!

Prezes odetchnął, coś mu zaświtało. Spojrzał na szefa w białego łokciem w blat stołu i wrócił spojrzeniem do mówcy.

— Zobaczmy. Może trzeba zrobić, jak radzicie. Przyciąć w korzeniach. Bardzo nas cieszy to, co powiedzieliście. Tacy ludzie jak wy są nam potrzebni! Zasłużyliście się nam jako jeden z pierwszych!

Mówca chrząknął z zadowoleniem.

— Będę miał wam potem coś do powiedzenia na osobności — dodał prezes.

Szef zerknął na niego z uwagą i przestał się bawić notesem. Żółtowołosy czerwonym obliczem wyrażał gwałtowną nadzieję.

— Służę swojemu miastu — oznajmił — z serdecznej życzliwości! Ja nie z tych, co wicherzą albo czekają jakich korzyści! Ja bym ze szczerego serca wszystko dla was! Życia bym nie żałował!

— Będę miał do was parę słów — powtórzył prezes.

Tamten otarł łzy.

— Wszystko! Dla kalalii żyję! Bez nijakiego wynagrodzenia!

— Tak myślałem — rzekł prezes. — Przyszło mi do głowy, że wielka by była szkoda, gdybyśmy takiemu ofiarnemu człowiekowi nie dali okazji się przysłużyć.

Zgromadzeni, ożywieni zawiścią, zakręcili się niespokojnie w krzesłach. Paru podniosło rękę, żeby natychmiast coś powiedzieć, i prezes już miał jednemu z nich przyzwalająco skinąć głową,

kiedy drzwi pękły nagle na oścież i w progu zatrzymał się mężczyzna. Spojrzał na salę i wyminął ogrodnika, któremu ręka z sekatorem zaplątała się w szelki.

— Tu nie wolno wchodzić! Tajne obrady tu są!

Mężczyzna zrobił parę kroków i przystanął w przejściu przedzielającym salę. Jednym okiem odszukał prezesa, drugim przyjrzał się szefowi. Ogródnik wysupłał wreszcie rękę z szelek, złapał go za ramię i spróbował wypchnąć za drzwi.

— Tajne obrady — powiedział mężczyzna. — Dobrze widzę, że obrady. Ale muszą mnie tu wysłuchać. To historyczna konieczność.

— Zaczyna się! — krzyknął dramatycznie prezes.

Szef podniósł się wolno z krzesła.

— Ogródnik! Co za nieporządek? Jak pilnujecie drzwi? Wyrzucić!

— Właśnie wyrzucam, ale on trochę za nachalny. Może mu nie poradzę.

— Wyprowadzić go! — rozkazał szef.

Ogródnik chwycił rękę mężczyzny i zaczął go ciągnąć do drzwi.

— Zostaw mnie — rzekł przybyły. — Ja też mam tu interes!

— Mówi, że interes ma! — zameldował ogrodnik.

— Kto chce, włamuje się na salę obrad! Aresztować tego człowieka i wyciągnąć surowe konsekwencje! — rzucił prezes.

— Niech powie, co ma do powiedzenia — zaproponował niespodzianie zastępca. — Tak czy tak, cały dzień mamy do czynienia ze stukniętymi. Jeden mniej, jeden więcej, jaka różnica. Ty tam! Naprzód, gadaj!

— To niech nam już powie! — jęknął prezes. — Tylko prędzej, mamy mało czasu!

Mężczyzna zrobił krok w przód i spojrzał na prezesa z wyrzutem.

— Aresztować zaraz? Za co?

— Mów! — warknął szef. — Ale i tak będziesz musiał ponieść konsekwencje naruszenia porządku!

Mężczyzna przyjrzał mu się ironicznie.

— Nigdy nie wiadomo, kto w końcu uratuje porządek. W każdym razie muszę wam pobudzić tych śpiących rycerzy. W mieście dzieją się dziwne rzeczy. Ludzie wyszli z domów, jest ich coraz więcej i za godzinę albo dwie na ulicy znajdą się wszyscy, którzy się mogą ruszać o własnych siłach. Byłoby dla was dobrze tam pójść i posłuchać, o czym mówią. Przyszedłem, żeby wam doradzić i powiedzieć parę słów, bo to są te same

słowa, z jakimi przyjdą ludzie, kiedy im się sprzykrzy czekać na was na skwerze.

Spojrzał na prezesa, przyjrzał się ponuremu szefowi i rozpartemu za stołem zastępcy.

— Zebraliście się na posiedzenie, zamknęliście salę i przy drzwiach postawiliście ogrodnika z sekatorem. Boicie się, że ktoś tu przyjdzie i nie da wam spokojnie pogadać?

— Niech nas nie obraża — zaprotestował słabo prezes.

— Nikt was nie obraża. Całe miasto śmierdzi wam jabłkami, które się snią wam po nocach jak grzech pierworodny, choć każdy z was chciałby ten grzech popełniać albo go popełnia co dzień z twarzą oburzoną na innych.

— Niestychane! — szepnął prezes. — Niech wyjdzie!

Mężczyzna spojrzął po skulonych postaciach, przegarnął wzrokiem głowy przy stole prezydyjnym i zajrzał prezesowi w oczy. Zrobił krok w jego stronę; prezes wcisnął się w trzeszczące krzesło, intruz uśmiechał się.

— Nikt z was nie pyta, o co tym ludziom idzie. Nikt nie zaprosił tu tego brodacza z tablicą. Nikt. Modlicie się tylko w duchu, żeby popełnił jakieś drobne wykroczenie, bo go wtedy zamkniecie i posadzicie przy malowaniu kalalii, pewni, że w ten sposób zlikwidowaliście niebezpieczny problem.

Prezes wstał gwałtownie zamachał rękami.

— To demagogia! To niedozwolone! Nie wolno obrażać zarządu! Zamknę każdego, kto się ośmieli tak mówić!

Mężczyzna też wyciągnął rękę przed siebie.

— Spokojnie, panie prezesie, niech się pan nie denerwuje!

Prezes poczuł, że ta idąca z daleka dłoń działa na niego paralizująco i kojąco jednocześnie. Pomyślał, że taki powinien być jego zastępca. Opadł bezwładnie w krzesło i ujrzał zaskoczony, że i szef ogrodników wpatruje się w mężczyznę z najwyższą uwagą.

— Spokojnie — powtórzył mężczyzna. — Nie przyszedłem pana obrażać ani zawracać kijem waszej rzeki, jeżeli to jest rzeka, a nie kałuża, o której myślicie, że jest w niej wartki nurt i że wszystko w niej płynie, a nie gnije! Nie jestem tu obcym człowiekiem! Cokolwiek się zdarzy, będę żył w tym mieście, bo nie każdemu jest pisane miejsce lepsze!

Nim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić znalazł się przy oknie, odsunął masywne rygle i otworzył na oścież obie wysokie kwatery. Na salę przez kraty wionęło ciepłym powietrzem i dalekimi stłumionymi głosami. Prezes skurczył się w sobie, mężczyzna obrócił się do niego.

— Wpuście ludzi do waszych urzędów! Niech wam mówią,

czego im najbardziej trzeba. Teraz podnoszą krzyk, bo dużo czasu upłynęło od dnia, kiedy mieli okazję coś wam powiedzieć. Dajcie im dwie godziny, a będą krzyczeć jeden przez drugiego jak opętani. Dajcie im cztery godziny, a uspokoją się i zaczną mówić rozsądnie. Wtedy powiedzą, czego im najbardziej trzeba. Powiedzą wam wszystko, co powinniście wiedzieć. Wysłuchajcie ich cierpliwie, bo to będzie dla waszego dobra. Przecież chcecie dalej siedzieć w zarządzie?!

Zastępca jednocześnie z szefem dał znak ogrodnikowi.

Ten obciągnął na sobie kombinezon i trzymając jedną ręką sekator, cichymi krokami zaszedł mężczyznę od tyłu, złapał go za rękaw i zaczął ciągnąć do drzwi. Mężczyzna zapał się, ogrodnik go szarpał ściągając mu powoli marynarkę z ramion. Kiedy została mu w ręce, upuścił ją na podłogę, cofnął się i natarł na intruza potrząsając groźnie sekatorem.

— Czekał — powiedział tamten przyrósłszy do podłogi. — Co ci się, bracie, śpieszy? I tak za to, żeś mnie tu wpuścił, nie będziesz miał spokoju do końca życia!

Ogrodnik szarpnął go jeszcze raz, ale mężczyzna zrobił w jego stronę gwałtowny ćwierćobrót.

— Chcesz, żebym ci obił trąbę?

— Aresztować go! — warknął szef ogrodników siedzący bez ruchu na swoim krześle.

— Panie szefie! — rzekł mężczyzna. — Za parę minut będę do pana dyspozycji, ale chcę skończyć to, co zacząłem.

— Milczeć! — krzyknął histerycznie zza stołu prezes. — To jest tajne posiedzenie miejskiego zarządu i my tu nikogo obcego nie potrzebujemy!

— O to właśnie idzie — powiedział mężczyzna — że ja nie jestem obcy. Wszyscy jesteśmy z jednego miasta i to, co robicie, odbija się na mnie, czy tego chcę czy nie. Powinniście czasem posłuchać, co chcą wam powiedzieć ludzie spoza zarządu.

— My sami dobrze wiemy, co powinniśmy robić! — krzyknął prezes.

— Może tak. Wiecie, co macie robić, żeby ułatwić sobie urzędowanie. Ale rezultaty waszych decyzji naszą garbują skórę! W tej sprawie mieszkańcy są najlepiej poinformowani!

— Nikt nie ma prawa dyktować nam, co mamy robić — powiedział prezes zniżając się do cierpliwego wyjaśniania. — Powinien o tym wiedzieć.

Zastępca podniósł mongolskie powieki.

— Przecież to pertraktacje z buntownikiem! — Wstał i wyciągnął w stronę prezesa oskarżycielską dłoń. — Prezes dyskutuje tchórzliwie z samozwańcami doradcami! Mieszkańcy miasta! —

zawołał tubalnie do siedzących w rzędach. — Trzeba nam człowieka silnej ręki, a nie prezesa, który ze strachu robi w portki, ile razy napotka w urzędowaniu drobne trudności!

— Sam pan zaproponował, żeby go wysłuchać.

— A pan z tego skorzystał, żeby z nim pertraktować!

Mężczyzna przyjrzał się jednemu i drugiemu.

— Wy już i na siebie nie możecie patrzeć — zauważył. — Plujecie sobie w karty!

— Milczeć! — fuknął szef ogrodników okręcając szelki.

— My, człowieku, nic nie musimy robić. Zarząd jest niezawisły — wyjaśnił intruzowi prezes. — A ja z nikim nie pertraktuję. Ja też jestem za tym, żeby go aresztować, tylko że nasze ogrodnictwo jest do kitu. W takich gorących chwilach mamy do dyspozycji jednego ogrodnika! Jak w tych warunkach sprawować zarząd?

— Jeżeli panu mało jednego ogrodnika, może ich tu być więcej — mruknął szef stuknąwszy palcami w rozłożony notes. — Ja nie widzę potrzeby.

— Proszę bardzo! — krzyknął prezes. — Na salę wtargnął obcy człowiek, żeby zawracać nam głowę głupimi radami, a ogrodnictwa miejskiego nie ma, bo pewno asystuje buntownikowi stojącemu z tablicą w samym centrum miasta! Tymczasem szef powiada, że nie widzi potrzeby wzmocnienia ochrony w siedzibie miejskiego zarządu!

Ludzie siedzieli w odrętwieniu. Nieznajomy mężczyzna stał w połowie drogi od drzwi do stołu prezydyjnego.

— Jestem za kalaliami — powiedział — ale coś mi się wydaje, że nie znajdzie już pan w mieście wielu takich, którzy będą krzyczeć za kalaliami, jeżeli nie dostaną trochę jabłek.

Z ulicy przez okno wbiegł krzyk gromadnego skandowania kilkunastu sylab. Przez pół minuty było cicho i skandowanie powtórzyło się bliżej, jakby płynęło na mocnej fali zgarniającej z drogi wszystkie przeszkody. Mężczyzna podniósł głowę.

— A może macie choć jedną prawdziwą kalalię, żeby pokazać ludziom? To by ich na pewno usposobiło do was życzliwiej, może rozeszliby się spokojnie do domów. Choć jedną?

— Kalalię? — powtórzył prezes. — Nie ma.

— Przydałaby się, żeby im pokazać. Może choć jedna jest? Prezes rozłożył ręce.

— Nie ma. Sami nie widzieliśmy. Pan, panie zastępczo, jest zorientowany. Pan powie.

— Trudności były — burknął zastępca. — Wiatry, surowy klimat. Obiektywnie. Nie ma.

Dalekie głosy wzmogły się, nastuchiwali ich ludzie z całej sali. Ogrodnikowi przy drzwiach odbiło się głośno.

— Nikt nie przychodzi z nowinami — poskarżył się prezes. — Może jesteśmy odcięci albo otoczeni? Nie znając sytuacji, nie możemy kontynuować obrad.

— Eee tam — uspokoił go szef. — Moi ludzie są niezawodni.

— Ależ ja zupełnie nie wiem, co się w mieście dzieje! — gryźł się jękliwie prezes. — Nie mogę sprawować zarządu, o niczym nic nie więdząc!

— Pan nie musi wiedzieć — pocieszył go szef. — Jest pan bezpieczny, ma pan zapewnioną nietykalną osobistość. Ogrodnictwo zawsze jest w stanie tę osobistość panu zapewnić.

— To niewiele — westchnął prezes z rezygnacją.

— Nieraz to bardzo dużo — zaczępił go zastępca.

Mężczyzna zrobił pół obrotu i spojrzął na drzwi. Korytarzem zbliżały się prędko kroki. Wszyscy obrócili tam głowy jak na komendę.

— Ktoś idzie! — krzyknął radośnie prezes i uniósł się w krzesło. — Zaraz będę miał najświeższe wiadomości!

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka zamiast posłańca wgramolił się ogrodnik ciągnąc za sobą opierającą się kobietę, w której prezes bez trudu rozpoznał Agnieszkę. Włosy miała rozrzucone, sukienkę rozdartą, w ręce trzymała worek. Ogrodnik, młody, wysoki i chudy, spróbował wypchnąć Agnieszkę przed siebie.

— Puść, idioto! — powiedziała. — Nie widzisz, gdzieś się wepchał?

Postawiła worek na podłodze i poprawiła dekolt. Całą salę owiał zapach potu, którym upał namaścił jej ciało.

— Samaś tu chciała — zabełkotał ogrodnik.

Szef podniósł się z krzesła jak wielki kot.

— Co wy tu tego? — spytał. — Aresztowaną przyprowadziliście? Przytrzymajcie w areszcie, przesłucham później teraz jestem zajęty.

— Aresztowaną? Jeszcze czego! — prychnęła Agnieszka z oburzeniem. — Niby to pan nie wie, po co on mnie ciągnął!

Ogrodnik, nie ocknąwszy się jeszcze z osłupienia, gapił się na zapelnione rzędy krzeseł, osłepiony idącym od okna słonecznym blaskiem; dyszał z podniecenia i wysiłku. Agnieszka stała z gniewnie wydętymi czerwonymi wargami i z szelmowskim błyskiem w oczach przeczącym oburzeniu.

— Ścierwo! — mruknął szef patrząc na ogrodnika.

Prezes też uniósł się w krzesło.

— Chcesz powiedzieć, mieszkancko naszego pięknego miasta, że ten oto ogrodnik przyprowadził cię tu w prywatnych celach? Zastanów się, to bardzo poważne oskarżenie!

— Pan też! — roześmiała się Agnieszka. — Pewno, że w prywatnych, cały czas mu się wyrывałam! Sukienkę na mnie podarł! Przez całe miasto mnie ciągnął! Krzyczałam, kopałam, ale na ulicy żywej duszy nie ma, wszyscy gdzieś na skwerze. Umyślnie go tu pokierowałam!

Prezes spojrzał ostro na ogrodnika.

— Dlaczego napastujecie tę kobietę? Nie wiecie, że zmuszanie jest karalne? Szefie, znowu wasz człowiek!

— Mój! Może on nie mój, może przebrany? — fuknął szef i obrócił się do sali. — Ludzie! Czym my się zajmujemy? To są sprawy na posiedzenie miejskiego zarządu? Powariowaliście wszyscy?

— Niech pan się liczy ze słowami! — ostrzegł prezes. — Obrona uciśnionych i niewinnych to nasz podstawowy obowiązek!

Nieznajomy, który w milczeniu przyglądał się widowisku, podszedł do stołu.

— Gratuluję — rzekł. — To już trochę podobne do sprawowania zarządu zgodnie z interesami mieszkańców. — Spojrzał kolejno na prezesa, zastępcę i szefa. — Nie jestem tylko pewny, czy to rzeczywiście na dzisiaj najważniejsza sprawa. Miasto wre, ludzie czekają, żeby doszły ich od was zbawienne słowa, a wy po swojemu kłóciecie się o głupstwa. Niech pan posłucha, panie prezesie...

— Odczep się, człowieku, ze swoimi radami — przerwał prezes. Patrzył na Agnieszkę czując zapach świeżącego się na niej potu tak wyraźnie, jakby ją obwąchiwał z bliska.

— Niech panowie pytają, co ona ma w tym worku! — poskarżył ogrodnik, któremu wróciła przytomność umysłu.

— Co macie, kobieto, w tym worku? — zainteresował się szef. — Pokażcie nam!

Agnieszka spojrzała na niego i przekornie zakołysała biodrami.

— Ona ma tam jabłka, panie szefie! — zameldował ogrodnik. — Z tego powodu ją tu przyprowadziłem!

— Jabłka? Ej, coś mi się nie wydaje! — szef niby zwątpił i spojrzał na prezesa. Ten wyciągnął szyję z ciasnego kołnierzyka, bo bardzo się spocił.

Ogrodnik sięgnął do worka i dostał klapsa od Agnieszki.

— Trzymaj przy sobie parszywe łapy! — powiedziała ostrzegawczo. — Sama pokażę, jak zechcę!

— No, pokażcie! — przymilił się szef. — Co on tam na was gada!

Agnieszka postawiła worek na podłodze i zaczęła go powoli rozwiązywać. Wyjęła z niego dwa jabłka, wyprostowała się trzymając po jednym w każdej ręce i przycisnęła je do piersi. Jabłka były tak wielkie, że ludziom w krzesłach zabrakło tchu, zaczęli zmagać się z gwałtownym ślinotokiem.

— Jabłka! — przyznała Agnieszka. — No i co z tego? Bo to ja jedna?

— Aresztować! — nakazał szef. — Nie będziemy się pieścić! Ogrodnik wyciągnął rękę.

— Bo trzasnę w pysk! — ostrzegła Agnieszka. — Już ci to obiecałam, kiedyś mnie tu ciągnął! Tylko mnie dotknij!

— Słyszysz pan, jaka harda? — poskarżył się ogrodnik. — Co dzień przynosi te jabłka. Nie od dziś mam ją na oku!

Prezes wstrzymał oddech, zamknął oczy i jak gromu czekał pytania, skąd Agnieszka wzięła przepustkę.

— Co dzień przynosi, mówicie? — spytał szef.

— Co dzień. Jak nie co drugi, to co trzeci.

— Przynoszę, bo potrzebne. Chcecie, żebym nie przynosiła, to dajcie kalalie. Jak długo jeszcze mam czekać? Człowiek powinien żyć jak człowiek!

— Ona nie rozeznaje się w swoich czynach — powiedział prezes bez nadziei. — Ja ją znam.

Agnieszka zaczerwieniła się gwałtownie i spojrzała na niego.

— Napastował mnie — wskazała palcem ogrodnika. — Całą drogę próbował! Mówił, że za to nie ruszy jabłek!

Szef przyjrzał się obojgu, jakby ich nigdy nie widział.

— Stuknięta? — spytał prezesa.

— Nieszkodliwie. Groźna dla otoczenia nie jest. Można ją puścić.

— Toby trzeba puścić i ogrodnika. Nie ma o co oskarżać.

— Może i on stuknięty?

Szef zrobił do ogrodnika perskie oko.

— Ma seksualną obsesję. Ale ogrodnik z niego dobry. Posłuszny, można na niego liczyć. Jeszcze nikogo nie zgwałcił.

— To chyba puścić oboje?

— Odebrać jabłka, niech idzie — podsunął zastępca patrząc na worek z owocami. — A na drugi raz będziecie ukarana! — przestrzegł surowo Agnieszkę.

— To co? Mam te jabłka zostawić?

— Zostawcie i idźcie do domu. A wy tu zostaniecie — powiedział szef do ogrodnika. — Dwóch was teraz będzie przy miejskim zarządzie.

Agnieszka błysnęła oczami na prezesa, przygryzła wargi, poprawiła dekolt i obciągnęła sukienkę w biodrach. Spojrzała drwiąco na obecnych i na worek z jabłkami.

— To do widzenia — dygnęła mocnym kolanem. — Owocnych obrad, panowie.

— Do widzenia — odpowiedział grzecznie prezes. — Dziękujemy.

Agnieszka obróciła się do ogrodnika, dotknęła znacząco czoła, narysowała na nim kółko i pokazała figę. Ogródnik poczerwieniał ze złości. Agnieszka pokazała mu jeszcze język i kołysząc pięknymi pośladkami wyszła dostojnie na korytarz, jak królewska kochanka po nocy w monarszym łożu. Ludzie obrócili się w krzesłach i zerkali łapczywie na stojący w przejściu pękaty worek. Prezes mrugał nerwowo, spoglądając nieufnie na szefa i zastępcę. Kiedy kroki Agnieszki ucichły, poprawił się w krzesło.

— Ciągłe nieprzewidziane wypadki! Jeszcze nigdy nie przewidywano nam obrad tyle razy! Co za dzień! To, tego, co ja chciałem powiedzieć? — rozpaczliwie pogonił rozpierzchłe myśli. — Kontynuujemy dyskusję. Kto chce jeszcze zabrać głos?

Mężczyzna stał wciąż przed stołem na środku przejścia.

— Ja nie skończyłem.

— Aaa! Jeszcze wy? — przypomniał sobie prezes. — A co wy? Chcecie naprawdę powiedzieć coś ciekawego miejskiemu zarządowi? Coś bardzo ważnego? A może poczekacie do jutra? Widzicie, co się dzieje!

— To dopiero początek — powiedział mężczyzna. — Nie będziecie dziś mieli łatwego dnia. Ludzie czekają na skwerze, żeby ktoś wreszcie zajął się ich sprawami.

Szef wlepił w niego żółtawe spojrzenie i patrzył nic nie mówiąc. Prezes zerknął na zastępcę, po czym przypomniał sobie z ulgą żółtowołosego gorliwca. Odszukał go wzrokiem.

— Przyjacielu — rzekł do niego — kiedyście tak ładnie przemawiali, nabraliśmy do was zaufania. Jesteśmy odcięci od wiadomości z miasta. Nie wiemy, co się tam dzieje. Polecamy wam przedostać się na skwer, przypatrzeć wszystkiemu, przysłuchać się i natychmiast zawiadomić nas o wszystkim. Nie wątpimy, że wywiążecie się z polecenia nie szczczędając trudu ani ofiar. Idźcie — powiedział z ojcowskim wzruszeniem — jeżeli zginiecie, przy muzeum kalalii postawimy wam pomnik.

Żółtowołosy przybladł.

— Nie jestem godzien, panie prezesie, godzien nie jestem.

— Jeżeli zginiecie — powiedział prezes natarczywiej — wpiszemy wasze nazwisko złotymi zgłoskami!

— Nie je-jestem — zająknął się gorliwiec.

— Idźcie! — rozkazał prezes. — Damy waszej żonie dużą rentę!

Żółtowołosy wylazł z rzędu i ruszył niepewnie do drzwi.

— Na tym człowieku można polegać — rzekł prezes do szefa.

Ten skinął głową i nieznacznym ruchem przywołał chudego ogrodnika, który zbliżywszy się do stołu pochylił się nad położonym.

— Idźcie za tym człowiekiem — szepnął mu zwierzchnik. — Odejdziecie ze sto metrów, to go przymkniecie. Zamknąć i trzymać, żeby nikt nie wiedział.

— Tak jest — szepnął ogrodnik, stuknął obcasami i ruszył do drzwi.

— Zaraz będziemy mieli najświeższe wiadomości — oznajmił prezes z otuchą.

Szef ogrodników fuknął w wąsy. Prezes spojrział na salę.

— To co? Kontynuujemy dyskusję? — zaproponował.

— Trzeba coś zrobić z tym nawiedzonym, który częstuje nas radami — rzekł szef. — Może go przymknąć?

— Ja wiem? — bąknął prezes. — Sytuacja groźna! Ludzie się mogą potem upominać.

— Na razie nic strasznego się nie dzieje! Gdyby nam coś groziło, moi ludzie daliby znać.

— A może by go tak zaprosić na obrady jako specjalnego przedstawiciela ludzi, od których przyszedł? — rozpromienił się prezes. — Posiedzi, posłucha, przestanie przeszkadzać. W razie czego możemy go potem bez kłopotu przymknąć.

— Nie zgłaszam sprzeciwu — odparł po namyśle szef.

Prezes przyjrzał się nieznajomemu, skinął na niego i chrząknął uroczyście.

— Zarząd miejski postanowił wziąć pod uwagę to, co powiedzieliście. Zarząd miejski w celu korzystania z waszego doświadczenia i znajomości spraw postanowił zaprosić was na dzisiejsze obrady i nadać wam tytuł nadzwyczajnego doradcy. Jak długo ten tytuł zatrzymacie, zależeć będzie od was. Do tytułu przywiązane są pobory stosownie do odpowiednich zarządzeń.

Zastępca zerwał się z krzesła na równe nogi.

— Zapraszamy na obrady awanturnika, który wtargnął tu, żeby nas pouczać? To przeciw dekretowi!

— On jest przedstawicielem mieszkańców! — upomniał go prezes.

— Ładny przedstawiciel! Anarchista! Protestuję!

Prezes przygwoździł go wyniosłym spojrzeniem.

— Ja i szef już się porozumieliliśmy. Kto jest za tym, żeby

widocznego tu mieszkańca zaprosić na obrady i nadać mu tytuł nadzwyczajnego doradcy?

Mężczyzna poruszył się, jakby miał zamiar wyjść. Z sali patrzącej na worek z jabłkami nie doszedł znak życia.

— Kto przeciw? Nie widzę. Kto się wstrzymał od głosu? Nie słyszę. Wniosek przeszedł jednogłośnie. Niech pan, nadzwyczajny doradco, zajmie odpowiednie miejsce. Najlepiej przy mnie, żebym się mógł od razu konsultować. A teraz kontynuujemy obrady!

Mężczyzna siadł na wskazanym krześle.

— Ludzie czekają — powiedział.

— Wiemy, siadajcie! — zgromił go dobrotliwie prezes. — Na wszystko przyjdzie czas. Po to obradujemy.

— Byłoby dobrze, gdybyście się zastanowili, co należy zrobić, zanim będzie za późno — nie ustępował mężczyzna.

Zastępca taksował go uważnym spojrzeniem, natomiast szef ogrodników oświadczył:

— Gratuluję wysokiego stanowiska. Inni latami nie mogą, a pan jako przedstawiciel mieszkańców od razu. Wysokie stanowisko przy zarządzie, ułatwienia, przywileje, wysoka emerytura. W czepku jesteś pan urodzony. Służ pan dobrze miejskiemu zarządowi.

— Nie przyszedłem służyć miejskiemu zarządowi. Jestem tu w interesie mieszkańców...

— Nadzwyczajny doradco, nasz interes to właśnie ich interes.

Prezes, nie zwracając uwagi na nowo kreowanego doradcę, przytaknął szefowi, ruszył się w krzesło i wstał.

— Dziesięć minut przerwy! — oznajmił donośnie.

XIII

Tłum oblepił zagadkowy pochód jak skołowane pszczoły obcy ul. Młodzi zatrzymali się z tablicami i transparentami przy brodaczu tylko na jakieś pięć minut i potem przy dźwięku werbli ruszyli ze skweru na jezdnię. Tam skręcili w lewo, wchłonęli w siebie tych, którzy chcieli się do nich przyłączyć, i po paru minutach bezładna na pozór kolumna pomaszerowała cicho i karnie wzdłuż pierwszej ulicy.

Razem z nią, trzymając się bram i chodników, ruszył sfor-

mowany na pędce oddział kilkudziesięciu ogrodników w roboczych ubraniach. Ogrodnicy w garniturach pomaszzerowali równolegle z pochodem drugim chodnikiem, czyhając na maruderów i notując nazwiska ludzi, których znali. Za wszystkimi, we względnym spokoju, parł ulicą do przodu coraz liczniejszy strumień gapiów.

Markowi idącemu obok brodacza wydawało się, że ludzie nie bardzo wiedzą, o co idzie — towarzyszą pochodowi z czystej ciekawości, licząc na zdarzenia, jakich historia miasta jeszcze nie znała. Ucichł podniecony jazgot kobiet, mężczyźni ze zmarszczonymi brwiami kolebali się w ciężkim i bezowocnym zamyśleniu. Najdłuższa i najładniejsza w mieście ulica Kalalii skończyła się bez wydarzeń i pochód dotarł statecznie do Alei Ogrodników, gdzie stały ich budynki, zabudowania Oddziału Ochrony Miejskich Terenów Przed Wszelkimi Zakusami Obcych oraz miejski arest połączony z warsztatami, w których czekający na wyrok i ci, którzy orzeczenia sądu przy zarządzie miejskim mieli już za sobą, malowali szklane kalalie.

Na sto metrów przed budynkami ogrodnicy przyśpieszyli nagle i w forsownym marszu dopadli bramy, żeby się za nią zabarykadować. Brama była dawno zatrząśnięta, a budka dyżurna, zamieniona pośpiesznie w gniazdo wystawionych sekatorów, przypominała wielkiego jeża. Z okien więziennego warsztatu stojącego w głębi ogrodnich terenów wyglądały głowy w szarych myckach. Paru ogrodników próbowało przejść przez mur zjeżony kolczastym drutem, ale przyczajeni po drugiej stronie obrońcy poobtłukiwali im palce sekatorami. Zaskoczeni niemile bezwzględnością zamkniętej bramy, ogrodnicy przywarli do muru i patrząc nieufnie na zbliżające się ulicą piątki nastroszyli się sekatorami, ale maszerujący minęli ich nie czyniąc żadnemu krzywdy i nie dając powodu do zbrojnych działań. Ujrzeni to ogrodnicy, którzy za bramą umacniali barykadę. Zaskoczeni przerwali swoje dzieło i wyroili się na ulicę, po czym nerwowo zmierzwieni panującym spokojem poczłapali za pochodem. Mniej wytrzymali dali upust napięciu wykrzykując pod adresem maszerujących piątek obraźliwe słowa, ale i teraz do niczego nie doszło.

Brodacz niósł tablicę mając przy boku pięciu chłopców. Marek i pozostali czterej, oddawszy innym swoje transparenty, proponowali mu pomoc w dźwiganiu, ale ich zapewnił, że go to wcale nie męczy. Od ogrodnich budynków skręcili w jeszcze jedną wyasfaltowaną ulicę, którą od czasu do czasu przejeżdżał przez; była szeroka i piękna jak wystawa bogatego sklepu, obramowana zielenią i obrębiona dobrze utrzymanymi budynkami. Ale kiedy skręcili jeszcze raz, znaleźli się w części miasta znacznie mizer-

niejszej. Tu z dawnych czasów zostały jeszcze rynsztoki i kocie łby. Nad słomianymi dachami porośniętymi mchem błyszcząły tablice z rozmaitymi hasłami na temat kalalii; dzięki neonom napisy widoczne były w nocy w samym centrum miasta.

Buty idących postukiwały jeszcze jakiś czas o kamienie, ale w następnej ulicy nie było asfaltu ani bruku. Spod nóg podniosła się chmura tłustego kurzu. Ulice przylegały do pól, a prezes za radą urzędników nigdy się tu nie zapuszczał. Kto mieszkał przy takiej ulicy, był biedny jak mysz kościelna i żyć tu musiał, jeżeli zaś ktoś osiadł dobrowolnie, to tylko dlatego, że bliskości władz nie lubił ani on, ani jego sprawy. Z otwartych przed garbatymi chałupami śmietników szedł w ulicę fetor gnicia i smród różnego pochodzenia. Kury grzebiące w wysypiskach były chude i podskubywane regularnie przez głodne psy. Koguty chrypiały jak pordzewiałe wrzeczadze i daleko im było do męskości. Na jabłoniach rosnących przy drodze i w dawno nie pielęgnowanych sadach wisiały w pożółkłym listowiu oblepione kurzem i uszlachcone błotem wielkie szklane kalalie.

Brodacz szedł czujnie, łapiąc rozdętym nosem smrodliwe powietrze. Marek patrzył na niego w górę z dumą i skupieniem. W tłumie kłębiącym się wokół pochodu zamajaczyła mu parę razy twarz Ewy. Sylwetka, z drobnymi pięściami przyciśniętymi do piersi małych jak zielone miesięczne jabłka, była zwrócona w jego stronę. Jej widok, rozmazujący się prędko w gęstwie innych ludzi, budził w nim sprzeczne uczucia i osłabiał nieprzyjemne poranne wspomnienie.

Potem skręcił jeszcze raz. Ogrodnicy szli za nimi jakby już tylko z nawyku i ledwie uświadomionego obowiązku; na wodzy trzymało ich niewytłumaczalne porażenie. Odcięci od zwierzchników i uszczupleni o luzaków spełniających różne karne prace, wlekli się za pochodem nie wiedząc dobrze po co. Nikt z idących w pochodzie nie występował przeciw, od tłumy szło milczenie, nie było żadnych niedozwolonych poczynań i nieporządku też nie było; chyba w tym tylko, że nikt nie wydawał rozkazów i nikt rozkazów nie wykonywał. Ogrodników bolało mocno, że ludzie towarzyszący pochodowi zachowują się, jakby ich nie dostrzegali, przemieniając ich tym w powietrze; wywoływało to w ich sercach zwątpienie: nie wiedzieli, czy są potrzebni.

Jednostajnym, nie zmańczonym trybem pochód, eskortowany przez ogrodników i tłum, przemierzył kilkanaście ulic i okrążył pół miasta. Wszędzie stały jałowe jabłonie z ciemnymi bliznami po wyciętych jabłkach. Pośród gałęzi świeciły w upalnym powietrzu szklane kalalie. Ludzie przyglądali się dziwnej procesji najpierw zza firanek, ale potem porzuciwszy domowe zacisze

wylegali przed bramy, żeby się wszystkiemu przypatrzeć lepiej; dołączali do pochodu długiego teraz na sto metrów.

Brodacz i Marek nie zamienili od początku jednego słowa. Obaj z uwagą przypatrywali się wszystkiemu, ale nie działo się nic nadzwyczajnego: marsz odbywał się spokojnie, ogrodnicy trzymali się ludzi w rozsądnej odległości, ludzie ich nie zaczepiali. Marka zdumiewało to coraz bardziej.

— Co będzie dalej?

Brodacz odpowiedział dopiero po minucie.

— Nic na razie. Idziemy.

— Nie mam pojęcia po co.

— Idziemy czekając i czekamy idąc.

— Rozumiem. Myśli pan, że ogrodnikom sprzykrzy się w końcu czekanie, nie wytrzymają i coś zrobią?

— Nie wiadomo, czy to, co zrobią, będzie dla nas dobre — odparł brodacz.

Marek zerknął na ospały konwój ogrodników.

— Wie pan, pierwszy raz mi wstyd, że tatuś jest prezesem. To tamci tak go we wszystko zaplątali.

— Nie jest znowu z ciebie taki zły syn.

— Z tym dobrym synem, to niezupełnie tak — odparł Marek. — Jak się panu wydaje, kto tu może być winien?

Brodacz przymrużył oczy i spojrzał na włosy Marka wybielone przez słońce jak parciane płótno.

— Chciałbym mieć takiego syna.

Marek poczerwieniał z satysfakcji.

— To ja bym chciał, żeby pan był moim tatusiem albo bratem. Chociaż właściwie, tak prywatnie, mój tatuś jest zupełnie dobry.

Znów pewien czas szli w milczeniu.

— Jak pan myśli? Czy to nie przez tamtych tatuś tak się zachowuje, jakby nie miał pojęcia, co się dzieje?

Brodacz wyprostował drzewce tablicy, które za mocno pochyliło się do przodu, a potem szedł patrząc w bok na ogrodników.

— Niech pan powie, bardzo mi na tym zależy!

— Myślę, że twój ojciec jest za długo prezesem. Gdybyś był dorosły i został prezesem, też bym nie chciał, żebyś był nim długo. Po pewnym czasie człowiek się zmienia, widzi wszystko inaczej, wielu rzeczy zaczyna się bać, bo tak przywykł do swojego stanowiska, że chce je zatrzymać na zawsze i wierzy, że tylko on jeden do tego się nadaje. Mówią mu to różni pochlebcy. Potem podejrzewa, że każdy na niego dybie, bo sam wie, że to trwa za długo. Wydaje mu się, że wszystko mu zagraża, przestaje być ważny cały świat, w końcu i kalalie przestają się liczyć.

Marek szedł z poważną twarzą dorosłego człowieka. Chciał dotknąć ręki brodacza tylko dlatego, że tamten niósł tablicę.

— Niech mi pan pozwoli ją ponieść, chociaż parę kroków. Utrzymam.

— Nie utrzymasz. Za ciężka dla ciebie.

Skreśli w następną ulicę, za nimi kilkaset nóg.

— Panu idzie o coś innego. Nie chce mi pan pozwolić, żebym się nie narażał!

— Ponieś ją trochę — ustąpił brodacza.

Marek przejął drzewce i mocno zacisnął na nim palce. Tablica zachwiała się na moment, ale po chwili płynęła na czele pochodu równie pewnie, jakby niósł ją dorosły.

Brodacz roześmiał się.

— Coś ty, bracie, taki zawzięty! Wyglądasz, jakbyś nie od dzisiaj miał z tym wszystkim na pieńku! Masz jakiś powód czy lubisz po prostu porozrabiać?

Marek wzruszył ramionami.

— Przecież mam oczy, a dziś rano przydarzyło mi się coś brzydkiego. Ile razy sobie to przypomnę, bierze mnie złość.

Zaczerwienił się: dopiero co widział w tłumie Ewę z chwytającymi się przy uszach cienkimi warkoczycami, z oczami wlepionymi w niego, mokrymi rozchyłonymi ustami i zapowiedzią dojrzałości rozdzieloną sprawiedliwie między jedną i drugą pachę.

Pochód wmanewrował się w ulicę Pierwszego Prezesa, łączącą się z główną arterią idącą do miejskiego zarządu. W wiszącej nad asfaltem słonecznej kurzawie, jasnej jak poślizgnięta mgła, kręcili się w odległości dwustu metrów jacyś ludzie i stał samochód ucięty w połowie rogiem budynku. Kiedy pochód trochę się zbliżył, Marek dostrzegł na dachu samochodu dwa megafony i zobaczył, że ludzie, którzy się tam kręcą, to ogrodnicy.

Tłum towarzyszący dotąd pochodowi jakby się zawahał, ale wahanie było krótkie. Część ludzi idących chodnikiem wolnym od ogrodników w kombinezonach wyprzedziła pochód, wkroczyła na jezdnię i uformowała się w marszu w kilkanaście dodatkowych ochronnych piątek. Transparenty znalazły się nieco w głębi, a ogrodnicy idący z boku rozdzielili się. Jedni, poprawiając szelki, obciążając pod nimi koszule i mocniej nasadzając na głowy sztywne kaszkiety, ruszyli do przodu, inni w dalszym ciągu skwapliwie pilnowali pochodu. Przy samochodzie pokazało się więcej ogrodników. Chwycili się za ręce tworząc łańcuch i czekali nachyleni z sekatorami na ramionach.

Marek zacisnął palce na drzewcu tablicy, aż mu zbieleły nadgarstki.

— Może byś teraz prysnął? — spytał brodacza.

— Co pan? Teraz dopiero jest tu po co być!

Na samochodzie chrypnęły oba megafony. Przez chwilę wyrzygiwały z siebie dzikie dźwięki, jakby ktoś je podziurawił i teraz wszystko wypadało z nich bez ładu i składu.

Część gapiów zwietrzyła koniec nieszkodliwej zabawy; wysliznęli się z piątek i szli za pochodem w bezpiecznej odległości, dobry szmat drogi za ogrodnikami. Tymczasem łańcuch przy samochodzie podwoił się i zjeżył sekatorami, zamykając chodniki i jezdnię. Oba megafony zapluwały ulicę mieszaniną zdezcelowanej muzyki i jakichś słów.

Teraz i czoło pochodu zwolniło, nie wiedząc, czy forsować łańcuch, czy się zatrzymać. Zwolniła tablica i transparenty. Brodacz patrząc ponad głowami na łańcuch ogrodników odebrał Markowi tablicę.

— Teraz ja poniosę.

Pochód zatrzymał się trzydzieści metrów od samochodu. Z megafonów dobywało się wycie i spękany jazgot. Nagle ten hałas opadł. Umilkł także stukot butów idących w bezpiecznej odległości za pochodem i przestało się odzywać człapanie konwojujących ogrodników. Megafony chrypnęły wyrzucając warkot czyjegoś głosu.

— W imieniu prawa! Wzywamy was: zatrzymajcie się! Nawołujemy was do posłuszeństwa! Brak dyscypliny będzie surowo karany! Stać, nie ruszać się!

Ludzie i tak już stali, jakby się zastanawiając, czy nie wziąć trzydziestometrowego rozbiegu i nie przerwać łańcucha ogrodników jednym mocnym uderzeniem. Brodacz podniósł tablicę, a Marek dał nura do przodu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Rozgarnawszy ostatnią piątkę dorosłych przedarł się na czoło pochodu i roześmiał się na głos. Na jezdni stał dziadek ściskając w dłoni wyrobiony kozik. Rozkraczony szeroko na przygiętych nogach przyglądał się bez najmniejszej sympatii ogrodnikom z łańcucha, którzy rechotali zza sekatorów. Dziadek zamrugnął powiekami nie wiedząc, czy może się przyłączyć do ich rechotu.

Megafony chrypnęły jeszcze raz.

— Uwaga, mieszkańcy! Zatrzymać się! Zarząd miejski postanowił w drodze wyjątku zignorować waszą oburzającą postawę! Nie będzie domagać się kar! Żąda tylko rozwiązania nielegalnego pochodu! Miastu potrzebny jest spokój i zarządowi miejskiemu też jest potrzebny spokój! Tylko w atmosferze spokoju zarząd miejski może spełniać ciężące na nim obowiązki. Rozejdźcie się do domów! Jeżeli macie jakieś życzenia, przedłóżcie je swoim przedstawicielom, a oni przekażą je nam! Rozejść się!

Dziadek na środku jezdni zaszurał butami.

— Co tam będziecie gadać! Ludzie, nie słuchajcie!

Osiłek wciągnął go na chodnik i przytrzymał z tyłu za kaptę. Dziadek szamotał się wymachując zbrojną ręką i próbował go dosięgnąć swoim kozikiem.

— Puść, zapowietrzona chorobo! Po dobremu mówię, puść! Megafony skrzeknęły.

— Macie pięć minut do namysłu! Za pięć minut ogrodnictwo zacznie robić porządek! Winni zakłócenia porządku publicznego zostaną doprowadzeni do aresztu i po śledztwie przykładowie ukarani! Dość zamieszek! Dość wydarzeń prowadzących do rozlewu krwi! Idźcie spokojnie do domów! Zarząd miejski w dalszym ciągu myśli o waszej przyszłości! Niech żyją kalalie!

— Niech żyją! — odkrzyknęli ogrodnicy z łańcucha.

W oknie samochodu widać było dwie głowy. Ogrrodnicy trzymali w pogotowiu sekatory i poprawiali kaski.

— Pięć minut do namysłu! — przypomniał głos w megafonach.

XIV

— Pięć minut upłynęło! — zaskrzeczały wkrótce megafony. — Wzywamy was po raz ostatni, rozejdźcie się do domów!

Tłum nie zareagował. Dyżurny zapasowego miejskiego rejonu ogrodnictwa spojrzął na stojącego przy nim naczelnika nawożenia szklanych kalalii, przypatrującego się nieruchomemu pochodowi.

— Lepiej będzie, jeżeli spróbujemy z nimi porozmawiać. Niech wybiorą spośród siebie człowieka, który będzie mówił w ich imieniu. Nie mamy żadnych dyrektyw, które by nas upoważniały do rozpędzenia tych ludzi. To nie zwyczajne zbiegowisko.

— I nie mamy dyrektyw, które by nas upoważniały do jakichkolwiek pertraktacji — odparł naczelnik nawożenia. — Nic nie mamy.

— Z miejskiego zarządu nikt się nie ruszy. Obrady trwają. Trzeba grać na zwłokę.

— Myśli pan?

— Pchniemy do miejskiego zarządu człowieka. Niech powiedzą, co robić.

Naczelnik nawożenia podniósł do oczu lornetkę i zlustrował tłum.

— W pierwszej piątce widzę syna prezesa — rzekł zaniepokojony. — Znam go z prywatnej wizyty. Doszło do tego, że go tam trzymają. Za to też oberwiemy solidnie. Nic panu na ten temat nie wiadomo?

— Trzymają go jako zakładnika.

— Dziecku nie może spaść włos z głowy. Wystarczyłoby tego jednego, żeby ich rozpędzić na cztery wiatry.

— Ludzi mamy mało — odparł dyżurny. — Wychylimy się, to rozniosą nas i to dziecko.

Naczelnik nawożenia wyjrzał przez okno i skinął na ogrodnika gapiącego się to na samochód, to na ludzi w pochodzie.

— Pójdziecie do miejskiego zarządu, odszukacie szefa ogrodnictwa i powiecie, że zatrzymaliśmy pochód. Powiecie, że nie mamy instrukcji, ale staramy się utrzymać porządek i unikać zadrażnień. Jest nas mało. Mamy stu trzydziestu ogrodników wliczając w to służbę pomocniczą, reszta pilnuje najważniejszych miejskich obiektów, składu sekatorów i nożyc, magazynów z kalaliami, opryskiwaczy, granic miasta i muzeum. Niech szef zdecyduje, co robić. Powiedźcie delikatnie, że odpowiedź potrzebna natychmiast, i wracajcie na jednej nodze.

Ogrodnik ruszył truchtem w stronę miejskiego zarządu. Naczelnik nawożenia własnoręcznie włączył mikrofon i patrzył na tłum. Podmuchał w mikrofon, z dachu odezwał się chrapliwy poszum megafonów.

— Co do nich mówić?

— Coś trzeba powiedzieć — odparł dyżurny.

Naczelnik przedmuchał mikrofon jeszcze raz, łańcuch ogrodników stał na ulicy pokazując mu plecy poprzecinane krzywo szelkami, obciążone opryskiwaczami i butlami z płynem owadobójczym.

— No tak — powiedział niezdecydowanie w mikrofon i zaraz go wyłączył.

Krótkie zdanie przybiło z hukiem do ścian pobliskich budynków i odskoczyło głośnym echem. Naczelnik nawożenia spojrział na dyżurnego i uzmysłowił sobie, że każde jego słowo rejestruje sprzężony z mikrofonem magnetofon; jeżeli się przejęczy, beknie. Słowa uwięzły mu w gardle jak ość.

— Może pan z nimi porozmawia?

— Nigdy nie przemawiałem do takiej bandy. Trzeba talentu. Co innego do ogrodników. Rozumie pan.

— No, ja też nigdy do ludzi nie mówiłem — zwierzył się bezradnie naczelnik nawożenia. — Co, do diabła, mówić?

— Nie wiem. Pana władza wyższa. Mnie nawet nie wypada co i rusz doradzać.

— Może ogrodnik zaraz wróci. Nie zaszkodziłoby poczekać. No, dobrze — powiedział. — Niech kogoś do nas wydelegują, tak pan radzi?

— Nie będziemy rozmawiać ze wszystkimi.

— Wolałbym, żeby pan z nimi rozmawiał. Wie pan, jeszcze się zdenerwuję, popsuję wszystko.

— To może obaj — ustąpił dyżurny. — Razem będzie różnie. Dwie głowy, to nie jedna.

Naczelnik nawożenia włączył mikrofon i dmuchnął; paru ogrodników z łańcucha zaczęło się gapić na samochód.

— Myśmy tak zdecydowali — powiedział w mikrofon, a megafony wyrzuciły słowa w zatłoczoną ulicę. — Teraz, kiedy miejski zarząd obraduje nad ważnymi sprawami, a wy wybraliście się na mały spacer, moglibyśmy porozmawiać spokojnie. Po przyjacielsku, w zaufaniu.

Tłum kiwnął się lekko.

— Wybierzcie kogoś i upoważnijcie do prowadzenia rozmów. Możecie wydelegować dwóch. Niech nam powiedzą, o co idzie. No co, zgoda?

— Panie naczelniku — zauważył dyżurny — oni stoją za daleko i nie mają żadnego urządzenia wzmacniającego głos. Nie usłyszymy, czy się zgadzają czy nie.

— Ma pan rację. Co pan proponuje?

— Może mamy jaką tubę.

— Mamy jaką tubę? — spytał naczelnik nawożenia radiooperatora siedzącego w kucki przy drzwiach.

— Powinna być.

Naczelnik nawożenia kalalii spojrzął na dyżurnego.

— Mam im powiedzieć, że dostaną tubę?

— Niech pan powie.

— Dostaniecie tubę — obiecał przez megafony. — Będziemy mogli się porozumieć.

— Jest tuba — mruknął radiooperator z głową w skrzyni na części zapasowe.

— Ktoś musi ją zanieść.

— Mogę skoczyć — zaofiarował się radiooperator.

— Jeszcze nam zwieje — szepnął naczelnik do dyżurnego. — Możemy go tak puścić?

— Może nie zwieje.

— Nie możemy rzucać im na zęrow naszego człowieka. Już mają syna prezesa. Będą mieli dwóch, zechcą dyktować warunki.

— I tak mają przewagę — przypomniał dyżurny. — Jest ich więcej. Jedyne naszemu sprytowi zawdzięczamy, że nas nie roznieśli.

— Niesłychane! — sarknął naczelnik. — Jak mogliśmy dopuścić, żeby ich było więcej? Tyle razy mówiłem szefowi, że ogrodników za mało. Gdyby tylko zechcieli, mogliby z nas zrobić przecier na zupe.

— No, tak źle nie jest — powiedział optymistycznie dyżurny. — Mamy zapasową służbę, z której sporo ludzi jest w pochodzie, ale nie wolno im się ujawnić, póki sytuacja się nie wyklaruje. Mamy ponad stu ogrodników.

— Może ich tu wezwać?

— Ja bym nie wzywał. Mamy w ten sposób opanowane tyły pochodu. Niech się tylko co zacznie, weźmiemy ich sekatorami we dwa ognie.

Naczelnik nawożenia rozejrzał się po samochodzie z ulgą.

— Czego się gapicie! — mruknął do radiooperatora. — Podrzućcie im, do cholery, tę tubę! Nie będziemy tu zimować!

Radiooperator wyskoczył z samochodu, minął biegiem łańcuch ogrodników, podbiegł do pochodu i wcisnął tubę pierwszemu z brzegu. Ten wsadził palec do środka i próbował się czegoś w niej domacać.

— Te, ogrodnik, jabłko chcesz?! — krzyknął Romek.

— No, jakby mnie tylko zobaczyli z jabłkiem, musiałbym im zaorać brzuchem cały park! Nie mogę!

— To włącz za nas, nie będą cię widzieć!

Radiooperator dał nura za pierwszą piątkę. Romek wcisnął mu w garść wielkie jabłko. Ogrodnik przykuł się i zaczął gryźć.

— Nie mówiłem? Radiooperatora też zatrzymali — powiedział w samochodzie naczelnik i opuścił lornetkę.

— Mają mu coś do przekazania i wzięli go między siebie. Wiedzą, że się nie zatrzymuje posłów. A nawet gdyby go zatrzymali, niewielka strata. Zwykły ogrodnik, tajemnic nie zna.

Naczelnik nawożenia podniósł lornetkę do oczu i obserwował pochód. Zobaczył zaskoczony, że Marek porusza się swobodnie od jednej piątki do drugiej; widocznie chłopak stracił nadzieję i zrezygnował z próby ucieczki, wywnioskował. Przypuszczenie okazało się niesłuszne. Zza pierwszej piątki wyszedł radiooperator, podszedł do Marka i obaj ruszyli w stronę samochodu, ale po dziesięciu krokach zatrzymali się. Marek podał rękę ogrodnikowi i wrócił do swojej piątki, a radiooperator skierował się bez przeszkód do samochodu.

— Dziwne — mruknął naczelnik do dyżurnego. — Wygląda na to, że syn prezesa jest tam z własnej woli! To przechodzi ludzkie pojęcie! Syn prezesa!

Dyżurny widział to samo, co naczelnik, ale wołał nie komentować.

— To co? Zaczynamy? — spytał wymijająco.

— Ten ogrodnik jeszcze nie wrócił z miejskiego zarządu?

— Jeszcze nie.

— Nie ma rady, trzeba zaczynać — westchnął naczelnik.

Ścisnął w dłoni mikrofon i podniósł go do ust. Radiooperator dotarł do samochodu, włączył do środka i kucnął przy drzwiach. Megafony na dachu znów zaczęły pracować.

— Uwaga! — powiedział naczelnik do mikrofonu. — Uwaga! Nawijamy łączność! Jeżeli już wybraliście przedstawiciela, niech wyjdzie z tubą i odpowiada na pytania!

Tłum stał spokojnie, oddzielony od samochodu i łańcucha ogrodników sporą przestrzenią, pustą jak zaminowane przedpole. Po słowach naczelnika przez pochód przeszedł lekki dreszcz podniecenia i wyrzucił przed pierwszą piątkę Marka, osiłka i brodacza z tubą w jednej ręce, z tablicą w drugiej. Po krótkiej naradzie Marek wziął tubę od brodacza i przytknął ją do ust. Po obu stronach było cicho, w głębi samochodu aromatycznie czknął radiooperator.

— Jesteśmy gotowi do rozmów, czekamy na pytania! — powiedział Marek głosem łamiącym się z emocji.

Naczelnik uderzył pięścią w ramę okna.

— Wybrali gówniarza na parlamentariusza! Obrażają nas!

Dyżurny zamyślił się i wzruszył obojętnie ramionami.

— Jaki mocodawca, taki pełnomocnik. W czym to przeszkadza? Panu zależy? I tak rozmawiamy, żeby zyskać na czasie.

Naczelnik zrobił się buraczkowy.

— To niepoważne! Wybrali smarkacza, żeby nas upokorzyć i ośmieszyć. Chce pan, niech pan bierze mikrofon i sam z nimi rozmawia! Ja nie mogę!

— Będzie pan wobec tego dyktował, co mówić.

Naczelnik zrezygnował po chwili wściekłego milczenia.

— Dobrze, ale nikt nie ma prawa żądać, żebym podawał smarkaczowi rękę dlatego, że go podbechtał nieobliczalny motłoch.

Dyżurny znów się zamyślił.

— Czekamy na pytania! — dobiegł dyszkant Marka. — Dlaczego zwlekacie?

Naczelnik przygryzł ryżawe wąsy wyhodowane na modłę szefa i spojrzał na dyżurnego.

— Nie, niech pan mówi. Niech pan spyta, dlaczego maszerują po mieście, choć wiedzą, że to niedozwolone. Niech powiedzą, dokąd idą i czego chcą.

Dyżurny włączył mikrofon.

— Tłumne przemarsze są niedozwolone — powiedziały me-

gafony. — Wykraczacie w ten sposób! Dokąd idziecie i czego chcecie?

Ujrzeli, jak Marek w trakcie konsultacji podnosi tubę.

— Wasze pretensje wydają się nam nieuzasadnione. Nie ma zarządzeń, które by nie uzbrojonym grupom zabraniały swobodnie poruszać się po mieście! To wasze postępowanie, a nie nasze, jest sprzeczne z przepisami. Zagroździście drogę i pytacie, czego chcemy. To my pytamy, czego sobie życzycie?

Naczelnik nawożenia znów zsiniał.

— Powiedz pan gówniarzowi, że ma do czynienia z miejskim ogrodnictwem! A oni niech się nie wygłupiają! Jeżeli będą tak z nami rozmawiać, zerwiemy pertraktację!

— Mam im to powtórzyć, panie naczelniku?

— Ma pan powtórzyć to, co mówię! Niech tubę weźmie, do cholery, ktoś starszy! To skandal, żeby nas traktowali w ten sposób!

Dyżurny niezdecydowanie wcisnął włącznik mikrofonu i po chwili go zwolnił.

— To ich parlamentariusz, panie naczelniku!

— Niech pan im powtórzy, co powiedziałem! Rozkaz, rozumiano?

Dyżurny zerknął przez małe okno na tłum.

— Rozmawiasz, chłopcze, z miejskim ogrodnictwem, które ma prawo pytać o wszystko — powiedział łagodnie. — Powiedz swoim, że chcemy rozmawiać z dorosłym.

Marek wzruszył ramionami i wyciągnął tubę do brodacza, ale ten jej nie przyjął. Przez chwilę naradzali się w trójkę, po czym Marek obrócił się w stronę samochodu.

— Do prowadzenia tych rozmów zostałem upoważniony zgodnie ze zwyczajami. Jeżeli wybór nasz wam się nie podoba, to my się przy pertraktacjach nie upieramy. Propozycja była wasza.

— Chryste — mruknął naczelnik. — Niesłychana bezczelność, ale nie mamy wyboru. Daj pan ten mikrofon!

Wcisnął przycisk.

— Dobrze — powiedział. — Odpowiadaj! Dokąd idziecie, czego chcecie i co zamierzacie osiągnąć waszym marszem? Przypominam, że pochód jest wykroczeniem przeciw porządkowi. Od chwili, w której dowiedzieliście się o jego bezprawnym charakterze, winni jesteście przestępstwa! Jeżeli macie zamiar kontynuować marsz, przekształćcie go we wrogą miejskiemu zarządowi manifestację! Dajemy wam szansę rehabilitacji! Rozmawiamy z wami, żeby wam przemówić do rozsądku. Jeżeli macie jakieś postulaty pod adresem miejskiego zarządu, wysłuchamy ich.

Między parlamentariuszami znów doszło do krótkiej narady, po której Marek podniósł tubę.

— Zostałem upoważniony do wyrażenia nadziei, że rozmowy będą owocne i przebiegną w duchu przyjaźni i wzajemnego zrozumienia. Obecną wymianę zdań traktujemy jako wstępną. Odpowiedzcie, czy zostaliście przez miejski zarząd upoważnieni do prowadzenia rozmów i czy możecie w jego imieniu podejmować wiążące decyzje?

Zapadła cisza. Ogrodnicy gapili się przed siebie, tłum i cały pochód patrzył na nich wyczekująco, w samochodzie dobijały się muchy do okien.

— Teraz pan widzisz, czego chcą? — odezwał się zdruzgotany naczelnik nawożenia. — Rozmowy wstępne, upoważnienia z miejskiego zarządu, podejmowanie wiążących decyzji! Panie dyżurny, wpakowaliśmy się w gówno po same osłe uszy! Trzeba było przejechać się po nich sekatorami, nie mielibyśmy kłopotów! No i co? — prychnął. — Zwrócimy się do zarządu miejskiego o pełnomocnictwa, powiedzą, że nikt nas nie upoważnił do rozmów, i będą mieli cholerną rację! Rozpedzimy tę zbieralinę, to podniosą wrzask, że nie traktujemy ich uczciwie, i też będą mieli rację. Tak gnój i tak gnój!

— Jeżeli nie wystąpimy o pełnomocnictwa, nie zechcą z nami rozmawiać. Mamy stać do wieczora jak kot srający na puszczy?

— Powiemy, że zerwali pertraktacje — podsunął naczelnik.

— Komu? Przecież nam udowodnią, że było inaczej! Nie idzie o brak pełnomocnictw. Zależy nam na prowadzeniu rozmów, bo to jedyna szansa zyskania na czasie. A tak, to zdmuchną nas z ulicy i pójdą, dokąd zechcą.

— Człowieku — sapnął naczelnik — to pachnie zdradą stanu! Zwrócimy się do miejskiego zarządu o pełnomocnictwa, to odpowiedzą, że nikt nas o pertraktacje nie prosił. Ogrodnictwo jest od porządku w mieście. Jeżeli ktoś porządek zakłóca, ogrodnictwo ma postępować zgodnie z instrukcjami. Do zakłócenia doszło, powiedzą, a wy zamiast przywrócić porządek, nawiązaliście rozmowy! Kto was upoważnił?

— To nie jest banda chuliganów demolujących sklepy albo tłukących w parku kalalie! Niech pan popatrzy, jacy zdyscyplinowani! Sytuacja jest poważna. Jeżeli miejski zarząd tego nie rozumie, niech sam sobie radzi!

Naczelnik ssał wiecheć wąsów.

— W cholerny gnój wleźliśmy! To mi śmierdzi kryminałem! Za oknem odezwała się tuba.

— Czekamy na odpowiedź! Mówcie, czego chcecie! Dlaczego nie pozwalacie przejść spokojnie obroną trasą?

— Sukinsyn! — warknął naczelnik siniejąc. — Syn prezesa! Nie pozwalamy przejść obroną trasą! Kurwysyn jeden!

— Nie ma co zwlekać — rzekł dyżurny. — Musimy kogoś pchnąć do miejskiego zarządu. Przedstawi sytuację, poprosi o instrukcje. Jakies wyjście trzeba znaleźć! Jak pan myśli, kogo by tam posłać?

Naczelnik wypluł na brodę mokre wąsy.

— To nasz ostatni dzień przyzwoitej roboty! Wykopią nas z ogrodnictwa na mordę. Już widzę nas przy malowaniu kalalii. Co robić? — sapnął i chwycił dolną wargą mokry wiecheć. — Co robić?

Naczelnik z pasją chwycił mikrofon.

— Wiecie, do cholery, że nie mamy pełnomocnictw i musimy wysłać kuriera do zarządu! Co mamy przekazać w waszym imieniu? Że się wam spieszy na spacer?

— Po pierwsze — powiedział Marek pod dyktando brodacza — domagamy się szacunku dla prawa swobodnego poruszania się po mieście. Miejski zarząd niech zagwarantuje, że każdy po rozwiązaniu pochodu będzie mógł pójść do domu przez nikogo nie kontrolowany, nie legitymowany, nie rejestrowany i nie naga-bywany. Żądamy, aby delegację uczestników pochodu przyjął prezes. Dajemy wam pół godziny. A teraz niech ogrodnicy i wszyscy przebieirańcy przejdą na waszą stronę. Eskorty nie potrzebujemy. Nikt na nas nie napadnie, jeżeli wy tego nie zrobicie!

— Kurwysyn! — mruknął nienawistnie naczelnik. — Wygląda tak: jeżeli wyślemy kogoś po pełnomocnictwa, powiedzą, że to my stawiamy ultimatum miejskiemu zarządowi. To samo z żądaniem, żeby delegację przyjął prezes.

— Rzeczywiście, tak to może wyglądać — przyznał smętnie dyżurny. — Mamy jakie wyjście? Nie mamy!

— Tak gnój i tak gnój! Niech to krew najjaśniejsza zaleje! Kogo wyślemy?

— Radiooperatora.

— Niech będzie. Obaj będziemy śledzić rozwój sytuacji. Mogą być rozruchy. No, już! — rzucił radiooperatorowi. — Na jednej nodze! Słyszeliście, o co idzie?

Radiooperator zerknął na niego.

— Lepiej, żeby mi to wszystko napisać na kartce. Na kartce i z podpisem. Nikt nie powie, że coś pokiełbasiłem.

— Dostaniecie na kartce. Macie być z powrotem najdalej za pół godziny. Powiedźcie delikatnie prezesowi i szefowi naszemu, że nie ma czasu na medytowanie. Odpowiedź musi być zaraz, chyba że będą chcieli ich rozpędzić. Ale niech wtedy pomyślą, kto to zrobi, nas mało.

Napisał kilka zdań, podpisał się i złożył świstek w czworo. Spocił się. Radiooperator odebrał kartkę, przełamał ją jeszcze raz i wsunął w kangurzą kieszonkę. Poprawił szelki i wybiegł z radiostacji trzasnąwszy drzwiami tak mocno, że obaj zwierzchnicy skoczyli, jakby granat pękł.

— Prosimy, żebyście zabrali ogrodników — przypomniał Marek. — Nam nie trzeba żadnej obstawy.

— Zabrać? — spytał naczelnik dyżurnego. — Zapasową służbę też?

— Nie ma rady — posmutniał tamten. — Znają wszystkich. Nie zabierzemy, stracą do nas zaufanie, a wtedy koniec. Musimy.

— Musimy — powtórzył bez ikry naczelnik. — To źle, że musimy.

Obaj potem milczeli. Żaden nie kwapił się do mikrofonu. Naczelnik bębnił palcami po pulpicie rozdzielczym.

— Wie pan, jak pomyśle, że ni z tego, ni z owego straciliśmy kontrolę nad miastem, wierzyć mi się nie chce. Do tego — syn prezesa. Prędzej bym się śmierci spodziewał!

— Mówili mi ogrodnicy, że w pochodzie są dzieci najwyższych urzędników z ogrodnictwa i z zarządu. Pan ma dzieci, panie naczelniku?

— Panie, to by była historia!

— Byłaby — przyznał dyżurny. — Zabieramy ich, co?

Naczelnik podniósł mikrofon do mokrych wąsów.

— Uwaga, wszyscy ogrodnicy! Uwaga, wszyscy ogrodnicy i służba zapasowa! Zgodnie z osiągniętym porozumieniem wydajemy wam rozkaz przejścia na naszą stronę!

Ludzie z pochodu obrócili się i patrzyli na ogrodników, którzy wężąc we wszystkim podstęp, dopiero po minucie pomaszzerowali do samochodu.

Przebierańców towarzyszących pochodowi było dwa razy więcej niż ogrodników. Powyłazili zza drzew, wyroili się z bram, przestali udawać gapiów podpierających domy i ruszyli za kolegami w kombinezonach, ale dopiero kiedy naczelnik ponowił rozkaz, przez tłum przeszło mrowie. Kilkudziesięciu luzaków w czarnych płaszczach i w ciemnych kapeluszach z obwisłymi rondami wylazło z trzewi pochodu chowając twarze w podniesionych kołnierzach. Kolumna pochodu zeszczupłała, uciszyła się i zwarła. Potem zza ostatnich piątek wyszło kilkunastu ogrodników. Spojrzeli po sobie, poopierali sekatory przy wystawie sklepu jubilerskiego i zaczęli powoli odpinać nożyce i opryskiwacze, zdejmować butle z płynem owadobójczym i czapki z miejskimi insygniami. Z małego okna samochodu raz wyglądał dyżurny, to

znów pokazywała się czerwona twarz naczelnika. Ogrodnicy bez czapek, sekatorów, opryskiwaczy i butli weszli w kolumnę pochodu, która rozstała się i wchłonęła ich zamknąwszy się szczelnie.

Naczelnik nawożenia schwycił wargami wiechcie ryżawych wąsów i zakrzutusił się nimi.

— Zdrada! — ryknął w mikrofon. — Ogrodnicy, którzy bezprawnie złożyli oporządzenie i przyłączyli się do pochodu, natychmiast zameldować się przy radiowozie! Za wykonanie rozkazu odpowiedzialnymi czynią uczestników pochodu!

Marek podniósł tubę.

— Kto chce, może się do nas przyłączyć, kto chce, może odejść. Nikogo nie trzymamy!

— Albo wydacie nam natychmiast naszych ludzi, albo zrywamy pertraktację! Kategorycznie żądam zwrotu naszych ludzi!

Marek odpowiedział sciszonym głosem, jakby go dusił chichot.

— Kto was prosił o konwój? Robicie wszystko na swoje ryzyko! Nie namawialiśmy nikogo, żeby nam towarzyszył. Nikogo nie ciągniemy i nikogo nie mamy zamiaru odpędzać! Jeżeli chcą, mogą przejść na waszą stronę. Tu wszyscy są dobrowolnie!

— Żądamy zwrotu naszych ludzi!

— Jeżeli chcą do was wrócić, nie napotkają z naszej strony żadnych przeszkód, ale wszystkim, którzy do nas przechodzą, gwarantujemy prawo decydowania o swoim losie. Pan może liczyć na to samo!

Naczelnik rąbnął mikrofonem w pulpit, chwycił wargami wąsy, utyłał je w ślinie, dwa razy obróciwszy w ustach, i wypłuł na brodę.

— Panie! — wrzasnął do dyżurnego. — Nie mam nerwów do tej bandy! Resztę zdrowia tracę! — Uspokoił się z trudem. — Bezcelny gówniarz! Patrz pan, co za poczucie bezkarności! Coś mi się wydaje, że pozycja naszego prezesa jest mocno zachwiana. Jeżeli poprosi o dymisję ze względu na stan zdrowia, nikt go nie będzie zatrzymywał!

Przyjrzał się zegarkowi czerwonymi oczami.

— Ile minęło czasu, jak tamten poszedł? Dziesięć minut?

— Siedem.

— Co siedem? Aha! Żeby się tylko w zarządzie długo nie zastanawiali. Nie poradzimy, jak się tym ludziom znudzi czekać. Zgarną nas z drogi i pójda. A nas mało! I nie mamy instrukcji! Kurewski czas na nas przyszedł!

Zółtowołosy gorliwiec nie wracał. Pięć minut temu zaczęła się druga przerwa, obrady miały jeszcze trwać, ale brak było wiadomości z miasta i prezes zastanawiał się, czy wydać zarządzenia i jakiej natury. Stał na korytarzu z zastępcą szefa, który niedawno przyszedłszy z miasta zachowywał się, jakby nic się w ogóle nie zdarzyło. Sprawozdanie złożył szefowi; prezesowi nie udało się wycisnąć z niego ani jednego słowa.

Uczestnicy obrad tłoczyli się w korytarzu na pozór bez porządku, ale w istocie podzieleni byli na grupy i tu dopiero odbywali prawdziwe obrady, żywsze od oficjalnych, choć w gruncie rzeczy i te ich rozmowy zaczadzone były atmosferą ospałości, gęstą i tak hermetyczną, że nie mogło jej przebić żadne wydarzenie.

W drugim rogu korytarza szef pertraktował z zastępcą i tylko ci dwaj mieli sobie coś do powiedzenia. Odcedzali słowa, niczym ludzie, którzy się już dawno dogadali w sprawie wspólnego działania i wierzą, że nic nie jest w stanie pokrzyżować im planów.

— Jest pan pewny, że nie będziemy mieć wielkich kłopotów? — spytał zastępca. — Ma jeszcze wielu zwolenników — dodał patrząc na prezesa przekątną korytarza.

Szef kciukiem przygładził wąsy.

— Kłopotów nie będzie. Chce wiecu, będzie miał wiec. My mu go urządzimy. Napisze sobie mowę, pozwolimy najpierw, żeby on pana publicznie zaczepił, a potem tak to się przekreśli, że sam się swoją mową wykończy.

— Prezes ma przemawiać pierwszy?

— Ten górą, kogo ostatnie słowo. Pan to ostatnie słowo dostaniesz.

— A jeżeli ludziom wystarczy pierwsze słowo? Przemawiać to on potrafi! Ludzie słuchali go parę lat!

— Nie musisz się pan go bać. Dostaniesz pan tyle czasu, żebyś zdążył pan coś mądrego ludziom powiedzieć. Wykończysz go pan. Ale nikt za nikogo przemawiać nie będzie. Sam pan musisz do ludzi mówić.

Zastępca polizał wyschłe wargi. Bluza na piersi szefa oblepiała płasko miejsce, gdzie spoczywał rejestr przewinień ludzi, którzy w tym mieście coś znaczyli; zdał sobie sprawę, że nigdy tego notesu nie dostanie. Z trudem oderwał wzrok od drogocennej kieszeni. Dwadzieścia kroków od niego stał prezes, który trzymał tam kogoś za guzik marynarki i raz po raz, jakby go sama sytuacja wykończyła, słał się po korytarzu spojrzeniem, zaczę-

piając o niego i o szefa. Z sali wyrzwał spocony ogrodnik z twarzą błyszczącą pod daszkiem czapki.

— Koniec przerwy! — krzyknął pochwycawszy znak szefa.

Prezes wszedł na salę i od razu poczuł, że coś nie jest w porządku. Pozostawiony przez Agnieszkę worek z jabłkami schudł niemożliwie i leżał w przejściu sflaczały jak przekłuty pęcherz. W środku na pewno nie było ani jednego jabłka. Nie miał wątpliwości: jabłka w czasie przerwy zjedli uczestnicy obrad. Na podłodze, między krzesłami, smętnie, niczym wysrane skrzętnie rybie głowy, poniewierały się ogryzki; kilka wyglądało zza nóg krzesel albo ze szpar w podłodze. Powietrze wilgotne jak przed burzą nasiąkło smrodem rozkładających się prędko resztek. Wzdłuż i wszerz sali cuchnęło jabłkami, a muchy bzycały w niej jak w śmietniku.

Zastępca wszedł na salę niemal wsparty o ramię szefa i obaj jednym spojrzeniem ogarnęli sytuację. Szef siadł prędko za prezydyjalnym stołem fukając w wąsy; zadowolona mina ściekła mu z twarzy jak rteć. Wyciągnął notes i przyglądał się podejrziwie wracającym na salę. Prychał owąsionymi wargami i czytał stronę za stroną, robiąc w notesie jakieś znaki. Doradcy, urzędnicy i zaproszeni goście powsuwali się prędko w krzesła, założyli ręce na brzuchy i kręcili kciukami młynka omijając wzrokiem stół prezydyjalny. Tu i ówdzie odezwały się czknięcia markowane kaszlem albo chrząkaniem. Worek Agnieszki leżał na środku jak dowód zbrodni i wyrzut wrażliwego miejskiego sumienia.

Prezes patrzył na ten pusty worek i obmyślał sposoby na wiarołomnego zastępcę. Choć posiedzenia miejskiego zarządu przeciągały się często do późnych nocnych godzin, dziś głód skręcał mu kiszki. Zgniębiony uświadomił sobie, że te posiedzenia z dawien dawna nie wydają owoców, i dziś było tak samo, nie licząc awantur z zastępcą i karygodnego faktu pożarcia worka jabłek skonfiskowanych Agnieszce.

Ogrodnik odpiął wypchany futerał na nożyce i zerknął do środka z wyraźnym zadowoleniem. Szef z wielką regularnością budził się i sprawdzał obecność czarnego notesu. Na sali było cicho. Ulice za oknami wymarły i skamieniałe miasto zamieniło się w rozpalone cmentarzysko bezludnych domów.

Otworzyły się drzwi, ogrodnik usunął się w bok i wpuścił radiooperatora. Ten zatrzymał się, złapał powietrza i przerzucił obecnych spojrzeniem. W krzesłach zrobił się lekki ruch; ludzie pobudzili się, poprawili i nastawili uszu, żeby nic nie stracić z tego, co jeszcze może się zdarzyć. Smród ogryzków szedł podłogą jak wąż.

Ogrodnikowi odbiło się.

- Czego? — rzucił leniwie radiooperatorowi.
- Ja do prezesa i szefa. Z kartką. Który to prezes?
- Ten tam, za stołem — skierował go niechętnie ogrodnik.
- Prezes wyciągnął rękę.
- Pokażcie kartkę.
- Radiooperator ujrzał nagle szefa i wyprężył się; zwierzchnik patrzył na niego wzrokiem, od którego wysłańcowi poszły ciarki po plecach.
- Nie wiedziałem — bąknął zbliżając się do stołu.
- Szef przysłonił oczy powiekami.
- Dać kartkę? — radiooperator wskazał prezesa.
- Szef otworzył oczy.
- Dajcie.
- Prezes zabrał się do czytania zerkając na zastępcę.
- Co stoi na kartce? — spytał od niechcenia szef.
- Pochód dotarł do ulicy Dnia Obalenia Starego Miejskiego Porządku. Oddział ogrodników z radiostacją wspierany służbą zapasową zagroził mu drogę i podjął pertraktacje. Nie mając instrukcji od miejskiego zarządu naczelnik nawożenia zwraca się do mnie — zaakcentował ostatnie słowa. — Z pochodu powiedzieli, że nie będą rozmawiać, póki nie damy ogrodnictwu pełnomocnictw.
- Tyle? — warknął szef.
- Prośba o pośpiech.
- Szef wstał i przez bluzę zmacał nerwowo notes.
- Kto ich, do cholery, prosił, żeby rozpoczynali z buntownikami jakieś pertraktacje? Kto kogo pytał?! — huknął na radiooperatora, który przysiadł na piętach i z trudem złapał równowagę.
- Ja wiem? Tamci byli za blisko i chodziło o to, żeby ich tylko wstrzymać. Może do czasu zgromadzenia sił albo co? Czego pan szef do mnie? Ja z nimi te rozmowy prowadzę?
- W takich sprawach tylko ja decyduję! — ostrzegł szef salę.
- Zastępca przytaknął wspierając szefa i z niesmakiem przyjrzał się prezesowi, ściskającemu w ręce kartkę i patrzącemu na radiooperatora.
- Złamas kutany! — orzekł świszcząco.
- Kto ośmiela się decydować za moimi plecami, podpada pod przepis o zdradzie stanu! — zagrzmiał szef.
- Prezes wyprostował się i uderzył pięścią w stół.
- Dość! — powiedział.
- Ludzie z pierwszych rzędów zerknęli na niego z uwagą.
- Dość! — powtórzył prezes tym samym tonem.

Zastępca i szef wyglądali na zaskoczonych.

— Co dość? — spytał szef.

— No właśnie — poparł go sucho zastępca. — Może pan zechce bliżej sprecyzować swoje myśli?

— Powiadam: dość! — rzekł prezes, nie zwracając się ani do jednego, ani do drugiego, co zaintrygowało obecnych; ogrodnik zapiął futerał i podparł z nabożeństwem futrynę.

— Dość tego, mówię! — oznajmił prezes. — Nadeszła stosowna chwila! Musimy działać! Zebrane na ulicy tłumy czekają, żeby ktoś z nimi porozmawiał!

Spojrzał na przebudzoną salę.

— Ja będę z nimi rozmawiał! Ja im dam odpowiedź na wszystkie pytania! Rozwieję wątpliwości. Moi ukochani mieszkańcy chcą widzieć swojego prezesa! Stęsknili się! — powiedział wzruszony.

— Oni tego żądają! — sprostował zastępca nagrodzony przychylnym spojrzeniem szefa, po czym zachichotał, oplótł jedną nogę drugą i bawił się doskonale.

Prezes nie dał się zbić z tropu.

— Żądają i mają rację! Ci ludzie zaczynają mi się podobać! Wiedzą, czego chcą! Bardzo mi imponują!

— Mnie nie — mruknął szef i zwrócił na prezesa żółtawe tęczówki. — To, co w mieście się dzieje, jest serią chuligańskich wyczynów. Ktoś podbechtął pół miasta i teraz, mając te pół miasta za sobą, stawia żądania. Sympatia prezesa jest niebezpieczeństwem numer jeden i nieporozumieniem bez precedensu.

— Niebezpieczeństwem? — podjął prezes. — Dlatego że raz na dziesięć lat ktoś tych ludzi wysłucha? Pana opinia bierze się z przeświadczenia, że rozmowa z nimi może przybrać niekorzystny obrót dla pewnych wysoko postawionych osób. Niektórzy powiadają, że i pan ma swoje powody, żeby do takiej rozmowy nie dopuścić!

Zastępca wstał, zerknął na szefa i ruszył do mównicy.

— Chcę powiedzieć parę słów — rzekł z podwyższenia.

— Nie upoważniłem nikogo do mówienia paru słów. To nie dyskusja — powiedział prezes. — Złaź pan stamtąd!

— Mam do powiedzenia parę słów i te parę słów powiem. Nie masz mi pan prawa zabraniać. To są obrady miejskiego zarządu, nie wiec. Nie rób pan uciążliwej atmosfery!

— Złaź pan stamtąd!

— Nie bądź pan taki cwany! — warknął zastępca. — Ja tu coś znaczę!

— Postaram się, żebyś pan został pozbawiony uciążliwych obowiązków. Możesz pan sobie oszczędzić przemawiania i nie za-

bierać czasu. Mamy do załatwienia sprawy ważniejsze. Na ulicy stoi kilka tysięcy ludzi i czeka, żeby ktoś wreszcie się zjawił, a pan się tu bawisz w śpiewaka z opery! Złóż pan stamtąd!

— Wysoki miejski zarządzie! — zastępca zwrócił się do sali wywołując błysk zainteresowania. — To, co powiedział prezes, uważam za niedopuszczalny objaw słabości i dowód kokietowania szumowin w obawie przed utratą lukratywnego stanowiska. Wzywam wszystkich obecnych, aby poparli moje jedynie słuszne stanowisko! Wzywam szefa i całe ogrodnictwo, aby w krytycznym dla miasta momencie udzielili mi zdecydowanego poparcia!

— Złóż pan stamtąd! — przerwał prezes. — Wszyscy wiedzą, że jesteś pan wyhodowanym na piersi miasta przemytnikiem i łapownikiem. Boisz się pan pertraktacji z mieszkańcami, bo oni wiedzą o wszystkich szwindlach. Ja nie mam powodu się bać i dlatego do nich wyjdę i będę z nimi rozmawiał. Mówiąc, że to jest motłoch, nie powinniśmy zapominać, że tam są ludzie, z którymi stykamy się na ulicy, nasi znajomi, krewni, może synowie, córki i rodzice!

— Syn prezesa jest na czele pochodu — powiedział szef. — Odszczekuje się ogrodnikom.

Prezesa lekko zatkało.

— Z wszystkimi trzeba rozmawiać. Od tego się nie ucieknie — bąknął. — Syn nie syn, córka nie córka!

— Bekniesz pan za syna! — ucieszył się zastępca.

— Pan bekniesz za kontrabandę i udawanie człowieka o czystych rękach!

Zastępca spojrzął spod podpuchniętych powiek.

— Proponuję zastanowić się, czy prezes może nadal spełniać swoje funkcje.

— Zastępcę trzeba zmienić! — zrewanżował się prezes.

Radiooperator dreptał niecierpliwie przy stole.

— Tam czekają, nie wiedzą, co robić — przypomniał. — Może jaką odpowiedź zanieść?

— Właśnie nad tym radzimy — odpowiedział prezes z wyrzutem. — Złóż pan stamtąd! — warknął na zastępcę. — Wywlekasz pan prywatne duperele, kiedy miasto czeka na decyzje! Pieprzymy się z głupotami! Powiadasz, człowieku — zwrócił się do radiooperatora — że ludzie czekają i nie wiedzą, co robić?

— Ludzie wiedzą, tylko naczelnik i dyżurny nie wiedzą. Upoważnień nie mają, ludzie chcą gadać z kimś kompetentnym.

— Przepowiadałem! — odezwał się nadzwyczajny doradca. — Nie chcieliście mnie słuchać i wynikła niepotrzebna zwłoka! Z wami tak zawsze!

— Skoro mianowaliśmy was nadzwyczajnym doradcą, to

siedź pan cicho! Czego się pan wtrącasz? — powiedział ostro prezes. — Sami mamy rozeznanie, co trzeba zrobić! Nie bądź pan nachalny!

— Trzeba porozmawiać z ludźmi, rozładować burzę.

Prezes sarknął niecierpliwie.

— Panie, jeszcze raz, a każe pana zamknąć! Z niczym nie należy przesadzać! Nie możemy się cackać ze wszystkimi! W końcu zapominamy, że najważniejszą sprawą są kalalie. Już ze dwie godziny nikt o nich słowa nie powiedział.

Spojrzał na salę.

— Niech żyją kalalie! — krzyknął.

Szef sapnął w wąsy, spojrzał na zastępcę, sala milczała. Prezes zlekceważywszy brak reakcji obrócił się znów do radiooperatora.

— Może powiecie nam w końcu, czego ci ludzie chcą? Jesteście zorientowani?

— Chcą zmian — przypomniał nadzwyczajny doradca.

— Stul pan pysk! — warknął zastępca.

— No! — nastawał prezes. — Czego chcą?

— Nie wiem — odparł radiooperator. — Ja jestem od radiostacji. Naczelnik i dyżurny wiedzą lepiej, przystali kartkę. Może tam co pisze?

Prezes poskrobał się po brzuchu.

— Ja bym im, kurwa, dał instrukcje — powiedział szef. — Kto ich upoważnił do pertraktacji? Nikt! Zaszły sukinsyny za daleko i teraz nie wiedzą, jak wyleźć z gówna! Prezesie! Apeluję: rozpedzić tłum! Aresztować prowodyrów!

— Od razu tak radziłem. To mój pomysł — przypomniał zastępca. — Zawsze wyjdzie na moje, jak dobrze pomyśleć.

Prezes skrzywił się i spojrzał na salę szukając natchnienia i pomocy.

— Jesteście — przypomniał z niesmakiem — żeby radzić zarządowi, nie spać! Historyczny dzień! Radźcie!

Sala pogrążyła się w ciszy jeszcze dokładniejszej. Ktoś wydał brzydkie dźwięk, który się zamazał w pracowitym ogólnym sapaniu.

Szef przyglądał się wszystkiemu ze zmarszczonymi brwiami. Z czwartego rzędu krzesel podniósł się mężczyzna z wielką grdyką zjezoną siwą szczecina jak oset i mrugnął obwisłymi powiekami.

— Tak nas za waszego zarządu, najlepszego w historii miasta odzwyczajiliście od radzenia, że już lepiej sami decydujcie, żeby co złego dla nas i dla miasta z tego naszego radzenia nie wyszło. Myśmy już dawno przycichli, żebyście mogli prędzej wprowadzić w życie niby nasze zamiary. My już nie potrafimy nic. Niech żyją kalalie! — krzyknął smutno.

— Niech żyją — odpowiedział prezes. — Jakże to tak? — spytał po chwili. — Wychodzić na ulicę potrafiacie, jabłka jeść umiecie, ale jak zarząd przeżywa trudne momenty, nie ma was?

Radiooperator znów mu wlaź przed oczy.

— To ja chyba już pójdę. Oni się tam do wieczora nie oczekają odpowiedzi.

Odwrócił się i ruszył do drzwi.

— Czekaście — powiedział prezes. — Dostaniecie odpowiedź.

— Będzie odpowiedź?

— Człowieku! Widzicie, że się zastanawiamy!

— Tamtym bardzo pilno, mówili, żeby na jednej nodze.

Prezes zamyślił się.

— Więc tak — rzekł. — Odpowiedzi na piśmie nie będzie. Powiedzcie, że miejski zarząd nie daje żadnych upoważnień. Za dwie godziny na placu przy muzeum kalalii będzie ważny wiec. Ja sam przemówię i wysłucham skarg. Niech naczelnik ogłosi to ludziom.

— Tak powiedzieć? — poradził się radiooperator szefa.

— Powiedzcie im — dodał prezes — że zarząd miejski debatuje nad bólączkami trapiącymi ludność. Niech wszyscy przyjdą na wiec. Ogłosimy historyczne decyzje, które dostarczą mieszkańcom pełnej satysfakcji. Ludność będzie zadowolona, a my korzystając z jej poparcia przystąpimy ze zdwojoną energią do realizowania programu kalalii i rozwiązywania dalszych problemów. Która godzina?

— W pół do trzeciej — mruknął szef ogrodnictwa nie patrząc na zegarek.

— Niech się zbiorą o piątej.

Radiooperator wyprężył się.

— Tak jest! A jak do tego czasu będą zamieszki?

— Zarząd miejski nie przewiduje zamieszek. Zarząd miejski liczy, że cała ludność poprze nasz program, do którego na wiecu przekonamy wszystkich. Ci, którzy się wahają, pozbędą się wątpliwości. A przeciwników pokonamy w bezpośredniej walce argumentów albo w jaki inny sposób zapędzimy ich w kozły róg! Możecie odejść!

Radiooperator ruszył do wyjścia. Prezes spojrział triumfalnie na salę. Zebrani pochrząkiwaniem maskowali niepewność. Ktoś chrząścił głośno zębami. Zastępca spoglądał na szefa ogrodnictwa, a szef na niego i przyglądali się sobie dłuższy czas. Oknem otwartym swego czasu przez siedzącego w zamyśleniu nadzwyczajnego doradcę nic nie dobiegało. Na sali brzęczały muchy, które prze-

latywały sałę na krzyż i siadały na ogryzkach. Ludzie znów zapadali w senność. Prezes wstał.

— Zamykam obrady! Wszyscy urzędnicy miejskiego zarządu i wszyscy doradcy obowiązani są stawić się o piątej na wiec i popierać nas czynnie. Inni mają zrobić to samo. Spotykamy się o piątej na wiecu przy muzeum.

Nie zaczepiony więcej przez zastępcę opuścił miejsce za stołem i ruszył do drzwi. Z korytarza powędrował schodami na drugie piętro do gabinetu.

A na korytarzu spotkali się zastępca i szef ogrodnictwa.

XVI

Ludzie ciągnęli na plac przed muzeum, gdzie robotnicy ustawiali już rusztowanie i podłogę trybuny, z której miał przemawiać prezes. Brodacz i Marek szli w tłumie; nie spieszyli się, bo wiec miał być dopiero za godzinę. Brodacz niósł na ramieniu tablicę i mrużył przekrwione oczy. Tuż za nimi, nieco z boku, niby zajęci rozmową, ale zerkając na nich, szli dwaj mężczyźni w czarnych płaszczach z postawionymi mimo upału kołnierzeniami i w kapeluszach o wielkich rondach, które opadając ku czołom rzucały na twarze głęboki cień Marek obejrzał się.

— Widzi pan — powiedział do brodacza, ukrywając niepokój — tatuś, niezły chłop, zgodził się. Swoją drogą, musiał mieć wielkiego pietra.

Dwaj mężczyźni szli za nimi krok w krok, słyhać było buty uderzające ciężko o płyty chodnika. Brodacz dotknął ramienia Marka jakby pożegnającym gestem.

— Jeszcze mogą się zdarzyć ciekawe rzeczy. Twoja rola w każdym razie się skończyła. Możesz być dumny. Bez ciebie i bez twoich kolegów mógłbym tak cały rok stać z tablicą na skwerze. Bardzo mi się to przydało. A teraz musimy się pożegnać, żeby nikt nas już razem nie widział.

— Przyjdzie pan na wiec?

— Będę się starał, ale nie wiem, czy mi się uda.

Mężczyźni trzymali się tej samej odległości, pięć kroków z tyłu, trochę na ukos w lewo. Szli zerkając spod obwisłych rond ciemnych kapeluszy, a Marek i brodacz kroczyli przed nimi bez pośpiechu, jakby dokonując przeglądu ludzi, którzy zapełniali

u wylotu ulicy wielki plac. Mężczyźni wiedli natarczywy spór, nic nie mający wspólnego z przyjacielską rozmową zwykłych przechodniów.

— Zauważył pan tych dwóch przebierańców? — spytał szeptem Marek. — Depczą nam po piętach już pół godziny.

— Zauważyłem. Zaraz do nas podejdą. Czekają wygodnego miejsca. Zostaw mnie samego.

Mężczyźni po dwudziestu metrach przyspieszyli. Brodacz udawał, że nie zwraca na nich uwagi, i maszerował jednostajnym krokiem, jakby regulowanym przez ukryty mechanizm wyliczający bezbłędnie ilość tych kroków na minutę. Nieznaczne przybliżanie się mężczyzn stopniowo zjadało odległość od jednej przechodniczki do drugiej. Dogonili ich tuż za rogami. Jeden zaszedł brodacza z prawej i stuknął go kłykiem w łopatkę.

— Czego chcecie? — spytał brodacz nie odwracając głowy.

— Chcieliśmy porozmawiać!

— O co idzie?

— Tu nie wypada — odezwał się drugi rozdzielając Marka i brodacza. — Zejdźmy w bok.

— Mój tatuś jest prezesem — powiedział prędko Marek. — Tylko coś zróbcie! Powiem tatusiowi, jak było! Nikt was nie zaczepia!

Tamten nie odpowiedział. Szli teraz w czwórkę. Marek przyglądał się uważnie dziwnej parze.

— Wiem, skąd jesteście! Szelki wam widać! — powiedział do mężczyzny z bliźną. — Pan nas pilnował, jakeśmy szli w pochodzie! Po co pan przy nas sterczał? Myśli pan, że nie wiem? Niech pan tylko coś zrobi! Wszędzie pana poznam!

— Nie wtrącaj się, synu prezesa, w interesy dorosłych! — wymamrotał mężczyzna z bliźną.

— Chcemy tylko porozmawiać — rzekł do brodacza pierwszy. — Słów parę.

Marek widział, jak obaj rozbieranymi oczami przypatrują się mijanym ludziom.

— Nie mamy czasu, więc zaraz będzie — powiedział mężczyzna z bliźną. — Spiesz się nam i wolelibyśmy gdzieś z boku, bo to poufna sprawa. Po co mają was podejrzewać o kunszacty z nami. Ludzie takich nie lubią.

Brodacz jakby się zastanawiał. Uszedł spory kawałek, obejrzał się na ludzi ciągnących leniwą rzeką do trybuny na plac, skąd dobiegło stukanie młotków, i stanął.

— Wiem, czego chcecie. Nie mam chęci na pogawędkę. Wał pan prosto z mostu. Nikt z nas nie ma za dużo czasu. Jakie macie zmartwienie?

Stali przy jakiejś bramie. Mężczyzna z bliźną zrobił nagle prędko ruch, odepchnął Marka i chwycił lewe ramię brodacza. Drugi uczeplił się natychmiast jego prawej ręki i podstawił nogę Markowi. Leżąc na chodniku jak długi, Marek ujrzał, że dwaj mężczyźni wiszą na potrząsającym nimi brodaczu. Po chwili wszyscy trzej zatoczyli się i przepadli w bramie. Trwało to bardzo krótko. Marek krzyknął i podniósł się. Stał chwilę na chodniku potrącany przez idących, którzy udawali, że nic nie widzą, i w następnej sekundzie znalazł się w bramie. Było w niej głucho jak w lochu. Nikogo nie widział, a ciemność nasycona była ciszą; głęboko, w niewidocznym piwnicznym korytarzu, zamierały czyjeś oddalające się kroki.

— Hej! — krzyknął w ciemną pochylnię schodów. — Hej! Hej!

Kiedy odpowiedziało mu płytkie echo, z niedowierzaniem potrząsnął głową; w ciągu paru sekund w przerażający sposób zdematerializowało się trzech dorosłych mężczyzn. Wszedł w ciemność głębiej. Po chwili oczy wychwyciły z głębokiego mroku jaśniejsze płaszczyzny ścian; zobaczył długie przejście ujęte zimną posadzką, omszałym od wilgoci sufitem i śliskimi ścianami.

— Hej! — rzucił półgłosem w tunel, ale w poziomej sztolni głos przepadł bez echa. — Hej! — powtórzył. — Przyjacielu!

W głębi korytarza otworzyły się drzwi. Ukazał się w nich czerep potężnej staruchy przykryty siwą czapą zmierzwionych włosów. Starucha przyglądała mu się chwilę trzymając przy nosie brudną szmatę, po czym zamknęła drzwi i ciemność znów zawładnęła korytarzem. Marek skoczył do drzwi, ale nie znalazł klamki. Załomotał gwałtownie pięściami. Usłyszał z drugiej strony przyspieszone sapanie, zgrzyt zasuw i oddalające się kroki. Jeszcze raz zabębnił obolałymi pięściami w drzwi okute blachą. Odpowiedziała mu głęboka cisza. Dopiero po długiej minucie kroki wróciły, drzwi otwarły się ze zgrzytem i stanął w nich monstrualnie otyły człowiek w brudnej koszuli, przepoconej i cuchnącej zjełczałym tłuszczem. W kątach przymrużonych oczu gromadziła się biaława ciecz; mężczyzna nie miał rzęs i Markowi przyszło do głowy, że mu wszystkie wygniły.

— Czego się tłuczesz? Wynocha!

— Zginął mi znajomy. Myślałem, że wszedł w te drzwi, i dlatego. Nikogo pan nie widział?

— Wynoś się i nie pokazuj na oczy z żadnym znajomym, bo skórę z was zedrze! Nikt tu nie wchodzi! Pełno tych gówniarzy! — zahuczał do staruchy wyglądającej zza pleców z brudną szmatą przy mięsistym nosie. — Wynoś się!

— Niech się pan nie gniewa! Znajomy mi zginął! Może jest tu jakieś drugie wyjście?

— Jest! — zagrzmiał tamten po namyśle. — Prosto przez podwórze! Złe trafiłeś, tam trzeba było szukać!

— Dziękuję.

Patrząc bez zaufania na dwoje w drzwiach, podobnych do siebie, utyłanych tłuszczem i wilgotną niechlujną drapieźnością zwierząt żywiących się padliną, cofnął się w ciemny korytarz. Nagle wydało mu się, że słyszy dobywające się spod posadzki szamotanie. Odwrócił się prędko i nie czekając, aż tamci zatrzasnają drzwi, skoczył do schodów, ale zejście do piwnicy zabite było na głucho, oblepione pajęczynami i dołem mokre. Wyszedł na podwórze — duży czworobok zawalony połupaną i rozsypującą się pod sandałami cegłą, odpadłym od ścian tynkiem, zmierzwioną słomą ze starych sienników i cuchnącymi śmieciami. Zamknięte z lewej i z prawej strony ścianami pozbawionymi okien podwórze przebite było dwoma bramami; tą, z której wyszedł, i drugą, otwierającą je na przestrzał. Ruszył do drugiej.

Wąskie drzwi otwierały z obu stron dostęp do dwóch klatek schodowych, podobnie jak podwórze pełnych gruzu i zwąłków cegły zlepionej zwietrzałą zaprawą. Nikt tu nie mieszkiał. Ścianki działowe dawnych mieszkań były porozbijane, z trzciny przymocowanej drutem do sufitów zwisały wielkie plastry tynku, a wszystko było zarośnięte kurzem zielonym jak pleśń.

— Hej! — krzyknął w lewą klatkę.

Posłuchał dobrą chwilę, ale nie doczekał się odpowiedzi. Poszedł do drugich drzwi i zawołał w prawą klatkę schodową. Tu też nikt nie odpowiedział. Na półce pierwszego stopnia leżał rozkładający się w słońcu kot, a pół metra od jego wąsatego pyszczka otwierała lewe oko wyschnięta mysz, rozplaszczona, nieruchoma, ze sztywnym wyprostowanym ogonkiem. Drugi stopień był zanieczyszczony stożkiem ludzkich odchodów, na dalszych leżały cegły i tynk. Powietrze pełne było woni domowego grzyba, który przeżarł budynek od piwnicy do ostatniej krokwi na dachu. Nie było żadnych śladów ludzkiego bytowania; domowe zwierzęta też na pewno omijały z daleka ten dom.

Marek spojrział przez podwórze w pierwszą bramę, odwrócił się i znalazł na ulicy. Był to zupełnie pusty krótki zaułek. Okna skarłowaciątych parterowych ruder, wbitych spaczonymi ścianami głęboko w ziemię, były zamknięte, w wielu brakowało szyb. Na pokrytym papą krzywym dachu siedział przy kominie szary gołąb i iskał dziobem brudne pióra. W rynsztoku poniewierał się ogryzek jabłka, szczeniały i wysuszone jak strzęp pergaminu. Do

węgła pierwszego budynku przytwierdzona była deska z namalowaną kalalią i niewyraźnym hasłem zakrytym liszczami farby.

Zza rogu wysunął się człowiek w ciemnym płaszczu i szedł prosto na niego. Marek z sercem w zaciśniętym gardle rzucił się na spotkanie mężczyzny i złapał go za rękaw.

— Gdzieście go zaprowadzili? Od razu wiedziałem, skąd pan jest! Gdzie brodacze?

Obwisłe rondo dotknęło krótkim cieniem blizny na brodzie.

— Wiem, myślisz, o kim mówisz? Rękaw puść.

— Udaje pan niewiniątko! Gdzieście go zaprowadzili? Wiedziałem, jak wciągnęliście go w bramę! Gdzie on teraz jest?

Blizna na brodzie drgnęła złowrogo.

— O kim mówisz? Kto kogo gdzie prowadzi? Zejdź z drogi, bo ci co zrobię!

— Powiedziałem, że pana poznam, i poznałem. Ma pan szramę na brodzie!... Teraz mi się pan nie wywinie! Zaraz narobię krzyku. Ludzie się zbiegną, powiem, że w biały dzień porwaliście brodacza wprost z ulicy, a teraz nie mówi pan, co się z nim dzieje! To tak dotrzymujecie obietnic? Gdzie on jest?

Szarpnął rękaw czarnego płaszcza. Mężczyzna pochylił się, zbliżył sapiącą twarz do jego twarzy i przyparł go do ściany budynku. Marek dotknął plecami rozgrzanego muru. Poły czarnego płaszcza ogarniały go jak ptasie skrzydła, bił od nich smród potu i starych szmat. Mężczyzna trzymał go w kleszczach jednej ręki, a drugą przetrząsał nerwowo wielką kieszeń.

— Pierwsze cię widzę! Powiadasz, mówiłeś komuś, że go poznasz, aleś nie poznał, bo ja ciebie pierwsze widzę i ty to samo pierwsze mnie widzisz! Zejdź z drogi, bo ci tu nogi poodrzynam. Wszystko ci poodrzynam jak wieprzkowi na Boże Narodzenie!

Wyszarpnął z kieszeni podłużny przedmiot z jeleniego rogu, szcęknęła sprężyna i z brudnej ręki wyskoczyło długie ostrze nakropione rdzawymi plamami. Chwytał Marka mocniej i ciężkim tułowiem przesunął go po murze do bramy.

Marek odtrącił zbrojną rękę, wyrwał się i prześliznął jak piszczak między rozcapierzonymi paluchami drugiej łapy; pogonił za nim ciężki tupot, który bardzo prędko został z tyłu. Kiedy zwolnił i obejrzał się, mężczyzna zgarniał czarne poły i właśnie wchodził do bramy.

Marek po zastanowieniu powlókł się uliczką w prawo. Doszedł do placu w połowie wypełnionego kobietami, mężczyznami i dziećmi. Wysoka trybuna stała nad tłumem jak ołtarz, przystrojona girlandami zieleni i obwieszona miejskimi barwami. W nieruchomym powietrzu wisiła na maszcie przy muzeum miejska

flaga, a po bokach trybuny emblematy kalalii przytwierdzone do powbijanych w trawę malowanych tyczek łąpały ostre światło. Z trudem przecisnął się do przodu. Tłum był zbity i gęstniał przy trybunie jeszcze bardziej. Na trawniku ustawiała się właśnie orkiestra miejskiego ogrodnictwa dowodzona przez przysadzistego nadzorcę patrzącego na podopiecznych oczami natchnionego debila.

W pierwszym rzędzie gapiów sterczał znajomy osiłek. Marek, naglony wizją brodacza torturowanego być może w niedostępnych podziemiach przez mężczyznę z blizną i jego bezkarnych pomocników, pociągnął go za szerokie spodnie.

— Proszę pana!

— Czego? — burknął tamten, macając zmrużonymi oczami ogrodników przy trybunie.

— Zamknęli brodacza z tablicą! Nie mam pojęcia, gdzie go zaprowadzili! Na pewno zrobią mu coś złego!

Osiłek przekreślił kwadratową twarz na grubym karku i spojrzął w dół.

— Zabrali go? Kto to był? Twój ojciec?

— Nie ojciec! Znam go tyle co z dzisiejszego marszu. Szliśmy razem i nagle go zwinęli. Tak prędko to zrobili, że ledwie zdążyłem zobaczyć, w którą bramę!

Osiłek przestał się gapić na trybunę.

— Czekaj — powiedział. — Kogo wciągnęli? Brodacza?

— Właśnie! Jacys dwaj powiedzieli, że chcą z nim porozmawiać na osobności. Kiedy brodacz się nie zgodził i powiedział, że może z nimi rozmawiać na ulicy, tamci wciągnęli go w bramę!

— I tak w biały dzień pozwolił się w bramę zaciągnąć?

— No, właśnie. Gdyby tylko zdążył krzyknąć, ludzie by go nie pozwolili porwać, ale nie było kiedy!

— To on się chyba zgodził z nimi porozmawiać. Nie ma co robić rabanu!

— Wcale nie chciał z nimi rozmawiać! Kiedy byliśmy przy bramie, jeden złapał go z jednej strony, drugi z drugiej, mnie odepchnęli i przewrócili, a jego wciągnęli w bramę!

— Eee! — rzekł niepewnie osiłek. — To były na pewno żarty, a ty nie dajesz ludziom spokojnie na wiec poczekać. To byli jego koledzy, musieli się znać. Tak ni z tego, ni z owego do bramy?

Marek pokręcił głową.

— Nie wiem, jak to panu wytłumaczyć. To nie byli koledzy. To znaczy, oni go znali, bo pamiętali, że niósł tablicę. Przecież sam pan słyszał, jak się odgrażali, że go coś złego dziś spotka. On wtedy nie dał się zastraszyć, ale tamci go pilnowali i kiedy

zobaczyli, że idzie tylko ze mną, zaraz go porwali. Czekali tylko okazji, rozumie pan?

Osisek rozejrzał się dokoła.

— Nie kłap zębami na cały plac — mruknął. — To na pewno takie żarty były!

Znów się rozejrzał. Dostrzegłszy przy trybunie kilkunastu mężczyzn w ciemnych płaszczach z podniesionymi kołnierzami i w kapeluszach o wielkich opuszczonych rondach, zadrżał w szerokich ramionach, jakby go nagle tknęło wielkie zimno. Marek dreptał niecierpliwie.

— Ładne żarty! Od razu wiedziałem, że się od niego tak łatwo nie odczepią! No i za chwilę wciągnęli go w tę bramę!

— To co ja ci teraz zrobić? Trzeba było pójść za nimi i zobaczyć, dokąd go prowadzą!

— Zobaczyć! To się stało tak szybko. Przewrócili mnie. Kiedy się tylko pobierałem i skoczyłem w bramę, już ich nie zobaczyłem. Usłyszałem tylko kroki, ale w bramie nie było nikogo. Pukałem do jakichś drzwi, tam też nikogo nie widzieli, a w drugiej bramie, za podwórzem, nikt nie mieszka. Potem wyszedłem na ulicę i właśnie wracał jeden z tych dwóch, co go porwali. Jak mnie zobaczył, zaraz wyciągnął nóż i mnie też chciał wciągnąć do bramy, ledwie mu uciekłem. Gdyby pan poszedł ze mną, może by się nam udało znaleźć brodacza! W razie czego, gdyby jeszcze byli, pan by im obydwom dał radę, ja bym panu pomógł. Moglibyśmy go wypuścić!

— Musimy to rozważyć spokojnie — powiedział osisek. — Zejdźmy tylko z oczu tym przy trybunie. Widzisz ich? — spytał rozglądając się troskliwie na wszystkie strony.

— Widzę, ale tamtych dwóch między nimi nie ma.

— Nie ma, powiadasz? To oni pewno kogoś szukają po ulicach! Może nas, co?

Zatrząsał się w ramionach i długą chwilę nie panował nad malarycznym drżeniem.

— Zimno panu — zauważył Marek.

Ciałem osiłka wstrząsnęła potężna czkawka.

— Musimy być bardzo ostrożni — wyjąkał. — Bardzo! Z nimi nigdy nic nie wiadomo! Mogą mieć nasze fotografie! Tobie nic, boś jeszcze dziecko, ale ze mną byłoby niedobrze. Lepiej się trzymać od nich z daleka, nie włączyć niepotrzebnie w drogę!

— Jeżeli chce pan pójść ze mną i zobaczyć, czy go gdzieś nie trzymają, to i tak musimy im wejść w paradę! Nie ma siły!

— No tak — przyznał osisek bez entuzjazmu. — Musimy

jednak być ostrożni. Tak trzeba iść, żeby nie zobaczyli nas razem. Nie mogą się dowiedzieć, po co idziemy.

— Zgoda! Teraz to go na pewno znajdziemy!

Wydostali się z tłumu trzymając się w odległości kilkunastu kroków od siebie. Spotkali się dopiero na chodniku, skąd widać było bramę czerniejącą jak wlot do czeluści pełnej nietoperzy i węzów. Osisek patrzył przed siebie spode łba i wciskał w ramiona graniastą głowę. Skulił się, szedł zgarbiony, drżąc w potężnych ramionach, a pod skórą przelewały się bezwładnie miękkie bicepsy. Marek zatrzymał się pod drzewem, osisek z drugiej strony próbował się schować za pień.

— Która ta brama?

— Zaraz panu pokażę.

Oparł się o drzewo i wspiął na palce, żeby zobaczyć, jak daleko sięga wzrok osiłka; jego głowa znalazła się na tej samej wysokości. Osisek stał przełamany w pasie, męczyła go czkawka. Próbował ją zdusić, nie pomagało. Podrzucało mu w ramionach kwadratową twarz, jakby ją ktoś przymocował do pneumatycznego dłuta.

— Ten sklep z zielonym szyldem widzi pan?

— Niee. Gdzie on?

Osisek trzymał się pnia okręcony bojaźliwie wokół niego jak powój i zerkał na wszystkie strony.

— Niech pan patrzy za moją ręką. Jest sklep i zaraz po prawej jest brama. Nad bramą jest balkon z kwiatami. Widzi pan teraz?

— Nie bardzo. Jakoś mi źle pokazujesz!

— Przecież na tej ulicy jest tylko jedna brama pod balkonem. W innych domach bramy są albo z lewej, albo z prawej strony! Powinien pan widzieć!

— Nie widzę jakoś.

— Taka ciemna.

— Ciemna? I w środku też ciemno?

— Jak się wejdzie na korytarz, to w prawo jest trochę jaśniej. Dalej jest zejście do piwnicy zamknięte deskami i tam jest ciemno.

Osilka złapała silniejsza czkawka.

— Ciemno!

Przykleił się do pnia; Marek pomyślał, że gdyby teraz zjawili się tamci dwaj, żeby jak brodacowi zaproponować rozmowę na osobności, dobrze by się musieli napracować, zanim by go oderwali od drzewa.

— No, co? Nie widzi pan? Powinien pan widzieć, która to brama!

— Może wiem, ale coś nie za bardzo jestem pewny.

Spojrzał z wielką męką na Marka i obracając głową jak świecą morską latarni rozejrzał się po ulicy. Ludzie szli jeszcze na plac. Widać było muzeum kalalii, trybunę i na drzewcu flagę miejską. Przy trybunie czarna rząd czarnych kapeluszy.

— To może pana tam zaprowadzę — zaproponował Marek niecierpliwie. — Będziemy się tak guzdrać, to nasza pomoc na nic się nie przyda!

— Czekaj — powiedział osiłek. — To jakby ciebie zobaczył jeden z tych, co zabrali brodacza, to by cię poznał?

— Pewnie! I ja też bym go poznał! Tylko mnie potem zobaczył, zaraz chciał mnie wciągnąć do bramy, ale nie byłem głupi, uciekłem!

Osiłkowi się czknęło.

— Byłoby dobrze, gdyby ktoś pana przestraszył. Strasznie pana męczy ta czkawka. Boi się pan zdechłej myszy albo zdechłego kota?

— Nie. Możemy tam pójść i zobaczyć, ale nie razem. Ty zajdziesz z jednej strony, ja z drugiej, spotkamy się przy bramie. Z której strony chcesz iść?

— Wszystko jedno. Mogę z lewej i mogę z prawej. Niech pan idzie w lewo, ja będę miał dalej, ale podbiegnę.

— Idź! — rozkazał osiłek. — Spotkamy się przy bramie.

Ruszyli jednocześnie. Marek po kilkunastu krokach obejrzał się; osiłek szedł zgarbiony w ramionach, chował mocno głowę w barki, krótkie włosy włożyły mu z tyłu na kołnierz koszuli. Po kilkunastu metrach jeszcze raz się obejrzał; osiłka zasłaniali ludzie.

Przebiegł dwa boki placu i spory odcinek ulicy. Znalazł się przy bramie i stanął pod balkonem. Osiłka jeszcze nie było. Zajrzał do środka; bramę zalegała nieprzyjemna ciemność. Za ścianą kropla po kropli kapąła jednostajnie woda przypominając tykanie zegara. Na ulicy rzedły kroki spieszące na plac. Potknął się o jakiś przedmiot. Wymacał drąg i podniósł go czując na drugim końcu coś ciężkiego. Rozpoznał tablicę i wziął ją na ramię. Wyrzwał na ulicę, osiłka nie zobaczył. Po chwili zajrzał jeszcze raz w bramę i mocno zaniepokojony wrócił na ulicę. Patrzył uważnie, żeby nie pomylić osiłka z kim innym, ale nikogo podobnego nie zobaczył. Z tablicą na ramieniu wyszedł mu naprzeciw. Widział puste chodniki i z daleka wycinek placu, gdzie na trybunie wyniesionej znacznie nad poziom głów dreptało w miejscu paru mężczyzn czyniących ostatnie przygotowania. Za rogiem budynku usłyszał jakiś szmer, a potem zobaczył wychylającą się kwadratową twarz osiłka ocienioną zatroskanymi brwiami.

— To tu pan stoi? Przecież mieliśmy się spotkać przy bramie! Czekam i czekam, myślałem, że się panu coś stało!

Osisek myszkował po ulicy niespokojnym spojrzeniem.

— Synu, sprawa nie jest prosta, zaraz się wiec zacznie.

— Woli pan sterceć na wiecu niż pomóc człowiekowi, któremu grozi niebezpieczeństwo?

Osisek usłyszał jakieś kroki i uciekł z głową za róg.

— Eee! — powiedział stamtąd, kiedy kroki ucichły. — Zaraz by miało niebezpieczeństwo grozić. Obiecywali, że nikogo nie ruszą. Na pewno poszedł z nimi z dobrej woli. Pogadają sobie, potem się rozejdą, a ty robisz wrzask na całe miasto! Kto widział tak się przejmować! Twojego ojca też czekają przykrości, ale ciebie to guzik obchodzi!

— Mój tatuś jest nietykalny, nic mu nie zrobią.

— Tamtemu to samo nic nie będzie. Lepiej idź na wiec. Młody jesteś, posłuchasz z pożytkiem.

Kroki odezwały się znowu, ostrożne, przyczajone, jakby ich ktoś okrążał. Osisek schował się.

— Coś mi się zdaje, że pan się po prostu boi — powiedział Marek do niewidocznego. — Włazł pan za róg, boi się pan, żeby nikt pana nie zobaczył czy co?

— Boi się — warknął osisek.

Sam się nie pokazując wyciągnął zza rogu rękę, chwycił Marka za ramię i potrząsnął nim z całej siły.

— Będzie mnie tu jeszcze obrażał! Wynoś się, ale prędko, bo ci dam taką szkołę, jakiej nie dostałeś od rodzonego ojca! Zjeżdżaj, bo ci nogi poprzetrącam!

Marek wyrwał mu się i spojrzął za siebie.

— Wie pan, idzie ten sam mężczyzna, który wyciągnął na mnie nóż i chciał mnie wepchnąć do bramy — powiedział półgłosem do osiłka. — Ten sam. Zapytam go zaraz, gdzie jest brodacz.

Za rogiem rozdzwoniły się zęby osiłka.

— Idzie? — tchnął dychawicznym szeptem.

— Już jest blisko. Zapytam, gdzie zamknęli brodacza. Teraz, kiedy jest nas dwóch, już nie wyciągnie noża! Proszę pana! Hej, proszę pana! Niech pan poczeka!

Za rogu doszło go bezradne czknięcie, a potem oddalające się coraz prędeż kroki. Kiedy po chwili zajrzał za budynek, z osiłka ślad nie został. Z najbliższej bramy dobiegły go czyjeś kangurze susy.

— Bohater! — mruknął.

Postał chwilę, namyślając się intensywnie, potem wszedł do bramy i odsikał się. Z bramy skierował się prosto na plac.

Trzymając tablicę na ramieniu przepychał się przez tłum. Poznawali go ci, którzy widzieli go wcześniej, a ci, którzy wiedzieli, że jest synem prezesa, też robili mu przejście. Im bliżej trybuny, z tym większym trudem poruszał się w gęstwie stłoczonych i spocynych ciał. Szukał znajomych. Z lewej strony stała Ewa przyciskając po swojemu brudne dłonie do piersi. Miała na sobie bluzkę bez rękawów, spod pach wyglądały dwa jabłka wciśnięte w miękki puch wczesnego zarostu.

Wyminął ją i trochę dalej zobaczył dziadka z nieodłącznym kozikiem wyciągającego do przodu pomarszczoną szyję; ruchliwa grdyka sterczała jak kawałek ogórka. Dziadek z wielkim przejęciem patrzył na trybunę, mrużył co chwila oczy ocienione sfatygowanym kapeluszem i znów przypatrywał się podwyższeniu, na którym kręciło się więcej niż dziesięciu ludzi, ale nie było nikogo ważniejszego. Słońce przypiekało ostro i ogrodnicy z orkiestry pocili się w galowe kombinezony, utrudzeni ciężarem rozgrzanych instrumentów. Niektórzy byli mocno cherlawi i nawet lekkie fanfary wyciskały z nich resztę tchu. Marek stanął obok dziadka i dotknął go ręką. Staruszek nie zareagował.

— Dziadku, wnuka wam porwali! Wciągnęli go w bramę! Na amen przepadł!

Dziadek zamrugnął spokojnie bezręcznymi powiekami.

— He? — skrzytnął. — Powiadasz do mnie co?

— Waszego wnuka nie ma! Porwali go!

Wiadomość naruszyła ciszę, ale nie dotarła do świadomości dziadka.

— Porwali? — powtórzył bezbarwnie. — Co powiadasz? Porwali? Ścierwa sakramenckie! Kury? — zaniepokoił się nagle i złapał Marka za ramię. — Kto?! — krzyknął groźnie.

— Nie kury, dziadku! Waszego wnuka porwali! Może go już nigdy nie zobaczycie!

— Z dobrą nowiną przychodzisz! Chwała Bogu! Jakbym ci powiedział, jakie z nim miewałem kłopoty, to byś się nie dziwił, że ktoś z nim zrobił porządek! Jak się ma wnuka, to się prędko siewie!

— Dziadku, to nie żarty! Dwóch ludzi wciągnęło go do bramy i nie wiadomo, gdzie teraz jest! Na pewno zrobią mu coś złego. Wiedzą, że to on pierwszy wyszedł na ulicę.

Dziadek podepchnął kciukiem rondo kapelusza w stronę łysawego ciemienia i zaczął ostro podreptywać w miejscu. Oczy mu zabłyśły, grdyka skoczyła w dół, potem w górę, a wyszarpięty spod pachy kozik przeciął powietrze.

— Wiesz, dokąd go zabrali?

— Nie wiem, ale moglibyśmy gdzie pójść, może się czegoś dowiemy.

— Będą tam wiedzieć?

— Na pewno!

— I powiedzą nam?

— Nie powiedzą, ale się sami dowiemy.

Dziadek przyrzął się jemu i tablicy.

— Cyganek jaki masz?

— Nie mam, nóż mogę zabrać z domu.

— Weź, jeden będzie mało.

Marek ucieszył się.

— To chodźmy już.

Dziadek zastanowił się.

— Iść? Tak zaraz iść?

Rozejrzał się po ludziach, wyciągnął szyję i spojrzął z żalem na trybunę.

— No pewnie! Im wcześniej, tym lepiej! Dowiemy się czegoś!

Staruszek zaszurał butami i posmutniał.

— Teraz nie można. Zaraz tu będzie wielka parada. Przemówienia wielkie będą. Orkiestrę sprowadzili. Synu — powiedział — starem wiatr w oczy. Wszystko by mnie minęło, jakbym poszedł. Nie za wiele do zobaczenia zostało mi na tym świecie. Żadnym sposobem teraz nie mogę pójść.

— A wnuk? Nie obchodzi pana, co z nim zrobią?

— Obchodzić obchodzi, ale zostawić wszystko i tak pójść? Nie, nie mogę — powiedział. — Kto go tam zresztą wie, może on nie mój wnuk. Powiadają, że synowa pazerna była na chłopów. Kury mi uciekły, też nieszczęście, a nikt się nie martwi. Mnie też markotno.

Przewrócił smutno oczami, kiwnął Markowi głową i zaczął się przepychać do przodu poszturchując kozikiem tarasujące drogę pośladki i plecy. Po chwili obejrzał się, przemógł i przywołał Marka palcem.

— Cyganka ci pożyczę, nie będziesz musiał do domu biegać. Można nim dobrze kogo pokaleczyć. Masz mi go potem oddać!

Po minucie Marek widział tylko tył głowy nakryty sflaczałym kapeluszem. Odwrócił się i znów zobaczył Ewę, która na jego widok poczerwieniała i odwróciła się zmieszana. W pierwszej chwili pomyślał, że może mu się przydać, ale dał spokój. Powiódł spojrzeniem po ludziach oddających mimo upału bałwochwalczą cześć trybunie, na której tam i z powrotem szwendało się kilkunastu ogrodników — jeszcze poprawiali to i owo, jeden dmuchał i stukał w mikrofon, a sterzące na czterech nogach

placu megafony, wielkie jak beczki, wydawały chrapliwe poddmuchy albo dziki huk tratujących wszystko wielkich kopyt.

Wsadził rękę do kieszeni, wy dostał się na skraj tłumu i z tablicą na ramieniu ruszył chodnikiem. Po kilkudziesięciu metrach przyspieszył, doszedł prędko do bramy, w której pół godziny temu zniknął brodac z tamci dwaj. Przystanął i przez parę sekund przysłuchiwał się ciszy, którą, niczym stojącą smrodliwą wodą, napompowany był cały budynek. Zagwizdał, ale odpowiedział tylko pogłos. Wszedł w podwórze i przez drugą bramę wy dostał się w zaułek. Słońce przypiekało ściany zjadliwym popołudniowym gorącem. Z tablicy, na której parę lat temu ktoś namalował kalalię, ostry blask zdzierał ostatnią warstwę farby.

Ruszył teraz prędej. Skręcił z zaułka w ulicę, potem jeszcze raz w lewo i wracając na plac ujrzał kroczącego z powagą głupiego Franka, w kasku, z sekatorem, objuczonego opryskiwaczem i butlą z płynem dezynfekcyjnym. Doszli do placu razem.

XVII

Ostatni maruderzy wchodzili właśnie na plac, kiedy od miejskiego zarządu dobiegł warkot, który po minucie nasilił się. Ludzie czekali, aż nadjadą motocykle. Po trzech minutach, w licznej asyście uzbrojonych motocyklistów stanowiących honorową straż, do której miał prawo tylko prezes, zastępca i szef ogrodnictwa, na ulicy biegnącej do placu pokazał się samochód. Nie był to otwarty kabriolet, z którego prezes przyglądał się zwykle wiwatującym tłumom, ale ogromna czarna limuzyna ze szczelnie zamkniętymi oknami. Samochód był solidnie opancerzony, silnik huczał głośno, ale wehikuł ledwie jechał.

Kiedy samochód się zbliżył, widać było na przednim siedzeniu, przy kierowcy, nastroszonego szefa, a z tyłu, obok zastępcy, prezesa przypatrującego się z uśmiechem tłumowi. Eskorta motocyklistów składała się z rosnących ogrodników w galowych kombinogonach; mieli kaski i okulary chroniące przed kurzem, a na rękach długie do łokci parciane rękawice.

Konwój na rogu skręcił, wjechał na plac, przedefilował jego dłuższym bokiem i zatrzymał się za trybuną. Motocykle natychmiast zgasły. Ogrodnicy poustawiali je prędko na podpórkach,

skoczyli między trybunę a tłum i znieruchomieli patrząc spod kasków niczym głuchoniemi przybysze z innej planety.

Prezes, zastępca i szef wygramolili się z limuzyny i ruszyli zgodnie do trybuny, żeby zająć honorowe miejsca. Nadzorca z orkiestry dał znak i dęte instrumenty odegrały fanfarę, a kiedy prezes dotknął butem pierwszego stopnia, nad placem jak burza przetoczyły się dźwięki generalskiego marsza. Prezes wojskowym krokiem pokonał resztę stopni, stanął prędko przed mikrofonem, z lewej strony znieruchomił szef, z prawej zastępca. Na placu zrobiło się cicho i tylko trębacze szczękając klawiszami wypuszczali na trawę wplutą w trąby ślinę. Tłum znieruchomił wpatrzone w trybunę.

Kiedy prezes zrobił krok w lewo, zastępca i szef zrobili skwapliwie to samo. Kiedy ujął w dłoń szyjkę mikrofonu i wyciągnął z kieszeni jakieś kartki, rozkładając je przed sobą na pulpicie, tamci dwaj, jeden z jednej, drugi z drugiej strony, zaczęli mu w te kartki zaglądać, prezes zgarnął je i wetknął z powrotem do kieszeni, ale zastępca i szef próbowali mu je wyciągnąć. Wreszcie prezes odchrząknął przed włączonym mikrofonem, sposobiąc się do pierwszych słów. Zastępca z szefem naradzali się cicho i widać doszli do zgody, bo szef chwycił prezesa za rękę, a zastępca przeszukał mu kieszeń. Teraz obaj skwapliwie przeglądali kartki. Prezes oponował, ale w końcu machnął ręką, odebrał od zastępcy pierwszą kartkę, rozłożył ją przed sobą i głęboko zaczerpnął tchu. Z placu odpowiedziało ogólne pochrząkiwanie.

— Mieszkańcy miasta! — rzekł prezes. — Spotykamy się w szczególnych okolicznościach! W naszym pięknym kolorowym mieście, które dzięki naszemu wysiłkowi za parę lat stanie się miastem pełnym kalalii, doszło dziś do wydarzeń, których przy czyny miejskiemu zarządowi nie są dobrze znane!

Tłum przekołysał się z nogi na nogę i w milczeniu przełknął ślinę. Zastępca podniósł kartkę z pulpitu i trzymał ją przy twarzy prezesa. Ten próbował odsunąć kartkę razem z ręką, ale mu się nie udało.

— Mieszkańcy miasta! — powtórzył. — W naszym pięknym mieście, któremu pragniemy zapewnić dostatnią i szczęśliwą przyszłość, doszło dziś do szczególnych przypadków niesubordynacji! Zwolałiśmy więc, żeby wam o tym powiedzieć!

Tłum szurnął nogami po trawie. Z bocznych uliczek weszli chyłkiem na plac ostatni spóźnieni. Trąby na plecach ogrodników strzelały w słońce cienkimi promieniami. Na rogu obok Marka stał objuczony Franek.

— Mieszkańcy miasta! — rzekł znów pompacyjnie prezes.

— Patrz pan w kartkę, z kartki pan czytaj! — syknął głos

zastępcy z rozstawionych na rogach megafonów. — Zarząd miejski nie życzy sobie żadnej improwizacji, choćby to była największa improwizacja świata! Z kartki pan czytaj!

Prezes zlustrował plac.

— Mieszkańcy miasta! Zarząd miejski nie może tolerować wystąpień przeciw zarządowi, który sami wybraliście! Nie może tolerować nieposłuszeństwa — odczytał bezbarwnie z kartki podsunętej pod nos. — Wszelkie nieposłuszeństwo prowadzi do anarchii, która jest zaprzeczeniem ładu. Zarząd miejski dysponuje niezbędnymi środkami, żeby zapewnić miastu spokój potrzebny do twórczej pracy nad programem wyhodowania kalalii. Nasze dzieci doczekają pięknych czasów. Mieszkańcy! Dzień, w którym ogłosimy pełne zwycięstwo, jest już bliski! Nasze miasto, jedyne w niezliczonej ilości wszystkich miast, już za pięć albo za dwadzieścia pięć lat będzie oazą wszelkiej miejskiej szczęśliwości! Nasz przykład rozprzestrzeni się i będzie przyświecał innym miastom, które niechybnie pójdą naszymi śladami! Z całą odpowiedzialnością obiecuję wam pełny udział w spożywaniu pięknych owoców naszego wspólnego wysiłku!

Zastępca w zdenerowaniu zaczął przegarniać plik kartek, a szef ogrodnictwa przytrzymał prezesa za ramię, jakby się bał, że mu za wcześniej ucieknie.

— Gdzie dalszy ciąg? — warknął zastępca, a megafony rzucały pytanie na cały plac. — Gdzie ciąg dalszy? Powiedziałem, żadnej improwizacji!

— To nie improwizacja, to starannie przygotowane przemówienie — odpowiedział w czterech rogach placu głos prezesa. — Nie dajecie mi swobodnie rozmawiać z mieszkańcami! To do niczego nie doprowadzi!

— Mów pan z kartki! — odwarknął zastępca. — Nie zdajesz pan sobie sprawy, ludzi pan podżegasz! Mów pan z kartki, bo nie, to ja tu pana zastąpię! Szukaj pan drugiej kartki!

— Szukaj pan kartki! — odkrzyknęło z placu kilka głosów.

Tłum odpowiedział życzliwym śmiechem, ludzie z rozbawieniem spoglądali po sobie, trzymając się za brzuchy i klepiąc po udach.

— Mów pan z kartki! — huknął z tłumu głos osiłka.

— Mów pan z kartki! Gdzie druga kartka? Gdzie dalszy ciąg? — rozległy się okrzyki. — Mów pan z kartki!

Prezes zerknął z powagą na rozbawiony tłum.

— Mów pan z kartki! — krzyczeli ludzie ze wszystkich stron. — Mów pan z kartki!

Paru przebranych ogrodników w czarnych płaszczach i obwisłych kapeluszach ruszyło spod trybuny i rozpełzło się po tłumie

jak wielkie czarne żuki. Ogrodnicy w kombinezonach, trzymając w pogotowiu sekatory i nożyce, zaczęli patrolować chodniki wokół placu.

— Może dać jaką kartkę? — zaproponował mężczyzna oddalony od trybuny najwyżej o dziesięć kroków. — Może kogo zastąpić?

Ludzie z rozbawieniem częstowali się kuksańcami. Marek postawił pionowo tablicę, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Przygryzł wargi. Franek z przejściem czochrął capią bródkę.

— Mów pan z kartki! Z kartki pan mów! Tu się nie mówi bez kartki!

Zastępca i szef gorączkowo przeszukiwali mu kieszenie, prezes trzymał szyjkę mikrofonu.

— Mieszkańcy miasta! — powiedział. — Ja wam bez kartki powiem parę słów! Mnie żadne kartki niepotrzebne! Mogę zawsze wygłosić wielkie przemówienie.

— Mów pan bez kartki! — zgodzili się ludzie.

Prezes odwrócił się gwałtownie do zastępcy.

— Nie szczyp mnie pan!

— Panie, nie szczyp go pan! — podchwyciło parę osób.

Rozbawienie tłumu prędko doszło do szczytu i zaraz opadło. Prezes wyprostował się i spojrzął na plac z nieporuszoną godnością; wychylił się do przodu nie zwracając uwagi na zastępcę, który bez przerwy rewidował mu kieszenie.

— Mieszkańcy miasta! Mogę mówić bez kartki! Chcę wygłosić przemówienie! Posłuchajcie! Wyszliście na ulice! Ja wiem, dlaczegoście tak zrobili! Macie dość rzeczy, które wbrew naszej woli stały się przeszkodą w realizacji programu! Rozpoczynając walkę byliśmy pewni, że kiedy ją skończymy, każdy z nas będzie miał czyste ręce i podniesione czoło! Ale niektórzy zrobili sobie z naszego programu dojną krowę! Są przekupni! Kradną! Wyzyskują się nad wszystkich! Idzie im tylko o zaspokojenie ambicji! Są jak rdza, która przeżera przęsła mostu! Panie, niech mnie pan nie szczypie — powiedział do zastępcy. — To panu nie pomoże!

— Panie, niech go pan nie szczypie! — odezwały się z placu groźne głosy.

Zastępca cofnął się trochę, prezes podniósł głowę.

— Mieszkańcy! Oto widzicie, jak mój własny zastępca robi wszystko, żeby mi uniemożliwić swobodną rozmowę z wami! Chce, żebym czytał z kartki przemówienie, które on sam z szefem ogrodnictwa napisał! Dlaczego? Bo się boi naszej swobodnej rozmowy! Kiedy w południe wyszliście na ulicę, on dostrzegł w was tylko buntowników! Dlaczego? Bo ma nieczyste sumienie!

Dlatego że oprócz innych sprawek ma za sobą kilka lat bezkarnego przemytu jabłek. Woli, żeby nikt z was nie wiedział, czym on się zajmuje! Staje teraz na głowie, żebyście się nie dowiedzieli, że jest zwykłym oszustem! Ale od dziś ja to wiem i od tej chwili wy też już wszystko wiecie! Wy może wiedzieliście to od dawna i wyszliście na ulicę, żeby zaprotestować w ten sposób! Zupełnie słusznie nie podoba się wam, że jedno z najważniejszych stanowisk w mieście piastuje taki człowiek! Tymczasem on nie chce tego stanowiska opuścić i twierdzi, że się buntujecie przeciw programowi!

— Póki nie ma kalalii, niech będą jabłka! — krzyknął odosobniony głos. — Zastępcę do kicia!

— Wiem, zamkniemy go, jak będzie trzeba — rzekł pobłażliwie prezes. — Wiem, że jesteście ze mną. Możemy sobie porozmawiać. Wiem, że nikt, kto przyszedł na plac, żeby ze mną porozmawiać, nie myśli o jabłkach! I słusznie! To tylko kłamliwy wymysł zastępcy! Żaden trzeźwo myślący mieszkaniec naszego pięknego miasta nie pragnie powrotu czasów, kiedy nie bacząc na naszą przyszłość i na przyszłość naszych dzieci, zadawaliśmy się jabłkami! Ten smutny okres mamy za sobą! Teraz skupiamy wszystkie siły, żeby zrealizować program kalalii! Wiem dobrze, czego chcecie! Obiecuję wam solennie, że nasze wspólne dzieło doprowadzimy do końca! Przysięgam wam, że od jutra w zarządzie miejskim nie będzie śladu po urzędnikach przekupnych i nieuczciwych! Od jutra w miejskim zarządzie nie będzie pracował ani jeden człowiek duchowo obcy naszemu programowi! Straciliśmy z pola widzenia wiele spraw, ale przysięgam wam kontrolować od dziś wszystko, co podlega kontroli miejskiego zarządu! Precz z korupcją i karierowiczami!

— Precz! — krzyknęło nieskładnie kilkanaście głosów. — I po parę jabłek, póki nie ma kalalii!

Prezes odtrącił myszkuje mu po kieszeniach ręce zastępcy i spojrzął wyrozumiale na ludzi.

— Wy wcale nie chcecie jabłek — zapewnił. — Krzyczycie tak przez przekorę! Macie po prostu dość nieuczciwości, jakiej się dopuszczali niektórzy urzędnicy z miejskiego zarządu! Do dzisiaj nic o tym nie wiedziałem! Nie dochodziły do mnie żadne wiadomości! Dopiero kiedy wyszliście na ulicę, dotarło to do moich uszu! Jestem wstrząśnięty i czuję się oszukany podobnie jak wy! Ale od dziś należy to do bezpowrotnej przeszłości!

Na trybunie był spokój, zastępca i szef pochyleni ku sobie przeprowadzili niecierpiącą zwłoki konsultację. Prezes przybliżył usta do mikrofonu.

— Wiem dobrze, czego chcecie! Chcecie, aby ci, którzy dla

wszystkich powinni być wzorem, postępowali uczciwie! Tego samego i ja oczekiwałem od moich urzędników! Z dniem jutrzszym przestanie urzędować mój zastępca! Na jego miejsce wybierzemy człowieka nieposzlakowanego! Nie dopuszczę, aby w przyszłości ktokolwiek tolerował albo ukrywał karygodne wykroczenia przeciw moralności obowiązującej w naszym mieście wszystkich! Nie może być wyjątków w łonie miejskiego zarządu! Mieszkańcy! Nie mogę wam obiecać, że za tydzień albo za miesiąc będą kalalie, bo to zależy nie tylko ode mnie! Wszyscy o tym decydujemy! Korzystając z dzisiejszej okazji zwracam się do was z gorącym apelem! Pomagajcie nam tak, jak pomagaliście dotychczas! Krytykujcie śmiało wszystkie nasze błędy! Jesteśmy dość silni, żeby pozwolić sobie na taką krytykę, i jednocześnie zbyt słabi, żeby w przyszłości dopuścić do powtórzenia podobnych ohydnych błędów! Od dziś daję wam wszystkim prawo krytykowania wszystkich urzędników miejskiego zarządu! Krytyka jednak powinna wypływać z troski o program i programowi służyć! Kto nie będzie o tym pamiętał, temu odbierzemy prawo krytyki! Apeluję do wszystkich! Pomagajcie nam! Ofiarujcie nam wasze zdecydowane poparcie, abyśmy, świadomi waszej solidarności z nami, mieli odwagę tępić wasze słabości! Dajcie nam moc oczyszczania was z win i wykluczania z miejskiego zarządu karierowiczów i ludzi bez skrupułów, jak mój dotychczasowy zastępca, przeciw któremu wyszliście na ulicę! Apeluję jednocześnie z tej wysokiej trybuny: dość nieprzemyślanych kroków, które prowadzą do zamieszek i nieporozumień, a w przyszłości mogą spowodować rozlew krwi! Ludzie bez skrupułów wykorzystają każdy wasz zły krok, aby wprowadzić do miasta chaos i anarchię i realizować własne nieczne plany! Dość pieniactwa i nieodpowiedzialności! Dlatego od dziś zabraniam demonstracji i pochodów! Ustanawiam jeden dzień w tygodniu, w którym będę czytał wasze rady i skargi wpisane do księgi wywieszanej w budynku miejskiego ogrodnictwa! Raz w miesiącu razem z urzędnikami miejskiego zarządu odpowiedzialnymi za poszczególne dziedziny naszego życia będę organizował konferencje, na których w sposób wyczerpujący będziecie informowani o stanie miasta i osiągniętych postępach! Od dziś każda nasza decyzja będzie podawana do wiadomości całego miasta! A teraz wracajcie do domów! Niech żyje nasze piękne rozkwitające miasto! Niech żyją jego ofiarni mieszkańcy! Niech żyje miejski zarząd! Niech żyje Stowarzyszenie Zwolenników Kalalii! Niech żyje!

Tłum milczał smakując słowa.

— Niech żyją kalalie! — krzyknął prezes potężniej.

— Niech żyją! — wyhuczały megafony.

— Orkiestra! — zażądał prezes wychylając się z trybuny.
— Wiązankę najważniejszych miejskich pieśni! Grać! Grać co sił!

Nadzorca machnął batutą, trąby zagrzmiały i megafony ryknęły katastroficznie na cały plac dźwiękami marsza *Kalalie to nasza przyszłość*. Ogłuszeni muzyką ludzie patrzyli jeszcze na prezesa, gdy nagle dłonie zastępcy i szefa ogrodnictwa wczepiły się z tyłu w jego marynarkę i odciągnęły go od mikrofonu. Prezes przez chwilę szamotał się w takt marsza. Jakiś ogrodnik w ciemnym płaszczu i kapeluszu zasłaniającym skrętnie twarz ściągnął mu z ramion marynarkę, jeszcze bardziej krępując ograniczoną swobodę ruchów. Orkiestra stojąc tyłem do trybuny pięknym dętym pasażem przeszła do marszu *Dziarska młodzież pod sztandarem kalalii* skomponowanego przed czterema laty na ogólnomiejski konkurs z okazji otwarcia muzeum. Tymczasem szef i zastępca odciągnęli szamoczącego się prezesa na tył trybuny i przekazali ogrodnikom, którzy wrzucili go do samochodu. Kierowca włączył natychmiast silnik i syrenę i popędził w lewo. Samochód z piskiem opon wziął ostry wiraż, wpadł na sygnale w ulicę biegnącą do ogrodnictwa wzdłuż bocznej ściany muzeum i mknął pojękując syreną coraz ciszej. Orkiestra bez przerwy dęła w trąby, rogi, fagoty i puzony.

Do mikrofonu, otrzepując z kurzu marynarki i ręce, podeszli jednocześnie szef i zastępca. Szef na chwilę wyłączył mikrofon. Dźwięki marsza stopniały i na czterech rogach placu przestały huczeć cztery megafony. Batuta dyrygenta skakała jeszcze w dół i w górę, potem zatrzymała się w pół drogi i nie podniosła więcej. Na placu zrobiło się cicho. Ludzie patrzyli na trybunę. Szef włączył mikrofon.

— Teraz przemówi do was dotychczasowy zastępca, a od dziś nowy prezes miejskiego zarządu! Należy go wysłuchać z najwyższą uwagą!

Stojący na trybunie zauważyli, że szef, mocno spocony, zerknął bez zaufania na podchodzącego do mikrofonu zastępcę.

— Mów pan powoli, mądrze i wyraźnie — doradził szeptem.

— Ludzie chcą mowy krótkiej! Możesz ich pan pobudzić do śmiechu, oni to lubią. Wał pan! Mocno, po męsku i mądrze!

— Nie ma się czego bać. Gdzie prezes?

— O prezesa głowa pana boli? Jest w ogrodnictwie. Mów pan do ludzi.

— Co pan z nim zrobi?

Szef niecierpliwie musnął wąsy.

— To pan jesteś prezesem! Mnie pan pytasz?

— Trzeba go pilnować, żeby nie wlaźł na trybunę ze swoją mową!

— Nie ma zmartwienia. No, wal pan! Tak jak ludzie lubią. Twardo, po męsku, z jajami.

Zastępca ostrożnie włączył i wyłączył mikrofon, tłum stał czekając dalszego ciągu.

— Pilnuj go pan dobrze! — szepnął zastępca szefowi w ucho.

— Jeszcze tu wlezie z głupią gadką!

— Nie bój się pan, nie ucieknie!

Zastępca ujął w rękę mikrofon i chrząknął donośnie.

— Mieszkańcy miasta — rzekł powoli. — Mężczyźni, kobiety i ty, najukochańsza młodzieży, w której pokładamy największe nadzieje. Oto stoimy przed muzeum kalalii w przełomowym momencie! Na waszych oczach zmienił się skład miejskiego zarządu. Dotychczasowy prezes, który niewątpliwie wiele zrobił dla naszego miasta, musiał ustąpić z powodu złego stanu zdrowia. Zabrało go przed chwilą pogotowie. Ostatnio nerwy ponosiły go coraz częściej. Lekarz powiedział, że cierpi na manię prześladowczą. Nie stawiając mu przeszkód w odejściu, choć to strata szczególnie dla miasta bolesna, dołożyliśmy starań, żeby mógł się z wami pożegnać. Na jego miejsce miejski zarząd oraz wszyscy doradcy powołali mnie. Bardzo ciężkie to brzemie. Gdyby mogli, poświadczyliby to poprzedni prezesi, ale wszyscy zmarnowali zdrowie i z takich czy innych przyczyn musieli odejść... — przerwał i spojrzał na szefa. — Powiniennem przedłożyć wam nowe zasady, jakimi dla dobra naszego miasta będzie się w dalszej pracy kierował miejski zarząd! Powiniennem powiedzieć wiele rzeczy! Przede wszystkim, jak słusznie oczekujecie. Powiniennem złożyć sprawozdanie z wydarzeń, które nie licząc choroby doprowadziły do zmiany na najwyższym szczeblu. Powiniennem powiedzieć o przyczynach, dzięki którym — a także z powodu choroby, jak wiecie — prezes podał się do dymisji. Nie chcę wam zabierać za dużo czasu. Powiem wam zamiast tego, czego wy od nas chcecie! Powiem, żebyście nie myśleli, że nie znamy waszych potrzeb i dążeń, albo że je znając, skłonni jesteśmy je lekceważyć!

Megafony huczały na cały plac, a słońce prażyło przedwiecznym upałem, lejąc się wprost na ludzi, którzy stali w potokach gorąca i słuchali zastępcy przypatrując się jemu i trybunie.

Zastępca przerwał na chwilę. Przed trybuną ujrzał Franka z niechlujną capią bródką, objuczonego kompletnym ogrodniczym ekwipunkiem, oraz syna zdetronizowanego prezesa. Potem stracił ich z oczu i w zamiarze kontynuowania mowy pochylił się mocno do przodu, jakby odpierał wielki wiatr. Spokojny tłum napełniał go przekonaniem o wadze przejętego posłannictwa. Wiedział, że musi jeszcze coś tym ludziom powiedzieć ale kiedy zbliżył do mikrofonu twarz, na placu nagle zawrzało i ludzie rzucili się

do trybuny. Zdumiony zwilżył obeschtę wargi i spojrzął na szefa. Ten stał w skupieniu i patrzył na tłum badając siłę wybuchu. Krzyk na placu był wielki; zastępca postanowił odczekać, aż ludzie się uspokoją. Ale teraz i za sobą usłyszał jakieś poruszenie, a potem syk wypuszczanego powietrza. Zerknął do tyłu i ujrzał Franka, który śliniąc się i trzymając w garści przekrzywiony sekator wolną ręką wkręcał w zawór opryskiwacza krótki wąż biegnący od butli z płynem owadobójczym.

Szamotanie się Franka z opornymi przedmiotami nie trwało długo, ale zaskoczonemu i sparaliżowanemu zastępcy moment przygotowań wydał się najdłuższy i najstraszliwszy w życiu. Nie mógł się ruszyć, a wąska dysza opryskiwacza jak lufa groźnej armaty kierowała się powoli w jego stronę. Potem z wysokości capiej bródki trysnął cienki strumień gryzącego płynu, który sparzył mu drogi oddechowe i zlepivszy powieki pograżył wszystko w niewiadomej. A Franek, grzechocząc oporzędzeniem, z sekatorem w lewej garści, starymi nożycami bez futerału u pasa, z dynadającym na piersi opryskiwaczem i butlą z płynem owadobójczym chwiejącą się u prawego boku, jeszcze raz wycelował dyszę na osłepionego zastępcę, a potem tym samym cienkim i lekkim strumykiem opryskał twarze urzędników i doradców. Jeden szef ogrodnictwa zdążył osłonić twarz sztywnym kaszkietem. Chciał odepchnąć Franka od mikrofonu, ale tłum napał na trybunę, groźny i rozbawiony niesłychanym incydem. Franek zdjął rękę z zaworu opryskiwacza i chwycił sekator.

— Niech żyjo! — powiedział dostojnie do mikrofonu. — Jo tu wom tero prees!

Szef zrobił krok w jego stronę, ale Franek postraszył go natychmiast opryskiwaczem i szef cofnął się. Ogrodnicy próbowali wdrzeć się na trybunę, ale odrzucili ich ludzie.

— Jo tu prees tero — powtórzy. Franek z ręką na sekatorze. — Preesa wom trza.

— Trza — odpowiedział śmiejąc się tłum, a Franek odżałował trochę płynu i obsikał znowu zastępcę.

— Pedzieć wom co? — spytał łaskawie opierając się butlą o mównicę.

— Powiedzieć!

— Złe tu ludzie w te mmieście. Nie podobom sie wom, a tero jo tu prees!

— Niech żyje prezes! — rozryczał się tłum na placu. — Jeszcze co powiedz!

— Jo wom tu tero prees — powtórzył uroczyście Franek. — Mie wom trza. Posłuch mo być, bo wom inszego dadzom — zagroził i opryskał najbliższego doradcę.

Zastępca kichnął dwa razy i jego głos coś Frankowi przypomniał. Trzymając na wszelki wypadek szefa pod dyszą opryskiwacza jak pod łufą, chwycił zastępcę za rękaw i przyciągnął go, kichającego i przecierającego oczy, do mikrofonu.

— Prees jestem! — huknął mu w ucho. — Bedziesz za mnie godoł. Mów co ludziom. Mówić mosz za mnie, coś mioł mówić, bo ci ślipia wyparze.

Zastępca próbował się wyrwać.

— Mów pan! — syknął zza kaszkietu szef. — Nie widzisz pan, co się dzieje?

— Mieszkańcy! — powiedział zrozpaczony zastępca przecierając jeszcze oczy i z trudem przypominając sobie przerwane przemówienie. — Chcecie przede wszystkim spokoju i my wam ten spokój zapewnimy!

— Co by ni! — powiedział z godnością Franek. — Mów dali!

— Żądacie od miejskiego zarządu ułatwień w codziennym życiu. Od jutra będziemy te ułatwienia realizować.

— Posłuch musowo! — zauważył Franek trzymając dyszę opryskiwacza przy nosie zastępcy. — Jo tu tero nie gupi, prees jestem! Mów dali! — przypomniał zastępcy.

— Żądacie, aby z miasta zniknęła garść uprzywilejowanych, których jedynym tytułem do przywilejów jest fakt, żeście ich wybrali! Więcej takich ludzi w miejskim zarządzie nie będzie!

Przerwał na chwilę i dotknął lewej piersi patrząc przez podpuchnięte powieki na błyszczące przed trybuną fanfary i puzony. Franek wysunąwszy do przodu capią bródkę trzymał pod rozpylaczem szefa, jego samego i doradców. Wszystko przepadło, pomyślał zastępca patrząc ze zgrozą na idiotę.

— Dali mów! — upomniał się samozwańczy prezes.

— Wiem, czego oczekujecie od miejskiego zarządu — powiedział zastępca. — Sporo lat temu wyraziliście zgodę, aby miejski zarząd z waszego upoważnienia realizował program kalalii! Kalalii jak dotąd nie ma i z tego powodu szczególnie dotkliwie odczuwacie brak jabłek, których zrzekliście się, żeby kalalie mogły wkroczyć w wasze życie jak najprędzej! My dobrze znamy wasze pragnienia! Od dziś każda mieszkająca w mieście rodzina otrzyma miesięczny przydział jabłek! Przydział nie będzie duży, ale nikt starając się o jabłka nie popadnie w kolizję z obowiązującym prawem! Od dziś każdy będzie miał jabłka!

Marek wspiął się na palce, żeby lepiej widzieć Franka. Przez plac przepłynęła fala pomruków. Zastępca błysnął oczami na szefa, który chowając wzrok pod zgrabnym daszkiem kaszkietu wyłuskiwał sens z rzucanych tłumowi obietnic. Franek skubał capią

bródkę i trzymając w garści rękaw zastępcy pochylił się nad mikrofonem.

— Słyszeliście? Jabłka bedom!

— W rozsądnej, wystarczającej ilości! — dopowiedział zastępca. — Nie potrzebuję dodawać, że zbyt rygorystyczne zakazy, jakie w tej materii wydał poprzedni prezes, stały się główną przyczyną jego ustąpienia! Z niczym się ostatnio nie liczył! Odwołując wam naturalnego prawa do jabłek, ignorował wasze najistotniejsze potrzeby i z powodu tego nieżyłciowego podejścia w naszym mieście zaczął się szerzyć przemyt! Kwitła korupcja! Stosunki między mieszkańcami i zarządem miejskim były oparte na podejrzliwości i braku zaufania! Na ujemne skutki nie trzeba było długo czekać! W mieście rozkwitło donosicielstwo! Nikt nie był pewny swojego! Każdego można było oskarżyć, a oskarżenia nie trzeba było uzasadniać żadnymi dowodami. Atmosfera w mieście stała się nie do zniesienia. Majątek dorobili się ludzie, którzy dzieląc swój zysk z przekupnymi urzędnikami, otrzymali zezwolenia na nie kontrolowany wwóz jabłek. Od dziś mówimy razem: dość tego! Koniec z przekupstwem! Koniec z kontrabandą! Dość strachu, donosicielstwa i oszczerstw! Od dziś bierzemy na zawsze rozbrat z fałszem i sytuacją, w której, jakby na urągowisko naszym potrzebom i naszym najszczytniejszym marzeniom, na jabłoniach w nadmiarze porozwieszano szklane kalalie! Mówicie: dość, a miejski zarząd w pełni akceptuje wasze żądanie! My też mówimy: dość!

— Dali mów — zażądał Franek upojony słowami, które na jego rozkaz brzmiały na całym placu. Zastępca cofnął się od mikrofonu. Tłum ruszył się, jakby się wreszcie rozbudził. Tu i ówdzie podniosły się krzyki, nieśmiałe jeszcze i stłumione niepewnością, bo nikt nie wiedział, czy za chwilę Franka nie ściągną z trybuny, jak przed kwadransem prezesa. Zastępca stał posłusznie przy mikrofonie, a szef obserwował rodzenie się poruszenia i chłodno badał jego głębię. Ktoś krzyknął z trybuny: „Niech żyje!” Oddalone głosy przerzuciły okrzyk w kilka punktów placu.

— Mów — rozkazał znowu Franek.

— Od dziś — powiedział zastępca — każdy, kto w miejskim zarządzie otrzyma przepustkę, będzie mógł wyjść swobodnie za miasto i przynieść sobie ustawowo określoną ilość jabłek! Od dziś z każdej jabłoni w mieście zostaną zdjęte po dwie szklane kalalie! Każdy, kto się będzie stosował do postanowień, jakie w najbliższych dniach ogłosi miejski zarząd, będzie mógł spokojnie, bez strachu i bez obawy przed niesłusznymi podejrzeniami, żyć bez przeszkód! W naszym mieście zapanuje należna naszej

epoce wolność jedzenia jabłek do czasu wyhodowania kalalii!
Zapanuje powszechna radość!

Pomruk na placu zgęstniał. Franek stuknął palcem w mikrofon.

— Słuchajcie! — powiedział za niego zastępca. — Zarząd miejski spodziewa się waszego poparcia dla naszych ambitnych poczynań! Wierzmy, że od dzisiejszego dnia w mieście zapanuje spokój i każdy nieodpowiedzialny wybryk wichrzyielskich elementów zostanie przez was zduszony w zarodku! Spodziewamy się, że wszyscy mieszkańcy naszego pięknego miasta wcielającego w życie program obdarzą swój miejski zarząd pełnym zaufaniem! Obiecujemy, że tego zaufania nie zawiedzimy! Razem ku szczęśliwej przyszłości! Niech żyje miejski zarząd!

— Niech żyje! — odrzyknęli gromko spod trybuny przebrani ogrodnicy w czarnych kapeluszach i płaszczach.

— Niech żyje! — powtórzyli przebrani ogrodnicy w czarnych kapeluszach i płaszczach patrolujący z ogrodnikami w kombinizonach wszystkie boki placu.

Potem w okrzykach zaczął im pomagać tłum.

— Niech żyje! Niech żyje!

Franek wyprostował się.

— Jutro ni mo roboty — powiedział.

— Jutrzejszy dzień zgodnie z uchwałą miejskiego zarządu ogłaszamy dniem wolnym od wszelkich służbowych obowiązków! — rzucił natychmiast w megafony zastępca. — Niech jutro świętuje i odpoczywa całe miasto! Zarząd miejski wypłaci za ten dzień normalne wynagrodzenie! Niech żyje nasze miasto!

Na placu zawrzało.

— Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!

Zastępca startł pot z czoła.

— Czujcie się wszyscy gospodarzami miasta! Niech wam towarzyszy wiara w szczęśliwą przyszłość! Nasze miasto uczynimy najszczęśliwszym miastem, a nasz przykład będzie przyświecał ludziom po wsze czasy! Niech żyją kalalie!

— Niech żyją! — krzyknęli ludzie. — Niech żyją!

Franek zerknął na szefa. Ten patrzył na plac i fukał niedosłyszalnie w nastroszone wąsy czując, że te wszystkie okrzyki nie są jeszcze należytym aplauzem. Obrócił się z ogniem w oczach do tłumy i dał ręką znak, że chce coś powiedzieć. Ludzie uciszyli się, a Franek wycelował w niego dyszę opryskiwacza.

— Powidz jem co — rozkazał.

— Dziś w godzinach wieczornych — zapowiedział szef — każdy mieszkaniec miasta otrzyma bezpłatnie od miejskiego zarządu kanapki i napoje wysokowe! Orkiestra będzie grać do samego rana! Żyćcie w radości i bawcie się! Jutro dzień wolny

od pracy! Niech żyją kalalie! — krzyknął i wychylił się za trybunę. — Orkiestra! Grać! Niech żyją kalalie!

Tłum zareagował krzykami.

— Niech żyją! Niech żyją!

Krzyki przetoczyły się nad placem jak burza pełna grzmotów. Orkiestra podniosła instrumenty, zahuczało trąbami, werble zaturkotały i rześście rozdzwoniły się fanfary, a tłum kołysał się w podnieceniu. Franek patrzył na szefa, trzymając nadal wycelowaną w niego dyszę opryskiwacza, co chwila pochylał się nad mikrofonem i krzyczał.

— Niech żyjo!

Po chwili do mikrofonu podeszło trzech ludzi w ciemnych płaszczach; krzyczeli teraz w sześciu.

— Niech żyją!

Najpierw odpowiadały im megafony z czterech rogów placu, potem rozsiani wszędzie ogrodnicy i w końcu tłum, który tłocząc się i krzycząc napierał na trybunę.

— Niech żyją! — krzyczeli wszyscy.

— Niech żyje nowy prezes! — krzyknęli w mikrofon trzech przebrani ogrodnicy w ciemnych kapeluszach, szef i zastępca.

— Niech żyje! — odkrzyknął śmiejąc się zgodnie cały plac.

— Niech żyje!

— Tego się głupka załatwi — powiedział zastępca szefowi w ucho.

— Kogo? Prezesa? — warknął szef.

Kobiety z jazgotem przeciskały się do przodu przez zbity gąszcz mężczyzn, dzieci piszczwały, na placu zrobiło się rojno, wesoło i gwarno. Tylko gdzieś tam ludzie podeszli wiekiem stali w niewielkich nieruchomych grupkach, komentując wydarzenia. Co chwila któryś milkł, obracał się niby próbując drogi do domu, podreptywał w miejscu, wpychał się między krzyczących i doszlusowywał do rejwachu. Nie więcej jak dziesięć osób opuściło plac; ze spuszczoneymi głowami i z rękami w kieszeniach poszli do domu.

Franek patrzył z wysoka w tłum zerkając od czasu do czasu na szefa, który ogrodnikom z wyższą szarżą wydawał mruklive rozkazy i odprawiał ich bez zwłoki. Na placu było gwarnie. Doradcy i ogrodnicy na trybunie trzymali się w przyzwyczajonej odległości od nowego prezesa. Franek wysunął capią brodkę do przodu, podparł się o mównicę i spluwał regularnie na instrumenty orkiestry.

— Mamy ptaszka — szepnął szef do zastępcy.

— Prezesa?

— Tego od tablicy. Wypytam go o to i owo.

— Potem trzeba go będzie wypuścić — mruknął zastępca.
— To za miesiąc zrobi nam nowy cyrk.
— Ludzie się będą o niego upominać.
— Rozgłosimy, że uciekł z miasta.
— Można i tak — rzekł zastępca. — Mnie się wydaje, szefie, że tu będą potrzebne jakieś zmiany w programie. Ludzie się zaraz połapią, że nie tego chcieli.

Szef fuknął w wąsy i pomacał notes przez bluzę.

— Zmiany w programie?

Zastępca zamyślił się.

— Kalalii tak zaraz nie wyhodujemy. Za miesiąc albo za dwa ludzie zaczną się burzyć, powiedzą, że nic się nie zmieniło.

— Tak przypilnuję, żeby się nikt nie burzył.

— Panie! — syknął nagle zastępca. — Dopuszcieś pan do dzisiejszych rozruchów. Nie wiedziałeś pan, co się w mieście szykuje. Musieliśmy poświęcić takiego dobrego prezesa. I jeszcze mamy teraz tego idiotę na karku. Możesz się pan zmęczyć? Bo jakbyś pan miał chęć pójść na emeryturę, to może ja tu kogo znajdę!

Szef patrzył na niego przez chwilę.

— Już pan nie jesteś prezesem — powiedział spokojnie. — Skompromitowałeś się pan. Prezesa mamy, a zastępcę miasto innego może potrzebować.

— Prezesa? To jest prezes? Ten kretyń?

— On mówi, że pan nie jesteś prezes — poinformował szef Franka. — On sam chce prezesem być.

— W łeb go — splunął Franek. — Bele nie za silno. On dobrze mówi, będzie mie do gadania potrzebny. Idyjota, ale sie nado.

— No, słyszałeś pan? — sapnął szef do zastępcy. — Pamiętaj pan, ja to nie stary prezes. Nie mam czasu i głowy na dyrdymałki! Mnie pan na bajki nie nabierzesz! Jeżeli ma być współ-praca, to pan mi jesteś do pomocy, a polityka miejska to moja rzecz. Jesteś pan wolny.

— Serio bierzesz go pan na prezesa?

— Każdy dobry, byle porządek był. Byle go ludzie słuchali.

— To popatrz pan, jak go ludzie słuchają.

Szef spojrzął spokojnie za trybunę. Ludzie rzeczywiście parli do przodu i widać było, że rozbawienie wystąpieniem Franka zaczyna opadać. Podniosły się krzyki. Zastępca usiłował powiedzieć coś w mikrofon, ale nikt go nie słuchał. Szef ogrodnictwa błyskawicznie ocenił sytuację na placu i w oka mgnieniu zrobił przegląd obecnych na trybunie. Hałas wzrastał się nieustannie i parcie ludzi na trybunę rosło. Zastępca przykucnął, żeby go nie

było widać, a szef dał nura między doradców. Czterech ogrodników skoczyło do Franka i odciągnęło go od mikrofonu. Na jego miejscu wyrósł nie znany ludziom człowiek, w którym urzędnicy rozpoznali nadzwyczajnego doradcę mianowanego na dzisiejszym posiedzeniu miejskiego zarząd. Obok niego stanął szef.

— Mieszkańcy — powiedział prędko przez megafony. — Przebieg dzisiejszego wiecu był nieco dziwny, ale nie było rady. Musieliśmy zorganizować go tak, żeby wszystkim nieuczciwym ludziom pokrzyżować plany. Prezesem miejskiego zarządu od dziś będzie nadzwyczajny doradca miejskiego zarządu. Jest to człowiek nieposzlakowany. Przemawiał dziś za wami. Nie ma między nami lepszego, któremu moglibyście powierzyć to wysokie stanowisko. Powaga chwili nakazuje, żebyście zaufali miejskiemu ogrodnictwu!

Tłum na placu znieruchomiał i uspokoił się. Tu i ówdzie podniosły się protesty, ale nie było ich wiele. Nadzwyczajny doradca korzystając z ciszy podszedł do mikrofonu i wpatrzył się w tłum.

— Nie znacie mnie dobrze — powiedział w końcu — dlatego nie będę się bawił w przemówienia. Podtrzymuję w mocy to, co obiecał zastępca poprzedniego prezesa. Jeżeli w przyszłości nie będziecie ze mnie zadowoleni, ustąpię. Będziemy działać dla waszego dobra. Odtąd wasz głos będzie się liczył tam, gdzie ważyć się będzie wasz los i sprawy tego miasta. Znam waszą sytuację, wiem, czego wam trzeba, i znam przyczyny dzisiejszego waszego sprzeciwu. Musicie mi zaufać. Zresztą i tak nie macie wyboru. Możecie wybierać między mną, którego nie znacie, głupim Frankiem i zastępcą słynnym z przemytu, łapownictwa i niekompetencji. I to jest wszystko, co chciałem wam powiedzieć!

XVIII

Marek dłuższy czas kręcił się po placu, zanim pod stojakiem dźwigającym megafon zobaczył mężczyznę w okularach, który trzymał się przed południem osiłka. Teraz wydawał się chudszy niż w pełnym dziennym świetle, stał sam i patrzył na plac.

Urzędnicy miejskiego zarządu w milczeniu opuszczali trybunę, zaskoczeni tym, co się wydarzyło. Nad miasto wypłynął chłód i przedwieczorna bierność. Orkiestra dobiła się w męce współbrzmienia instrumentów i grała teraz z krótkimi przerwami

na papierosa. Mężczyzna pod megafonem przetarł okulary i parzył dalej w trybunę.

— Proszę pana — odezwał się Marek spoglądając w górę na jego twarz przeciętą poziomo oprawą. — Dwóch cywilów porwało brodacza!

Mężczyzna otrząsnął się z posępnego zagapienia. Poznał Marka i uśmiechnął się do niego krótko i smutno. Ujął go pod rękę i poprowadził przez plac. Szli potrącani przez ludzi cisnących się do beczek z piwem ustawionych w wielu miejscach. Beczki odbijali ogrodnicy, rubaszni i otyli, niczym wojskowi kucharze. Kręcili się w białych kitlach włożonych na kombinezony i futerały z nożycami, hojnie napełniali kufle piwem i podawali chętnym. Po kufle wyciągało się dużo rąk, a ogrodnicy podawali je przede wszystkim wyrostkom i kobietom. W ciżbie podchmielonych ślaniało się już wielu uczestników dzisiejszego pochodu. Ogrodnicy, którzy rozdawali kanapki, też mieli ręce pełne roboty. Marek i mężczyzna wydostali się z placu na chodnik.

— Wiedziałem od razu, że się tak skończy — mruknął mężczyzna. — Wszystko bezwzględnie zmierza tam, dokąd prowadzi tchórzostwo, lenistwo i naiwność. Trzeba nie lada wysiłku, żeby było inaczej.

— Tak go prędko porwali, że ledwie się spostrzegłem — powiedział Marek. — Najpierw powiedzieli, że chcą z nim porozmawiać w cztery oczy, a kiedy powiedział, że nie ma na to chęci, bez pytania wciągnęli go w bramę.

Mężczyzna milczał. Szli teraz wzdłuż chodnika pod drzewami. Marek dopiero teraz zauważył, że są to też jabłonie, mocno skarłowaciałe po wieloletnim wycinaniu owocowych zawiązków. Choć zaczynał się dopiero mrok, zaświeciły się nagle wszystkie latarnie. W czworobocznej przestrzeni placu i wzdłuż ulicy błyszcząły w ich światło na każdej gałęzi szklane owoce.

— Symbol marzeń i najlepszych zamiarów — powiedział mężczyzna w okularach. — Wierzyłem w to.

Lekką dłonią nacisnął ramię Marka i zmusił go do dalszego marszu przy sobie; Markowi ciążyła tablica.

— Nie widziałem w życiu barana głupszego ode mnie — ciągnął mężczyzna. — Przerazający jest bezsens oszustwa. Mam tego dość! — powiedział nagle ze złością. — Żegnam się jutro z miastem! Biorę przepustkę, skoro ją można dostać, i nie wracam więcej.

Marek zwolnił, mężczyzna chcąc nie chcąc musiał dostosować do niego swój krok.

Jeżeli pan wyjedzie, to nic już sam nie poradzę. Brodacza nie ma! Mój tatuś przestał być prezesem, a wszyscy wyglądają,

jakby się czegoś bali. Jakoś to dziwnie wygląda. — Rozejrzał się. — Nie wiem dlaczego, pierwszy raz miasto wydaje mi się tak bardzo głupio urządzone. — Spojrzał w górę na milczącego towarzysza. — Niech pan tego nie robi! Słyszał pan, nowy prezes obiecał, że każdy będzie już mógł jeść jabłka! Dziś na placu jest zabawa, rozdają za darmo jedzenie i piwo, a jutro nikt nie będzie musiał pracować. Już jest lepiej, niż było! Na pana miejscu nie wyjeżdżałbym!

Skręcili w zaułek, a potem jeszcze raz w ulicę, która dziwnym trafem zaprowadziła ich znowu na plac. Kiedy wkroczyli na jego wielką zieloną płytę i spojrzeli na wielki tłum, który go wypełniał, orkiestra po krótkiej przerwie zaczęła grać ze zdwojoną energią i dźwięki wstrząsały spokojnym powietrzem.

— Gdyby pan został — powiedział Marek — pomógłby mi pan odszukać brodacza. Razem na pewno mogliśmy coś zrobić. Może poszlibyśmy do nowego prezesa? Szkoda, żeby siedział, kiedy nikt dzięki niemu nie pójdzie jutro do pracy!

Mężczyzna powiódł go w milczeniu w stronę muzeum kalalii i wyprowadził z placu.

— Ile masz lat?

— Jedenasty.

— Synu — rzekł mężczyzna. — Już raz w tym mieście zdarzyło się coś podobnego. Ludzie chcieli jabłek. Powstał zamęt i prezesem został człowiek, którego dziś pozbawili tego stanowiska. To twój ojciec, zdaje się? Obiecywał, że przeprowadzi zmiany. Każdy mógł wwieźć do miasta tyle jabłek, ile jedną ręką mógł udźwignąć przeznaczony do tego ogrodnik. Orodnika wybrali ludzie. Był to człowiek dobrze zbudowany, jak młody dąb. Jedną ręką dźwigał pięćdziesiąt dwa kilogramy i to był właśnie ustawowy miesięczny przydział. A prezes z wszystkich jabłoni w mieście kazał zdjąć po jednej szklanej kalalii. Posłuchaj. Kiedy minął miesiąc, ogrodnik nagle zaniemógł i został odkomenderowany z komory celnej do oddziału przy zarządzie miejskim. Na jego miejsce przyszedł inny, chudy i cherlawy, taki, jakiego powinni dawno położyć w szpitalu i leczyć albo wywieźć na cmentarz. Odtąd raz na miesiąc można było przynieść tylko sześć kilo, bo tylko tyle ten ogrodnik potrafił udźwignąć. A zanim nadzorca uporał się ze zdejmowaniem po jednej szklanej kalalii z połowy drzew, ten, co ich do dziś pilnuje, szedł za nim i rozwieszał po dwie. Kiedy ludzie się sprzeciwili, powiedziano im w miejskim zarządzie, że do magazynu szklanych kalalii przestała się wilgoć i trzeba je na gwałt suszyć.

— No tak — powiedział Marek — ale teraz te jabłka mają być na stałe. Nowy prezes powiedział, że każde zdjąć z każdej

jabłoni nie po jednej, ale po dwie kalalie. I gdyby miało być tak, jak było, na pewno by nie rozdawali za darmo piwa i nikomu by nie grała orkiestra!

— No tak! — odparł mężczyzna. — Z pewnością będzie przepięknie. Szklane kalalie, chmurki na niebie i zajączki w sadach.

— Naprawdę chce pan wyjechać?

— Naprawdę. Mam dość tej huśtawki. Za parę lat się zestarzeję, a tu jeszcze gotowi posadzić mnie do malowania kalalii. Kaktus mi na ręce wyrośnie, jak mnie zostawią w spokoju.

— Nikt już nie będzie malował kalalii! Niedługo będą prawdziwe!

— Kaktus mi wyrośnie — mruknął mężczyzna. — Zobaczysz.

— I nie pomoże mi pan szukać brodacza?

— Nie mogę. Byłem przy nim na skwerze, potem szedłem w pochodzie, pozna mnie każdy ogrodnik, któremu wejść w drogę. Popsułym wszystkim. Sam musisz sobie radzić.

— To smutne. Mnie to samo grozi. Oprócz pana nie został ani jeden człowiek, nie mam do kogo zwrócić się o pomoc. Brodacza zamknęli, inni stchórzyli, pan wyjeżdża. Zostaję sam.

— Wiem. Będziesz sam, ale to dobrze. Człowiek myśli, kiedy jest sam. Ludzie tylko ci plany pokrzyżują. Patrz na wszystko, myśl, czekaj. Jeżeli będzie źle, taki dzień znowu się im przydarzy. Będziesz wtedy dorosły. A teraz chcę ci życzyć, żeby w tym mieście jak najrędezej wyrosły kalalie.

— Jednak pan myśli, że wyrosną — rzekł Marek. — Tylko nie wiem jak. Tak naprawdę nikt nic nie robi, żeby wyrosły. Wszyscy zajmują się tylko jabłkami.

Idąc obok siebie przeszli jeszcze kilkadziesiąt kroków, a potem przystanęli. Marek chciał powiedzieć mężczyźnie jeszcze kilka rzeczy i właśnie o nich myślał, spoglądając na tłum bawiący się na placu. Kolejki po piwo były coraz dłuższe. Z opróżnionych beczek wydostawała się piana, brzęczały kufle, na placu i na ścieżkach przy muzeum kalalii zgrzytały pod butami odłamki szkła. Najbardziej pijani byli młodzi, którym ogrodnicy nie szczędzili piwa. Rosła ogólna wesołość, a orkiestra grzmiała wszystkimi instrumentami. Z trudem można było dosłyszeć ludzkie głosy; dźwięki z pobliskich ulic w ogóle nie dobiegały.

Kiedy Marek odwrócił się, żeby coś wreszcie powiedzieć, mężczyzny już nie było.

Ruszył wolno przed siebie i patrzył uważnie, ale nie zobaczył go ani na chodniku, ani wśród bawiących się. Tłum pijanych wyrostków szarpał piszczące dziewczęta, skołowane jak oni dar-

mowym piwem, i napastował dojrzałe kobiety. Małe dzieci bawiły się w chowanego w krzakach przy muzeum. W drzwiach muzeum stało dwóch ogrodników i wydawało się, że tylko oni są trzeźwi. W jaskrawym i mocnym świetle latarni błyszcząły daszki ich kasków, a w gałęziach świeciły szklane kalalie. Męzczyzny nie było.

Marek zawrócił, spojrzął jeszcze raz na plac i przytłoczony ciężarem tablicy poszedł do domu. Chwiejąc się, trzymając z trudem na nogach, bełkocąc w gwałtownym pijackim szczęściu szli ulicą pijani mężczyźni pod troskliwą eskortą smutnych żon. Podpite dzieci drobiły za rodzicami sennymi kroczkami. Inni mężczyźni zmagali się w ciemnych bramach z torsjami albo oddawali mocz polewając ściany zmęczonym łukiem.

Ruszył w stronę swego domu. Z daleka zobaczył, że przy bramie z obu stron sterczą dwaj przebrani ogrodnicy w ciemnych płaszczach i w czarnych kapeluszach rzucających na niewidoczne twarze gęste cienie. Kiedy znalazł się bliżej, na brodzie męzczyzny stojącego z lewej ujrzał znajomą bliznę.

— Niech pan mnie tylko ruszy! — powiedział i poprawił tablicę na ramieniu.

Przebrany ogrodnik patrzył spod obwisłego ronda na budynek po drugiej stronie ulicy.

— Gdzie jest brodacz?

Męzczyzna wykręcił głowę w lewo i nie patrząc na Marka pogwizdywał przez zęby.

— Gdzie brodacz? — powtórzył Marek wiedząc, że nie doczeka się odpowiedzi. — Coście z nim zrobili?

Męzczyzna milczał. Marek zerknął w górę: w mieszkaniu świeciły się wszystkie okna. Idąc powoli po schodach czuł solidne zmęczenie. Z lewej strony otworzyły się drzwi i stanęła w nich Ewa. Była w krótkiej kraciastej spódniczce, której nie miała na sobie rano. Przyglądała mu się chwilę, potem zamknęła drzwi i kiedy automat wyłączył światło na schodach, wzięła go za rękę.

— Chcę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

W ciemnej klatce schodowej byli sami. Marek nie widział jej, ale czuł na twarzy przyspieszony oddech; szło od niej pachnące ciepło.

— Chcę ci coś powiedzieć — powtórzyła. — Chodźmy do piwnicy, bo mógłby nas kto podsłuchać.

— Naprawdę coś ważnego? Nie mam za dużo czasu, jestem zmęczony.

Wydało mu się, że jego głos, w porównaniu z głosem, jaki wydawał rano, jest matowy i męski.

— Zobacz — powiedziała Ewa.

Poczuł, jak jej dłoń sunie po jego ręce do samego łokcia. Potem dłoń obniżyła się i Ewa zatrzymała jego palce przyciągając je do siebie. Kiedy dotknął obcisłego sweterka, Ewa poprowadziła jego dłoń do pachy, gdzie sweterek był lekko wilgotny. Przycisnęła mu mocniej palce; wyczuł coś twardego.

— Jabłko? — powiedział.

— Cztery. Drugie pod drugą pachą. I jeszcze dwa pod skrzynią w piwnicy. Wszystkie dla ciebie.

Przez moment stali w milczeniu.

— Bardzo mi się dziś podobałeś — odezwała się nieśmiało. — Byłeś taki odważny. Dorośli cię słuchali. Widziałam! Chodź ze mną do piwnicy, powiem ci coś ważnego.

Dał się pociągnąć w dół i weszli w ciemność zatapiającą schody. Ewa szła pierwsza, ale co parę stopni zwalniała i wyciągała rękę, a on niespodziewanie wpadał na nią.

— Musimy iść do piwnicy? — spytał. — Tu na schodach nie możesz mi powiedzieć?

— Wiesz dobrze, starsi nie lubią, kiedy młodzi spotykają się po ciemku. Zaraz myślą, że nie wiadomo co się dzieje!

Pokonali ostatni zakręt schodów i weszli w korytarz piwnicy. Powietrze wisiało tu ciepłe i wilgotne, ale przede wszystkim było duszno. Czuć było pleśń i zwiędłe warzywa. Małe okno z trudem przepuszczało trochę niebieskawego światła, noc na ulicy była jaśniejsza niż noc w piwnicy. Teraz widział wyraźniej głowę Ewy, jej szyję i ramiona wystające z krótkich rękawów sweterka; dolna część jej tułowia ukryta była w mroku, jakby ją ktoś wbił w czarną i gęstą maź. Ewa wzięła go za rękę i pociągnęła dalej. Oddychała prędzej niż on i jej ręka na jego palcach była wilgotna i ciepła.

— Wiesz, po co cię przyprowadziłam?

Pomyślał, że od rana wyrósł na prawdziwego mężczyznę.

— Nie wiem.

Przez kilkanaście sekund nic nie mówiła i stała przed nim nieruchomo jak smukły pachnący pomnik.

— Twój tatuś jest w domu, a ci dwaj pilnują, żeby nie wyszedł na miasto i nie rozmawiał z ludźmi.

Odetchnął z ulgą.

— Bardzo mi się dziś podobałeś — powiedziała znowu. — Wielu ludzi mogłoby się od ciebie uczyć! Byłam dumna, że się znamy i że rozmawialiśmy dziś rano — dodała ciszej po długim wahaniu. — Moglibyśmy zostać dobrymi przyjaciółmi, jakbyśmy chcieli, prawda? Chcesz, żebyśmy byli?

— Chcę.

— No, to będziemy — wytchnęła z ulgą. — Jak zechcesz, to będę twoją narzeczoną! To nic, że masz jedenaście lat i jesteś ode mnie młodszy. Będę czekać na ciebie tak długo, jak tylko zechcesz. Już jesteś prawie taki wysoki jak ja. Chcesz, żebym była twoją narzeczoną?

Tym razem nie odpowiedział natychmiast i Ewa kilka razy przełknęła głośno ślinę, jakby coś piła. Przez okno z odległego placu dobiegały dźwięki orkiestry. Z ulicy słychać było bełkotliwe pijackie wynurzenia o wielkich uczuciach do miasta i kalalii. Monolog przerywało kłótlive ujadanie kobiet i kwękanie zmęczonych dzieci. Marek zastanowił się, co teraz może się dziać z brodaczem. Rozpocznie poszukiwania zaraz rano. Wiedział, że bardzo to niebezpieczne, i bił się z myślami, czy może narażać swoją narzeczoną.

— Nie namyślaj się tak długo — powiedziała cicho Ewa. — Będę dla ciebie dobra. Nigdy się nie odezwę do żadnego chłopaka, chyba że to będzie twój kolega i że mi pozwolisz z nim porozmawiać. Inaczej nigdy ust do nikogo nie otworzę.

— Ja się nie namyślam — odpowiedział. — Myślałem o czymś innym.

— O mnie? — spytała z nutą nadziei.

— Oczywiście, o tobie też myślałem. Prawdę mówiąc jeszcze nie skończyłem jedenastu lat, ale chciałbym mieć narzeczoną. Przydasz się. Od jutra będę szukał tego brodacza. Tylko że to może być niebezpieczne!

— Nic mnie nie obchodzi żadne niebezpieczeństwo! Myślisz, że się przestraszę byle czego, jak dorośli?

Spojrzeli na siebie przez mrok.

— Siądźmy — powiedziała.

Przysiedli w kącie na tej samej skrzyni po szkle. Ewa odwróciła głowę w stronę okna. Zrobiło się tak cicho, że nawet jej oddechu nie słyszał, kiedy nieśmiałym nosem dotknęła jego policzka. Pocałowała go prędko koło ucha, potem wsunęła mu w dłoń dwa wilgotne palce. Nie ruszali się patrząc spokojnie przez kilka minut w jaśniejsze okno.

— Jutro muszę wcześniej wstać.

— Krzykniesz na mnie pod drzwiami?

— Dobrze, tylko nie grzeb się z ubieraniem, szkoda czasu.

— Tylko usłyszę i za minutę będę.

Ich dłonie wilgotniały powoli. Potem Marek powiedział, że trzeba iść spać. Wstał i Ewa też wstała, ale kiedy wychodzili, zatrzymała go przy drzwiach.

— Mam cztery jabłka. Chcesz?

Przełknął gwałtownie ślinę.

— Nic za to nie chcę.

— Nie, lepiej nie.

— Nie chcesz jabłek? Całkiem za darmo!

Spojrzał na nią.

— Daj te jabłka.

Wyciągnęła po jednym spod każdej pachy, wsadzając rękę pod sweterek przez wycięcie na szyi. Podała mu je, potem poszła do skrzyni i podniosła drugie dwa.

Kucnęli i Marek położył na posadzce wszystkie cztery.

— Jedno odpada — powiedział. — Wiesz, co rano robiłem.

Odłożył je na bok.

— Drugie też odpada, bo zjadłem jabłko, choć tatuś nie pozwolił. Z głowy — powiedział i dołożył do pierwszego.

Ewa kuciała z rozstawionymi kolanami, na twarz opadły jej włosy rozczesane przed snem.

— A dwa?

— Trzecie — powiedział Marek i też położył je z boku. Powiedziałem ogrodnikowi, że przyniosę mu dwa jabłka. Skłamałem.

— Tylko jedno ci zostało — powiedziała Ewa z żalem.

Marek wstał przełykając ślinę i ruszył korytarzem, a potem skręcił na schody. Ewa szła za nim posłusznie krok w krok. Kiedy się zatrzymali na parterze w drzwiach prowadzących na ulicę, doszły ich z lekkim wiatrem dźwięki zabawy. Dwaj przebierańcy podpierali bramę z obu stron.

— Pomożesz mi jutro szukać tego brodacza — powiedział wyżej na schodach.

— Nie wzięłeś czwartego jabłka — szepnęła Ewa. — Naprawdę nie chcesz go zjeść?

Przełknął znowu ślinę i zrobił dwa kroki trzymając w dłoni jej palec.

— Tatuś nie pozwala.

— Ale on już nie jest prezesem! A nowy powiedział, że wolno! Słyszałeś przecież!

— To nic.

— Kalalii przecież nie ma.

— Kalalii też bym nie chciał. Za długo czekałem.

Marzec 1969 - październik 1970 (!)

**A C H E V E D ' I M P R I M E R
L E 2 8 J A N V I E R 1 9 7 4
S U R L E S P R E S S E S D E
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e)**

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1974

Imprimé en France.

Dar
Biblioteka Polska
Paryż

